

# KONFRONTACJA

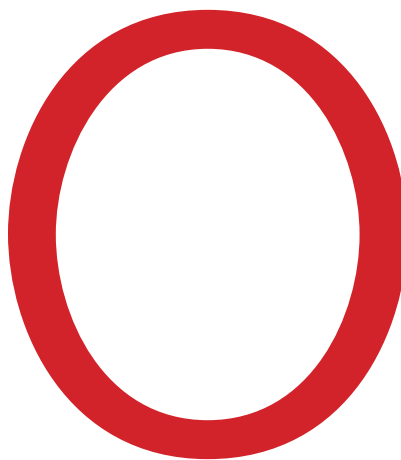
LISTOPAD 2018, NR. 1



**JAK POTRAFI  
NISZCZYĆ  
PAŃSTWO**



Sylwester  
Latkowski



ddaję w Państwa  
ręce mój nowy pro-  
jekt „Konfrontacja”.  
Nowy, ale rodził  
się długo. Wszyscy  
wiemy, że sytuacja  
na rynku mediów  
nie jest godna po-

zazdroszczenia. Niemal wszyscy działają  
w ramach nasilającej się wojny poli-  
tycznej, pod presją reklamodawców,  
którzy próbują sobie ustawiać media.  
Wreszcie w warunkach, gdzie znaczna  
większość środowiska dziennikarskiego  
została spauperyzowana i zmuszona do  
najróżniejszych kompromisów. Nie chcę  
zabrzmieć zbyt górnolotnie, ale posta-  
nowiłem się nie poddawać i próbować  
dalej uprawiać ten zawód. Wypuszczam  
na rynek 100-stronicowy magazyn re-  
porterski „Konfrontacja”, rusza strona  
internetowa [www.konfrontacja.com.pl](http://www.konfrontacja.com.pl),  
będzie działalność w social mediach.  
Zapewniam, że będzie bezkompromiso-  
wo i w poprzek schematów. Będę wcho-  
dził za kulisy i będę wkładał głowę tam,  
gdzie niektórzy obawiają się wsadzić  
nogę. Wszystkich, którzy mają ciekawe  
historie i chcą wspierać niezależne dzien-  
nikarstwo, zapraszam do kontaktu i  
współpracy. Niezależnie od politycznych  
poglądów.

# W

## tym numerze

Jak potrafi niszczyć  
państwo **4**

Jak policja wrobiła  
w dożywocie  
niewinnego człowieka **14**

Państwo Polskie  
z premedytacją  
trzyma w więzieniu  
niesłusznie  
skazanych Adama Dudalę  
i Arkadiusza Kraskę  
[list otwarty] **28**

Służba Więzienna,  
Służba Więźniom  
czy Służba Władzy? **32**

Bezkarność banków  
w Polsce **34**

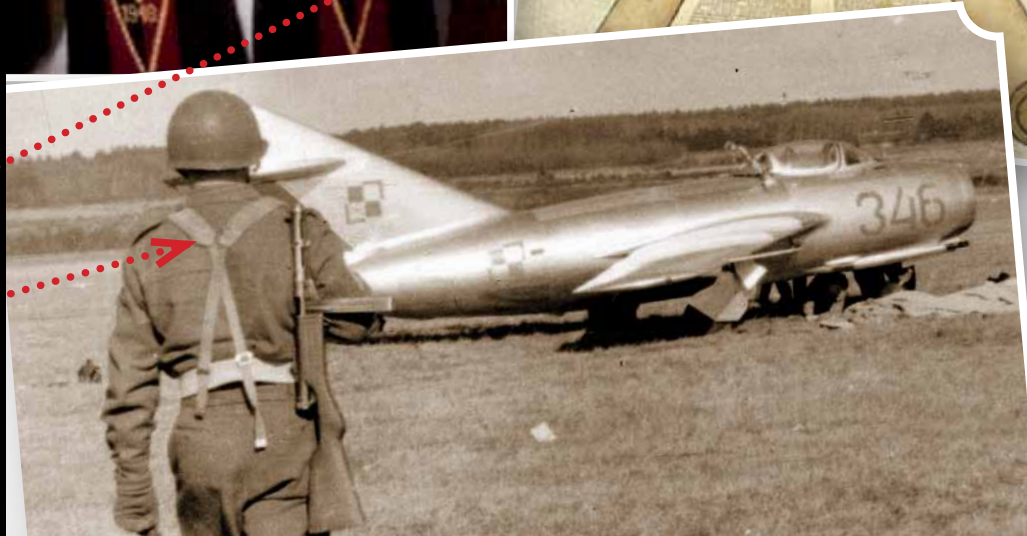
Jak to było z Kamilem  
Durczokiem **46**

Nowoczesny, świecki,  
polski żyd **54**

By nigdy nie wrócić **68**

Druga twarz  
boksu **80**

fot. Radek Polak



Magazyn „Konfrontacja” pod opieką Sylwestra Latkowskiego  
Kontakt: [sylwester@latkowski.com](mailto:sylwester@latkowski.com)

Autorzy w tym numerze: Paulina Socha-Jakubowska,  
Hubert Kęska, Sylwester Latkowski, Cezary Łazarewicz  
i inni

Rysunek okładka: Jacx Badder Staniszewski

Grafika: Malwina Kuna Mieczkowska

Loyaut: MY

Korekta: Barbara Lang

Projekt „Konfrontacja” powstaje przy wsparciu  
Fundacji „Wolne Słowo”

Kontakt z redakcją: [kontakt@konfrontacja.com.pl](mailto:kontakt@konfrontacja.com.pl)

[www.konfrontacja.com.pl](http://www.konfrontacja.com.pl)



# JAK POTRAFI NISZCZYĆ PAŃSTWO

Aresztowe konkursy na to, kto się złamie i zdecyduje się być świadkiem koronnym. Groźby za kratami. Mechaniczne klepanie aresztów. Bezmyślne, ślepe działania dla poklasku i na polityczne zlecenie, które przynoszą straty idące w miliardy złotych. Sterowane ręcznie media, wystraszona opozycja i bezradni przedsiębiorcy. Taka jest anatomia śledztwa w sprawie GetBacku.

---

Sylwester  
Łatkowski

---



Piotr Osiecki



# P

aństwo i jego instytucje w sprawie GetBacku popełniły masę błędów. Afera rozwijała się na regulowanym rynku dosłownie pod nosem instytucji, które pokpiły sprawę. Teraz przy pokłasku tłumu, który ochoczo przyjmuje robienie porządków z „białymi kołnierzykami”, instytucje ruszyły do ataku.

Tyle że sprawa jest rozliczana w, nazwijmy to, specyficzny sposób. Ci, którzy zawiedli w instytucjach nadzorczych, śledczych, mają całkowity spokój i są wolni od odpowiedzialności. Ba, to oni teraz najgłośniej krzyczą „łapaj złodzieja!”.

Części osób się nie dotyka, bo są swoi albo za silni. Tak jest z niektórymi bankowcami czy konkretnymi osobami, które stały właścicielsko za GetBackiem.

Przeczytałem wiele stron dokumentów na temat tej sprawy, odbyłem dziesiątki rozmów. I wyłania mi się z tego obraz zinstrumentalizowanego śledztwa, które zatrzymuje się na pewnym poziomie, by nie dotknąć naprawdę grubych ryb. Śledztwa, które służy niekiedy do pozbierania sobie haków na różnych ludzi. Śledztwa, które ma wyczyścić przedpole dla nowych graczy na przykład na rynku funduszy inwestycyjnych.

## Haki

Dlaczego wspominam o hakach? Taki przykład: W aktach śledztwa jeden z głównych bohaterów afery i absolutnie jej czarny charakter odpowiadający za gigantyczne machinacje finansowe, Konrad K., były prezes GetBacku, zgłosił gotowość do zostania tzw. małym świadkiem koronnym. Mówił, że jest na rynku od 20 lat, był świadkiem piętnastu różnych przebiegów gospodarczych i chętnie się tą wiedzą podzieli, jeśli będzie potraktowany ulgowo. Według informacji, jakie posiadam, zaczął składać szerokie zeznania. Zastanawiające jest jednak to, że prokurator w czasie pierwszego przesłuchania nawet nie dopytywał, sygnałnie nie zadał pytań, o jakie chodzi przestępstwa? Choć powinien. Rozumiem, że w ten sposób, najpierw po cichu,

ktoś chciał poznać wiedzę Konrada K. i zdecydować, co ma konkretnie zeznać na temat tych spraw? Może nie wszystkie będą wygodne dla obecnych układów?

Swoją drogą, mam wrażenie, że w tej sprawie w aresztach wydobywczych, o których opowiem, trwa swoisty konkurs, komu uda się zostać świadkiem koronnym. Trochę jak w tej weselnej zabawie z ludźmi krążącymi wokół krzesła. Kto nie zdąży przechwycić krzesła, ten wylatuje z gry.

Chcę w poniższym tekście opowiedzieć o jednej konkretnej historii, która w śledztwie GetBacku przykuła moja uwagę. Bo w niej, jak w soczewce, zbiegają się patologie: areszty wydobywcze, groźby, zwykłe śledcze dziadostwo, zastanawiające poczynania służb specjalnych, prokuratury, sądów i polityków, wreszcie działania na pokaz, które przynoszą więcej straty niż pożytku. Chodzi o postępowanie wobec Piotra Osieckiego, do niedawna szefa Altusa, największego prywatnego TFI w Polsce. Nie znam go osobiście. Mogę nawet powiedzieć, że Osiecki nie jest bohaterem mojej bajki. Ale przeczytałem mnóstwo dokumentów, odbyłem, jak wspominałem, dziesiątki rozmów i uważam, że ten, jak to się mówi z angielska, case powinni sobie przeanalizować politycy, prawnicy, biznesmeni i dziennikarze. Bo tak jak zadziało w tej sprawie, państwo postępować nie może.

## Agresywny Samarytanin

Pierwszy rozmówca: „Natychmiastowe skrajanie z Osieckim? Prymus. Zawsze chce być pierwszy, mieć najlepszą ocenę. I motywem nie jest tu chęć posiadania góry pieniędzy, ale właśnie bycie pierwszym, najlepszym i tym, który dostaje świadectwo z czerwonym paskiem”.

Osiecki po doświadczeniach m.in. w Banku Handlowym czy PZU postanowił, ponad 10 lat temu, pójść na swoje. Założył prywatne Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych Altus.

Wyrósł na gwiazdę rynku kapitałowego. Bronią go wyniki. Przynosił największą stopę zwrotu klientom, którzy powierzali mu swoje pieniądze do zainwestowania.

Drugi kolega Osieckiego: „Wiele osób na tym rynku funkcjonuje inaczej niż Piotrek. To znaczy, mają większy dystans do sprawy. Godzą się z tym, że raz da się zarobić dla swoich klientów 7%, ale innym razem będzie to 0,5%, trzeba też

liczyć się z chwilową stratą. On tego mentalnie nie przyjmował, bo zawsze chciał być pierwszy. Żył w permanentnym napięciu, sfokusowany na wyniku”.

Pierwszy znajomy: „Niektórzy będą ci mówić, że był miły, koleżeński i wszystkie te oklepane formułki. Prawda jest taka, że był zdystansowany, asertywny. Podam ci prosty przykład. Powiedzmy, że Piotrek ma znajomego, który wchodzi ze spółką na giełdę. I ten kolega idzie z uśmiechem na ustach do Osieckiego i mówi: »Słuchaj, kup nasze akcje w debiucie, bo to będzie ważny sygnał dla innych, skoro wchodzi w to Altus«. I Osiecki chłodno odpowiada, że nic takiego nie robi, bo nie widzi w tym biznesu. Krótko mówiąc, kolegujemy się, ale nie przekładamy tego na biznes. Ludzie wychodzili wściekli po takich wizytach. Inny przykład. Była umowa, że jeden z najbardziej znanych przedsiębiorców, którego Piotr dobrze znał, do pewnej granicznej daty ma wykupić akcje. Termin minął. Osiecki ponownie poprosił o wykup. Prośba nie została spełniona, więc – będąc w prawie – zabrał te papiery i żadne sentymenty, znajomości nie były tu istotne”.

W 2014 roku Altus wszedł na giełdę. Jego akcjonariuszem został Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju. Jednym z najbardziej prestiżowych klientów Altusa stał się też Norges Bank, który znany jest ze skrupulatnego doboru partnerów. To jeden z największych na świecie funduszy inwestycyjnych, własność banku centralnego Norwegii.

Znakiem firmowym Towarzystwa było inwestowanie w małe i średnie polskie spółki giełdowe. Altus stał się największym polskim prywatnym TFI. Biznes intensywnie pęczniał. W szczytowym momencie Towarzystwo zarządzało aktywami o łącznej wartości ponad 14 miliardów złotych, a sama wartość giełdowa Altusa wynosiła ponad 800 milionów złotych. Osiecki, który był największym akcjonariuszem, wszedł do setki najbogatszych Polaków, ale nie epatował majątkiem, co przyznają nawet ludzie, którzy za nim nie przepadają.

Jego znajomy: „Biuro Altusa jest w odrapanej kamienicy, ludzie siedzieli sobie tam na głowach. Nie było zewnętrznych oznak bogactwa. Na parkingu nie stały auta typu bugatti czy ferrari. Sam Osiecki to nie jest typ faceta, który ma odrzutowiec, jacht, a weekendy spędza w Mon-

te Carlo. Dość skromny dom w Wilanowie, jaki mają nieźle prosperujący prawnicy albo lekarze, bez klucza w oczy”.

Współpracowniczka: „Ostentacyjnie dbał o prywatność. Niechętnie otwierał się na zewnątrz. Wódka, owszem, ale w małym gronie zaufanych podwładnych z Altusa. Co jeszcze? Niesłuchanie religijny, chodzący na pielgrzymki do Częstochowy. Dla sytuacji Piotrka istotna jest jeszcze jedna rzecz. Jego 18-letnia córka Zofia jest chora na głęboką odmianę autyzmu. Jest niesamodzielną i silnie emocjonalnie związana z Piotrkim. Osiecki z pomocy dla niej i dzieci dotkniętych tym schorzeniem uczynił jeden z głównych swoich celów. W statusie Altusa jest zapisane, że 10 procent zysków Towarzystwa idzie na pomoc charytatywną. W ostatnich latach to było 30 milionów złotych”.

Ale, żeby nie było słodko i żeby Osiecki nie wychodził nam tu na Miłosiernego Samarytani-  
na, nie jest to obraz całkiem prawdziwy.

Partner biznesowy: „Piotrek raz w tygodniu grywał w piłkę w Wilanowie z biznesmenami, menedżerami. W jednej drużynie liderował on, w drugiej Czarek Kucharski, były reprezentant Polski i do niedawna menedżer Roberta Lewandowskiego. Obaj są znani z ambicji, czasem przesadnej nieustępliwości. Co i raz dochodziło na tym boisku do spięć. Dlaczego o tym mówię? Bo tu jest pewna analogia. Polega na tym, że równie ostro, niekiedy bezwzględnie Osiecki potrafił pogrywać w biznesie”.

Dawny współpracownik Osieckiego dodaje: „To skoncentrowanie się na wynikach finansowych, sprawy osobiste i też pewnie charakter Piotra sprawiły, że nie miał czasu, ale i ochoty na budowanie relacji ze światem decydentów, co często stanowi zabezpieczenie w sytuacji, gdy pojawia się zagrożenie. Może gdyby to robił, sprawy wyglądałyby inaczej”.

## Transakcja

Zeszły rok. Transakcja, od której zaczęło się nieszczęście Osieckiego. By opisać wszystkie detale tej transakcji, musiałbym dwukrotnie powiększyć objętość „Konfrontacji” i zamienić materiał na zawiłe rozważania o handlu na rynku kapitałowym. A to nie jest tekst na ten temat. Postaram się więc opisać fakty jak najzwięźlej.

Fundusze zarządzane przez Altusa w zeszłym roku sprzedały za 207,6 mln złotych spółkę Get-

Backowi. Spółka nazywa się EGB. Prokuratura twierdzi, że firma była przeplacona o 160 milionów złotych, a prezes Konrad K. i Osiecki między innymi działali w porozumieniu na szkodę GetBacku.

Przede wszystkim, transakcja była szczegółowo opisana w 2017 roku w prospekcie emisyjnym GetBacku z cenami, warunkami i ryzykami. KNF ten prospekt

**Osiecki został  
rzucony na ziemię  
przez ludzi  
z długą bronią.  
Przy własnych  
dzieciach.** U jego  
współpracownika  
funkcjonariusze  
już nie robili  
przedstawienia.  
Dlatego,  
że współpracownik  
nie był tak znany?

zatwierdziła. W maju Osiecki opowiadał „Parkietowi”:

„Wartość księgowa spółki na koniec III kw. 2017 wyniosła 81 mln zł, więc cena transakcji była na poziomie 2,6 razy wartość księgowa. W dodatku transakcja została zawarta po przeprowadzeniu złożonego procesu due diligence

finansowego i prawnego przez renomowanych doradców kupującego. Negocjacje trwały kilka miesięcy i były prowadzone zarówno z przedstawicielami GetBacku, jak i głównego akcjonariusza – Abris Capital – i miały wszystkie zgody korporacyjne”.

Skąd w ogóle owe 160 mln złotych straty dla GetBacku, co podnosi prokuratura? To różnica między ceną kupna (207,6 mln) a zaksięgowaniem EGB w GetBacku na kwotę 47 milionów w trzecim kwartale 2017. Skąd dysproporcja? Dla tych, którzy przyglądają się aferze GetBacku, nie jest tajemnicą, że prezes Konrad K. dość swobodnie żonglował danymi finansowymi. Osoba znająca dobrze sprawę GetBacku: „Moja hipoteza jest taka: za trzeci kwartał przy sprawozdaniach nie musisz mieć opinii audytora. Być może K. chciał w czwartym kwartale pokazać w papierach wyższą wartość EGB, by zaprezentować rynkowi lepsze wyniki GetBacku. Tego się nie dowiemy, bo z powodu wybuchu afery sprawozdanie nie zostało zaprezentowane”.

W aktach śledztwa są zeznania Bożeny S., b. członkini zarządu GetBacku, aresztowanej, a następnie, co ciekawe, wypuszczonej na wolność. S. zeznaje, że cena za EGB od początku wydawała się jej za wysoka. To ciekawe zeznania w świetle informacji, że Bożena S. była w radzie nadzorczej EGB oraz we władzach GetBacku i akceptowała transakcję.

W całej sprawie jest jeszcze jeden argument czysto logiczny. Zadaniem Osieckiego nie było dbanie o interes GetBacku, ale dbanie o akcjonariuszy TFI, które jest przecież spółką giełdową. Dlaczego miał sprzedawać spółkę tanio, jeśli ktoś chciał kupić za więcej? Dbanie o interesy GetBacku leżało po stronie jego właścicieli i zarządu, a nie Altusa.

No dobrze, ale przyjmijmy na potrzeby tego tekstu, że transakcja, na którą w maju 2018 KNF doniosła do prokuratury, nie była jednak w porządku.

Osiecki w czerwcu zaniósł do prokuratury pudła z dokumentami na temat sprzedaży EGB. Chciał zeznawać. Śledczy nie zgodzili się go wysłuchać. Gotów był odwrócić transakcję i wziąć EGB za cenę, za którą ją sprzedał. Nie było to jednak możliwe, bo EGB została już wcielona do GetBacku. Rzucił pomysł niezależnego arbitrażu transakcji. Nie było zgody. Chciał dokapitalizować GetBack, by spółka nie padła. Brak reakcji.





W lipcu po meczu na wilanowskim orliku jeden z jego znajomych bez ceregieli spytał:

- Boisz się?
- Boję. Wdepnąłem, bo sprawa ma charakter polityczny.

## Zatrzymanie

Piątek, 31 sierpnia, 6 rano. Walenie do drzwi. Osiecki otwiera w nocnej bieliźnie. Widzi kilku zamaskowanych funkcjonariuszy z długą bronią. Rzucają go na ziemię, skuwają ręce kajdankami. Interweniujący nie pozwalają zamknąć drzwi do pokoiów dzieci, więc wszystko odbywa się na ich oczach.

Dokładnie w tym samym momencie bliźniacza ekipa puka do drzwi mieszkania członka zarządu Altusa, Jakuba Ryby. – To co, nie budzimy sąsiadów? – pyta Rybę dowodzący akcją funkcjonariusz.

– Nie budzimy – odpowiada Ryba. Tu wszystko odbywa się dyskretnie i spokojnie. Bo Ryba jest mniej znany i nie trzeba robić pokazu?

Nie mija więcej niż kilkadziesiąt minut, gdy relacja z zatrzymania pojawia się w publicznej telewizji. Zilustrowana jest filmikiem z zamaskowanymi funkcjonariuszami w hełmach, na filmowych przebitkach widać radiowozy i skutego człowieka.

Osieckiego wiozą do prokuratury przy Krakowskim Przedmieściu. Tam przedstawiają mu zarzuty na piśmie. Okazuje się, że coś poszło nie tak, bo za chwilę pojawiają się inne: z wielokrotnie większą kwotą strat niż w pierwszym. W pierwszym piśmie była za mała strata, która opinii publicznej wydałaby się śmieszna? W tym drugim kwota strat wynosi 160 milionów. Co ciekawe, tego samego poranka CBA wydaje oświadczenie (wisi do tej pory na stronie Biura), w którym podaje, że straty mogą wynosić co najmniej... 260 milionów.

W prokuraturze Osiecki dostaje pytania, czy w związku z postanowieniem decyduje się składać wyjaśnienia. Mówi, że chce zaczekać na adwokata, który jeszcze nie dojechał na Krakowskie Przedmieście. W dokumentach zostaje zapisane, że Osiecki odmawia wyjaśnień, co przecież jest nieprawdą.

CBA pakuje go do samochodu i zawozi do swojej siedziby przy Poleczki na południowych obrzeżach stolicy. Tam nie przeprowadza żadnych czynności, nie ma żadnego działania.

Znów wsadzają go do auta i zawożą z powrotem na Krakowskie Przedmieście. Na miejscu są już obrońcy Osieckiego, którzy protestują przeciw zapisywaniu w dokumentach, że ich klient odmówił wyjaśnień. W odpowiedzi słyszą, że jest za późno i Osiecki nie będzie miał okazji zeznawać. Może złożyć wyjaśnienia na rozprawie aresztowej w dniu następnym, bo prokuratura będzie wносиła o taką właśnie sankcję. Tak Osiecki ląduje na noc za kratami.

Doświadczony adwokat: „Jeśli robisz akcję zatrzymania kogoś w piątek, to jest sygnał, że jesteś pewien, iż sąd przyklepie ten areszt. Jeśli masz mniej tej pewności, to zatrzymujesz kogoś z wcześniejszych dni tygodnia, bo wtedy możesz przetrzymać gościa przez 48 godzin w izbie zatrzymań. I wtedy, będąc prokuratorem, masz więcej czasu na przyszykowanie wniosku o areszt. Jeśli zatrzymujesz w piątek, to masz tego czasu o połowę mniej, bo rozprawa aresztowa odbywa się już następnego dnia”.

## Rozprawa

1 września, sobota. Rozprawa aresztowa jest zaplanowana na godzinę 10. O 8.30 Osiecki, Ryba i w sumie 6 prawników mogą zacząć się zapoznawać z dokumentami, które z prokuratury trafiły do sądu. Mało czasu. W sumie 8 osób, 90 minut, kilkaset stron do przeczytania i linia obrony do ułożenia. W praktyce wygląda to tak, że w pośpiechu prawnicy i zatrzymani wyrywają sobie kartki z rąk.

Rozprawa trwa 6 godzin. Osiecki opowiada o tajnikach rynku kapitałowego, o skomplikowanych detalach transakcji, w której brało udział wiele podmiotów. W trakcie rozprawy nie dostaje od sędzi ani jednego pytania. Prośby o uściślenie czegoś, wyjaśnienie. Nic. Zero.

Przerwa. Prokuratorzy nie zdążają wyjść przewietrzyć się przed budynek. Mija najwyżej 20 minut i jest decyzja wydana na piśmie: trzy miesiące aresztu. Te 20 minut



to mniej więcej tyle, ile potrzeba na wypełnienie druku.

Prawnicy Osieckiego proszą o zestawienie dyżurów w sądzie. Nie dostają odpowiedzi do dzisiaj.

## Areszt

Aresztowany trafia na Białąłękę. Długo tam nie gości, o czym obrońców Osieckiego nie powiadomiono. Funkcjonariusze pakują go do transportu.

- Dokąd jedziemy? – pyta Osiecki.
- Do Szczecina – odpowiada ucieszony konwojent.

Łąduje w areszcie na warszawskim Grochowie. W czteroosobowej celi. Ze skazanym grypsującym recydywistą. To złamanie jakichkolwiek zasad wobec niekaranego wcześniej aresztanta. Zaczęły się groźby, szykany ze strony grypsującego współwięźnia.

W końcu udało się przenieść tego człowieka do innej celi. Gdy kończę pisać ten tekst, Osiecki siedzi już dwa miesiące. Miał okazję do jednego spotkania z żoną. W sali widzeń przy stoliku siedział z nimi funkcjonariusz, całe spotkanie było dozorowane. Dopiero po dwóch miesiącach, tuż przed Świętem Zmarłych, po bardzo silnej presji obrońców, Osiecki zostaje po raz pierwszy przesłuchany. Przesłuchany to może powiedziane na wyrost. Bo prokurator miał może ze trzy pytania. Reszta to była swobodna opowieść. Typowe metody aresztu wydobywczego, gdzie musisz najpierw zmięknąć, poczuć się mały wobec siły systemu i potem może dostaniesz szansę się wypowiedzieć.

## Apelacja

Osiecki i jego prawnicy zaapelowali od decyzji o zamknięciu go w areszcie. Sprawę rozsądzała Grażyna Puchalska. W zgodzie z przepisami sędzia powinien być wylosowany do rozstrzygania. Czy był? Nie wiadomo, bo w sądowym dzienniku elektronicznym na ma stosownej adnotacji, chociaż być powinna. Puchalska to sędzia z bogatą przeszłością. W lutym 2016 roku

portal wPolityce.pl pisał tak: „To sędzia z ponad 30-letnim doświadczeniem. Niezbyt chlubnym. Wspominają o niej Adam Strzembosz i Maria Stanowska w książce »Sędziowie warszawscy w czasie próby 1981–1988«, wydanej przez IPN w 2005 r.

W rozdziale 5 »Postawy sędziów i prokuratorów w procesach politycznych z lat osiemnastych« na s. 251 tej publikacji czytamy:

»Spośród pozostałych sędziów sądów powszechnych negatywnie wyróżniali się sędziowie sądów rejonowych: Eugeniusz Kołtuniak, Piotr Aleksandrow i Grażyna Puchalska. (...) Sędzia Puchalska orzekała w sądzie rejonowym (na ogół w składzie jednoosobowym, niekiedy z ławnikami) zarówno w sprawach o przestępstwa (wobec 10 osób), jak i w sprawach o wykroczenia (wobec 5 osób). We wszystkich tych sprawach doszło do skazania, z czego 9 osobom wymierzono bezwzględne kary pozbawienia wolności, w tym 8 – w przedziale od 1 roku do 3 lat, i 5 – bezwzględne kary aresztu (od 2 do 3 miesięcy), niekiedy nawet surowsze niż żądał oskarżyciel. Podkreślenia wymaga fakt, że orzeczenia wydane z jej udziałem w sprawach o wykroczenia, inaczej niż w zdecydowanej większości takich spraw (prawie 80%), nie przyniosły nawet minimalnej poprawy sytuacji osób ukaranych przez kolegia. Surowość wymierzonych kar razi tym bardziej, że sędzia Puchalska orzekała w latach 1985–1986, a więc w kilka lat po zniesieniu stanu wojennego«.

W 2009 r. o tej pani pisał »Nasz Dziennik«. A to dlatego, że na jej trop wpadł Przemysław Maksymiuk, dawny opozycjonista. W 1986 roku, w przyspieszonym procesie, Puchalska skazała go (oraz pięć innych osób) za drukowanie i rozpowszechnianie nielegalnych wydawnictw”. Tyle wPolityce.pl, które konstatuje, że osób takich jak Puchalska dawno nie powinno być w wymiarze sprawiedliwości.

Ale wiosną 2016 roku Puchalska była w składzie, który podjął bardzo korzystną decyzję dla Mariusza Kamińskiego, ministra odpowiedzialnego m.in. za działania CBA. Sąd uznał, że prezy-

dent Andrzej Duda skutecznie ułaskawił ministra i innych byłych funkcjonariuszy Biura za przypisywane im nadużycia władzy sprzed dekady.

– Wyrok oznacza, że sąd uznał, iż prezydent może nie tylko uwolnić od kary, ale ma prawo wyjąć dowolne osoby spod władzy prawa. Że może na dowolnym etapie postępowania prokuratorskiego czy sędziowskiego powiedzieć: „Tego człowieka nie wolno ani oskarżyć, ani sądzić” – oburzała się Ewa Siedlecka na łamach „Gazety Wyborczej”.

Wracając do Osieckiego i rozprawy, której przewodniczyła sędzia Puchalska. W ostatniej chwili do sprawy zostało dołączonych 80 stron nowego materiału. Osiecki nie został przywieziony na rozprawę, prawnicy nie mieli z nim kontaktu. Krótko mówiąc osoba, której sprawa

Czy w całej sprawie nie chodzi przypadkiem o podważenie wiarygodności do prywatnych TFI i oddanie tego rynku w ręce państwa?

dotyczy, nie miała szansy odnieść się do materiałów. Do materiałów, które miały być podstawą do zastosowania aresztu. obrońcy wniesli o odroczenie, by ich klient mógł przeczytać nowe dokumenty. Odmówiono im. Argument, że silnie związana z Osieckim chora 18-letnia córka jest w coraz gorszym stanie, że dochodzi u niej do przypadków autoagresji, co potwierdzają opinie lekarzy? Fragment ekspertyzy psychologicznej z września: „Widok obcych osób wzbudza w niej niepokój, pojawiają się zachowania

autoagresywne – gryzie rękę, uderza się rękami po głowie i nogach, gryzie i szarpie przedmioty oraz ubrania”.

Bez znaczenia. Areszt zostaje utrzymany. Powiedzieć o ustnym uzasadnieniu, że jest lakoniczne, to mało. Brzmi ono tak, że sąd nie zgadza się z argumentacją zaprezentowaną przez obrońców. I tyle. Kropka.

## Konsekwencje

Zatrzymanie Osieckiego w ostatnim dniu sierpnia spowodowało dramatyczny spadek wartości akcji Altusa. Giełdowy wykres z 31 sierpnia wygląda jak wodospad Niagara.


5 września portal Business Insider, na podstawie przecieków, opublikował kuriozalny tekst, że KNF na posiedzeniu 2 października odbierze Altusowi licencję na zarządzanie funduszami. Dlaczego piszę „kuriozalny tekst”? Dlatego, że w momencie, gdy był pisany, sprawdzenia KNF-u w Altusie dopiero trwały i w najmniejszym stopniu nie było wiadomo, czym się skończą. Zresztą czas pokazał, ile przeciekowy tekst był wart. Minął październik, a KNF takiej decyzji nie podjęła. Sprawę publikacji owego materiału bada dziś prokuratura w kierunku manipulacji giełdowej.

Oba te wydarzenia (zatrzymanie Osieckiego i przeciekowy tekst w Business Insider) wywołały panikę na rynku giełdowym. Jak wspomniałem, kurs Altusa poleciał w przepaść, a klienci zaczęli masowo wycofywać pieniądze z funduszy zarządzanych przez Towarzystwo. To spowodowało, że Altus, by oddać ludziom pieniądze, musiał zacząć wyprzedawać akcje spółek po niekorzystnych cenach. We wrześniu klienci detaliczni zgłosili chęć wycofania środków z Altusa na bezprecedensową skalę 85% wszystkich aktywów. Towarzystwo miało w szczytowym momencie 10 tysięcy klientów – przedsiębiorców, lekarzy, prawników, czyli indywidualnych inwestorów, którzy dostali po kieszeni.

Dalsze konsekwencje? Głębokie zachwianie na giełdzie. Kursy spółek zaczęły lecieć w dół. Przykłady z września: Toya 58% w dół, Grupa ATM 23%, Oponeo.pl 24%, PBKM 11%.

W pierwszej połowie września indeks małych i średnich spółek osunął się o kilkanaście procent. Co więcej, przestraszeni klienci innych TFI zaczęli również wycofywać środki, co pogłębiło spadkowy trend. Ofiarą padli akcjonariusze TFI, klienci, wreszcie akcjonariusze dziesiątek spółek, których

kursy poleciały w przepaść. Skutki są miliardowe, kilkudziesięciokrotnie przewyższające ewentualną szkodę GetBacku, mającą wynikać z nabycia firmy EGB. Powiem więcej – są wyższe niż jakiekolwiek szkody szacowane w związku z całą aferą GetBacku i niespłaceniem przez nich obligatariuszy.



Skutki są miliardowe, kilkudziesięciokrotnie przewyższające ewentualną szkodę GetBacku, mającą wynikać z nabycia firmy EGB. **Powiem więcej, są wyższe niż jakiekolwiek szkody szacowane w związku z całą aferą GetBacku i niespłaceniem przez nich obligatariuszy.**

A przecież bez większego problemu można było zabezpieczyć kwotę domniemanej straty na EGB i nie doprowadzać do hysterii, co uderzyło w cały rynek. Przecież w tym właśnie wątku prokuratura dokonała zabezpieczeń na kwotę co najmniej 70 milionów złotych na akcjach, udziałach, na kontach i nieruchomościach.

Po co w takim razie to wielkie przedstawienie?

Pytanie, dlaczego państwo postąpiło jak słon w składzie porcelany? Spróbujmy na nie odpowiedzieć.

## Epilog

Po pierwsze, populistyczne i ostre akcje władzy wobec zamożnych, lepiej sytuowanych zawsze dobrze się sprzedają. I to jest mechanizm znany, odkąd istnieją społeczeństwa. Po drugie, państwo i jego instytucje, choćby takie jak KNF, kompletnie pokpiły sprawę GetBacku. I teraz starają się nadrobić błędy działaniami często przeprowadzanymi na oślep. Wedle zasady: „My nic nie robimy? Nie działamy? Ale jak to? Widzieliście przecież w telewizji ludzi, których wyprowadzamy w kajdankach! Nikt nie działa skuteczniej niż my!”.

Stosując areszty wydobywcze, presję, zmęczenie ludzi, którzy nigdy wcześniej nie znaleźli się w takich warunkach, naprawdę udaje się wyciągnąć z nich wiele. Są osoby, które zrobią i powiedzą bardzo dużo, by tylko wydostać się z krat. Można praktycznie dowolnie sterować śledztwem. Od jednych je odsunąć, skierować w stronę wygodnego wątku. Powiedzmy sobie szczerze: Osiecki to ma jeszcze trochę szczęścia w nieszczęściu. Stać go na mocną ekipę prawników, którzy starają się walczyć o jego prawa. Co z aresztantami, którzy na taką pomoc liczyć nie mogą?

Ludzie z rynku finansowego spekulują o jeszcze jednym scenariuszu związanym z całą tą historią. Takim, że podważenie zaufania do prywatnych TFI jest działaniem zaplanowanym i prowadzonym z precyzyjnym zamysłem. Po co? Po to, by cały ten rynek oddać w ręce TFI powiązanych z państwowymi firmami. Krótko mówiąc – upaństwowić.

Wszystko to, o czym piszę, rozgrywa się w ciszy. Większość zainteresowanych nie rozumie lub udaje, że nie rozumie, o co chodzi. Opozycja milczy. Pewnie boi się, że zostanie przyklejona do afery GetBacku. Media, w większości zależne od państwowych ogłoszeń, również wolą się nie wychylać. Wielu przedsiębiorców też nie bardzo chce, by zainteresowanie instytucji państwa skierowało się w ich stronę.

Właściwie nie ma dnia, by przedstawiciele władzy, włącznie z panem premierem, nie mówili o Konstytucji Biznesu, nowym wymiarze sprawiedliwości, czystych zasadach, czytelnych regułach. A rzeczywistość? Rzeczywistość opisałem Państwu wyżej.



## O co chodzi z GetBackiem

GetBack to spółka, która działała na rynku wierzytelności. Podmiot był notowany na Giełdzie Papierów Wartościowych i teoretycznie poddany nadzorowi Komisji Finansów Publicznych. W rzeczywistości firma prowadziła rachunkowość wbrew przepisom i podawała rynkowi zafałszowane wiadomości o swej sytuacji finansowej. Odpowiadają za to jej władze, renomowani audytorzy, ale też nadzór finansowy, który tego nie wyłapał. GetBack wypuszczał coraz to nowe obligacje, by zdobyć dla siebie finansowanie.

A papiery te były rekomendowane klientom przez niektóre instytucje finansowe (za sositą prowizją) jako korzystna inwestycja. Później okazało się, że było to ogromnym nadużyciem, bo GetBack był dziurawym okrętem. Za pożyczone pieniądze firma kupowała kolejne długi, których nie odzyskiwała. Pewien paradoks polegał na tym, że firma skupująca długi nie miała pieniędzy na spłatę własnych.

Sprawa eksplodowała 16 kwietnia 2018. GetBack podał bowiem wówczas, że prowadzi z PKO BP i Polskim Funduszem Rozwoju negocjacje na temat finansowania swojej działalności. Obie instytucje natychmiast zdementowały te wiadomości, a giełda, na wniosek KNF, zawiesiła obrót papierami GetBacku.

Na jaw zaczęły wychodzić informacje, że GetBack ma gigantyczne straty oraz że prowadził kreatywną księgowość na dużą skalę. I że nie jest w stanie uregulować należności wobec obligatariuszy. Okazało się również, że prezes GetBacku, Konrad K., szukał wsparcia o osób takich jak premier Mateusz Morawiecki.

A próbował to robić m.in. za pośrednictwem jego ojca, Kornela. Sprawa budzi duże napięcie również z tego powodu, że krążą informacje o nagraniach, których miał dokonywać Konrad K. Na jego nieujawnionych dotąd taśmach mają być politycy, biznesmeni, menedżerowie państwowych spółek. Straty osób fizycznych, które zostały zachęcane do zainwestowania w papiery GetBacku, są szacowane na ponad 2 miliardy złotych. Wierzycieli indywidualnych jest około 10 tysięcy, wierzycieli instytucjonalnych – kilkuset.

W całej sprawie zatrzymano już kilkanaście osób, m.in. menedżerów GetBacku, szefów biur maklerskich, które oferowały klientom trefne obligacje.

# Zmuszanie do seksu, szantaż i zastraszanie świadków, czyli...

Arkadiusz Kraska – zdjęcie (podobnie jak pozostałe) zostało wykonane w Zakładzie Karnym w Goleniowie, podczas spotkania z rodziną.



# Jak policja wrobiła w dożywocie niewinnego człowieka

Ewa  
Ornacka



**T**

o opowieść z matecznika polskiej mafii – ze strzelaniną, trupami i surowym wyrokiem.

Dziewiętnaście lat temu, w centrum Szczecina od kul zginęli dwaj złodzieje samochodów. Błyskawiczne działania policji, sprawne śledztwo i surowy wyrok komentowano z uznaniem, jako wyraz determinacji państwa w walce z coraz silniejszą mafią. Skazany na dożywocie Arkadiusz Kraska nigdy nie przyznał się do winy, ale nic w tym nadzwyczaj-

nego. Przecież mafijni kilerzy nie uznają skruchy.

Świat przestępczości zorganizowanej pęcznieje od takich historii, ale jeden szczegół różni naszą opowieść od innych – na dożywocie skazano niewinnego człowieka. Wiedzą o tym policjanci, prokuratorzy i dziennikarze. Ale klamka zapadła, wyrok jest prawomocny.







Instytucje, które mogłyby go wzruszyć, nie chcą przyznać, że system się pomylił. W przeciwnym razie Skarb Państwa musiałby wypłacić najwyższe w Polsce odszkodowanie za niesłuszne skazanie. Lepiej udawać, że sprawy nie ma.

Po latach od tamtych wydarzeń, były funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego, mający na koncie m.in. rozpracowanie słynnego gangu Oczki i struktur „Pruszkowa”, przeprowadził swoje śledztwo. Świadkowie opisali mu nie tylko nowe okoliczności zbrodni. Opowiedzieli również o skandalicznych praktykach służb kryminalnych w tamtej sprawie. Podobno ich sumienia poruszyła, znana z procesów przeciwko mafii, prokurator Barbara Zapaśnik mówiąc, że w jej odczuciu, wbrew zapadłym wyrokom, to nie Arkadiusz Kraska jest sprawcą zbrodni. Zrobiła to przed kamerami serialu dokumentalnego „Kobiety i mafia” (emitowanego ostatnio w TV4), w odcinku zatytułowanym „Egzekucja”. Jej słowa dodały odwagi innym.

Autorka niniejszego tekstu brała udział we wspomnianym dokumencie, towarzyszyła też byłemu funkcjonariuszowi CBŚ w detektywistycznym śledztwie. Jego ustalenia odsłaniają najgorszą stronę polskiej policji. Pora o tym opowiedzieć.

Ale zacznijmy od początku.

## Miasto z bandycką gębą

Tak o Szczecinie w czasach transformacji ustrojowej mówił w reportażu Adam Zadworny, dziennikarz lokalnego oddziału „Gazety Wyborczej”. Od lat specjalizuje się w tematyce kryminalnej, dlatego był naszym przewodnikiem po mieście bezprawia.

– Szczecin wszedł w lata 80. z, dużymi już, przestępczymi koneksjami i myślę tu o przestępczości zorganizowanej, a nie podwórkowych bandach – wspominał. – Złodzieje samochodów, obok przemytników spirytusu i papierosów, stanowili elitę finansową miasta. W tamtym czasie „dobry” złodziej za auto z górnej półki potrafił zarobić 15–20 tys. dolarów.

Młode wilki, bo tak o nich mówiono, zdominowały kluby nocne i kroniki kryminalne. Wielu pochodziło z tzw. dobrych domów, robiło kariery sportowe. Jednym z nich był Bogusław L. – światowej sławy pływak ze Szczecina, który kradzione w Niemczech limuzyny wyposażał w perfekcyjnie podrobiane dokumenty. Pracował z nim Robert Sajdak, kolarz z Berlina, i Marek Cisoń – podobno

**Oczko** - taki pseudonim nosi Marek M. - jeden z pionierów i liderów przestępczości zorganizowanej w Polsce. Przyjaciół Słowika z „Pruszkowa” i Ricardo Fanchiniego powiązanego z rosyjską, włoską i amerykańską mafią. Do roku 1998 Oczko i jego gang niepodzielnie rządili Szczecinem. Kiedy zostali aresztowani i skazani, w mieście rozgorzała wojna o panowanie nad przestępczymi interesami. Oczko na wiele lat trafił do więzienia, m.in. za zlecenie zabójstwa rezydenta białoruskiej mafii w Polsce. Jest tam zresztą do dziś (ostatnio aresztowany za przemyt narkotyków).

**Prokurator Barbara Zapaśnik** z Prokuratury Regionalnej w Szczecinie jako pierwsza w Polsce skutecznie uderzyła w mafię. Na wiele lat przed „Pruszkowem” rozbiła międzynarodowy gang samochodowy, dla którego pracował jeden z bohaterów tej opowieści. Postawiła przed sądem Leszka K. ps. Kasza – pioniera przestępczości gospodarczej, słynny gang Oczki i grupę Goryla. Chociaż była już w stanie spoczynku, w 2016 roku powróciła do czynnej służby.

**Marek Cisoń ze Szczecina** – ulubieniec Nikosia z Gdańska, szefa trójmiejskiej mafii. Jeden z najsprawniejszych złodziei samochodowych lat 90. Nie podporządkował się żadnym grupom przestępczym w kraju. Skonfliktowany z ludźmi Oczki. Zginął od kul, miał 28 lat.

**Robert Sajdak** – karany za przestępstwa samochodowe w zorganizowanej grupie przestępczej, sprowadzającej do Polski kradzione na Zachodzie limuzyny. Mieszkał w Berlinie, a 1999 już w Polsce. Miał żonę, spodziewali się dziecka. Zginął od kul przed stacją CPN, miał 35 lat.

**Arkadiusz Kraska ps. Willy**, człowiek od tzw. spraw siłowych (pobicia, ustawki, wymuszenia) w szczecińskim gangu Goryla. Skazany na dożywocie za zabójstwo Marka Cisonia i Roberta Sajdaka.

najzdolniejszy w złodziejskim fachu. Kariere robił też Gruby Janek, dzięki któremu przestępcy przekraczali granice z nielegalnymi paszportami, wyposażonymi w oryginalne paski. Gruby Janek brawurowo skradł je z pewnego urzędu wojewódzkiego.

Portowy charakter i przygraniczne położenie sprawiły, że Szczecin stał się nie tylko źródłem wielkich fortun, ale też areną krwawych porachunków.

Pierwszy od kul zginął Gruby Janek. W październiku 1993 roku zabójca przyszedł do jego mieszkania, wynajmowanego razem z dziewczyną. Strzelał do nich z broni z tłumikiem. Służby kryminalne były w szoku, bo nigdy wcześniej w przestępczych porachunkach nie zabijano kobiet. Do mafijnych egzekucji dochodziło w lasach i hotelach, a nie w domowym zaciszu.

Roberta Sajdaka i Marka Cisonia podziurawiono kulami pięć lat później. Zanim zginęli, przez miasto przetoczyła się cała seria krwawych porachunków. W spektakularnych egzekucjach na ulicach i w pubach ginęli nie tylko członkowie tamtejszych struktur przestępczych. Kule trafiały też osoby postronne.

## Zbrodnia i kara

Ósmego września 1999 roku, po dwudziestej, szczecińskie ulice świeciły pustkami. W telewizji transmitowano mecz Polska–Anglia. O 20.20 dyżurny policji odebrał telefon. Ano-

Arek i Maria pobrali się za kratami w grudniu 2016 roku. Znają się od dziecka.



## – Ogłosiłem w więzieniu, że nie zabił mi brata

i poprosiłem, aby go wszyscy szanowali  
– mówi Jacek Cisoń

nimowy rozmówca zgłosił, że w pobliżu stacji CPN przy Kopernika leży dwóch mężczyzn ze śladami po kulach na piersiach i plecach. Podobno w bramie Pasażu Handlowego A–Z usytuowanego na wprost stacji doszło do bójki i rozległy się strzały. Potem dwa samochody odjechały z piskiem opon.

Niemal w tym samym czasie odezwała się komórka Przemka Nadolskiego, rzecznika szczecińskiej policji, ulubieńca lokalnych dziennikarzy. Dzwonił reporter TVP.

– „Pan rzecznik siedzi sobie w fotelu i mecz ogląda, a tu w mieście strzelanina, krew się leje” powiedział, więc poderwałem się na nogi i pognałem na Kopernika – wspomina Nadolski.

Niebawem zaroilo się od policyjnych świateł i radiowozów. Funkcjonariusze ogrodzili teren taśmą i przystąpili do rutynowych czynności. Zabezpieczali ślady zbrodni i szukali świadków. Chwilę później pojawili się dziennikarze. Rzecznik krzyczał do nich z daleka, że jeśli wejdą za taśmę, to ich pozabija.

Marek Cisoń leżał nieprzytomny na trawniku; zmarł godzinę później. Roberta Sajdaka trafiły trzy kule. W karetce powiedział, że nie wie, kto do nich strzelał, i że jego żona jest w ciąży. Wychodząc z domu poinformował ją tylko, że odwozi Marka do centrum. „Wstaw ziemniaki, zaraz wracam” – krzyknął zamykając za sobą drzwi.

Operowano go w klinice przy Unii Lubelskiej. Nie miał szans, by przeżyć.

Egzekucja przy Kopernika zelektryzowała półświatek i służby mundurowe. Zastrzelono nie byle kogo, ale Marka Cisonia, ulubieńca samego Nikosia z Gdańska. Dla słynnego szefa





Arek z żoną i pasierbem Emilem podczas tzw. widzenia.

trójmiejskiego gangu chłopak ze Szczecina był kurą znoszącą złote jajka. Hurtowo dostarczał na Wybrzeże kradzione w Niemczech limuzyny, wymykając się ścigającej go policji i konkurencji. W Szczecinie było wtedy gorąco, trwała wojna o władzę. Wszyscy grupowali się w jakieś struktury, tylko Marek Cisoń chadzał swoimi ścieżkami.

Robert Sajdak miał za sobą wyrok za sprawy samochodowe, ale nikomu nie wchodził w drogę. Mówiono, że „zginął tylko dlatego, że był z Markiem”.

Zmęczeni strzelaninami mieszkańcy miasta i pogrążone w żałobie rodziny z ulgą przyjęły wiadomość o aresztowaniu podejrzanego. Z oficjalnych komunikatów prasowych policji wynikało, że zatrzymany był osobą zdemoralizowaną, a materiał dowodowy jednoznacznie świadczył o jego winie. Już wtedy ulica mówiła co innego: że tropy prowadzą gdzie indziej i zupełnie kto inny ma krew na rękach.

Arkadiusz Kraska, znany wśród kryminalistów jako Willy, miał słabe alibi. To, że podczas strzelaniny siedział przed telewizorem

i oglądał mecz, potwierdziły wprawdzie dwie osoby, ale żadna z nich nie była wiarygodna. Jedną z tych osób była jego partnerka Mirela, która miała prawo kłamać, aby dać mu alibi. Druga osoba to kolega, który wpadł na mecz, ale tak plątał się w zeznaniach, że w końcu sąd ukarał go za składanie fałszywych zeznań.

Willy, rzecz jasna, nie był aniołem. Kojarzano go z gangiem Goryla, toczącym walkę o panowanie nad miastem. Sam o sobie mówił, że nigdzie nie należał, za to wszędzie miał kolegów. Chodził na ustawki, szkolił się w walkach, był silny jak tur.

W marcu 2001 roku, w Sądzie Okręgowym w Szczecinie zapadł najwyższy z przewidzianych w polskim prawie wyrok. Kiedy na sali sądowej wybrzmiało słowo „dożywocie”, skazany zatoczył się krzycząc: „Co wy robicie?! Skazujecie niewinnego człowieka!”.

W uzasadnieniu wyroku napisano: „Społeczne poczucie sprawiedliwości wymaga, by



„Bierz dzieciaka i wyjeżdżaj jak najdalej stąd”, powiedział Mireli Willy podczas ich ostatniego spotkania w areszcie śledczym.

**„Tutaj cię znajdą i zabiją. Dopóki milczę i za nich siedzę – tobie i małemu nic nie zrobią”.**

sprawców tego typu przestępstw karać w sposób surowy i bezwzględny, eliminując ich definitywnie z ulic, zapewniając w ten sposób bezpieczeństwo w miastach, będących arenami porachunków”.

Adam Zadworny wspomina moment, kiedy sędzia Maciej Strączyński przytaczał sentencję wyroku. Podczas odczytywania słów „...uznaje za winnego tego, że...”: – Kraska rzucił się na podłogę, zaczął się tarzać jak zarzynane zwierzę. To wyglądało dość przerażająco. I pamiętam taką refleksję, która przyszła mi wtedy do głowy, że ten prosty chłopak nie mógłby tak dobrze udawać. Trzeba by mieć talent i warsztat aktorski, by zagrać taką scenę – komentuje dziennikarz.

Wyprowadzany z sali Willy padł na kolana przed matką Marka Cisonia i uderzając się w pierś zapewniał: „Pani Ewo, ja go nie zabiłem! Przecież Marek był moim przyjacielem!”.

– Uwierzyłam mu wtedy i nadal wierzę – mówi Ewa Cisoń. – Do tej pory mam odczucie, że sprawa była zakłamana. Świadkowie płatali się w zeznaniach lub nic nie mówili, bo się bali. Jako matka czuję, że było inaczej.

O tym, że sądowi nie udało się ustalić prawdy, jest też przekonany jej młodszy syn Jacek. Chłopak trafił do tego samego więzienia, w którym odbywa karę Willy.

– Spotkaliśmy się na spacerze i uściśniłam mu dłoń – mówi Jacek Cisoń. – Ogłosiłem w więzieniu, że nie zabił mi brata i poprosiłem, aby go wszyscy szanowali.

### **Niby wszystko jasne, ale nie do końca**

Rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Szczecinie SSO Michał Tomala zapewniał, że o pomyłce nie może być mowy: – Akurat w tej sprawie sąd posiadał bardzo bogaty materiał dowodowy – powiedział do kamery – gdyż na miejscu zdarzenia były dwie osoby, które uzyskały status świadków incognito, co pozwoliło im na złożenie obszernych i konsekwentnych zeznań. Wynikało z nich, że mężczyzną, który oddał strzały, był Arkadiusz Kraska.

Prokurator Barbara Zapaśnik (wówczas w stanie spoczynku, dziś w szeregach Prokuratury Regionalnej w Szczecinie), która miała odwagę wygłosić inny pogląd, szczeciński





półswiatek poznała od podszewki. Pracując w Wydziale do Spraw Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Szczecinie, posłała na długie wyroki ludzi z gangu Oczki. Zaraz potem oskarżała grupę Goryla, z którą wiązano Willego. Właśnie w tamtym śledztwie przekazywano jej pierwsze sygnały, że to nie Arkadiusz Kraska zabił Cisonia i Sajdaka. Prokurator chciała przyjrzeć się strzelaninie na nowo, lecz nie pozwolili jej na to przełożeni. Awansowali ją do Prokuratury Apelacyjnej, a z czasem wyrazili zgodę, by odeszła w stan spoczynku.

Dziś Barbara Zapaśnik znów jest czynnym prokuratorem, a to oznacza, że ma zdecydowanie mniejszą swobodę wypowiedzi dla mediów. Nie zmieniała jednak zdania na temat wyroku.

– Jeśli ktokolwiek mógłby mnie stąd wyciągnąć, to tylko pani prokurator Zapaśnik, ale przełożeni zapewne znów ją zablokują – obawia się Willy.

Spotykamy się w sali widzeń Zakładu Karnego w Goleniowie, w połowie października tego roku. Rozmawiamy w obecności byłego funkcjonariusza Centralnego Biura Śledczego.

– Wiem, że już wtedy, gdy powołała mnie na świadka w sprawie grupy Goryla, chciała

mi pomóc. Dużo osób mówiło jej, że to nie ja strzelałem, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć tego do protokołu. Moja sprawa była wtedy na końcowym etapie, przed kasacją. Wówczas w ogóle nie dopuszczałem myśli, że przyjdzie mi siedzieć za nieswoje do końca życia.

Eks-policjant przyznaje, że typowano innych sprawców, ale Centralne Biuro Śledcze zbyt późno włączyło się do sprawy:

– Dopiero po skazaniu Kraski zaczęły dochodzić nas słuchy, że palce w tamtej zbrodni maczał ktoś inny – precyzuje. – Zabójstwa generalnie nie leżą w naszych, to znaczy CBS, kompetencjach, no chyba że służby kryminalne zwracają się do nas o pomoc.

– Kiedy proszą o pomoc?

– Gdy zachodzą podejrzenia, że zbrodnia miała związek z przestępczością zorganizowaną.

– Nie podejrzewaliście, że to była mafijna egzekucja?

– Owszem, wiedzieliśmy, że Marek Cisoń łął ludzi Oczki i nikogo poza Nikosiem nie słuchał, co mogło być źródłem porachunków. Jednak w Wydziale Kryminalnym KWP w Szczecinie uznano, że nie trzeba nas angażować, ponieważ wrogowie Cisonia byli już za kratami.



Państwo młodzi oraz ich goście, wśród nich siostra Dorota (blondynka obok Arka), Piotr - przyjaciel od zawsze, Emil - syn Marysi i kuzyn Radek.

– Co w śledztwie służb kryminalnych poszło nie tak?

– Świadkowie incognito wielokrotnie zmieniali szczegóły swoich zeznań co do przebiegu zdarzenia i wyglądu zabójcy, więc w przeciwieństwie do rzecznika sądu nie widzę tu żadnej konsekwencji i spójności. Mówili też o broni z tłumikiem, podczas gdy biegli jednogłośnie orzekli, że broń, z której strzelano, nie mogła mieć tłumika.

– Dopiero wy zrobiliście wizję lokalną?

– I okazało się, że z miejsca zajmowanego przez świadków incognito NICZEGO nie można było zobaczyć. Stała tam wielka reklama Plusa i wszystko przysłaniała.

– Nie było zapisu z kamer, żeby to wszystko sprawdzić?

– Na stacji benzynowej był monitoring, ale akurat tamtego dnia się zepsuł. Wiemy,

że jeden z pracowników CPN miał związki z półświatkiem, w szczególności ze złodziejami samochodów. Nie ma jego zeznań w aktach.

– Może to on był jednym ze świadków incognito?

– Za dużo tu znaków zapytania i rozbieżności, za mało nadzoru prokuratorskiego nad czynnościami policji.

– Czy to w ogóle możliwe, aby skazać niewinnego człowieka?

– Przed sądem najważniejsze są zeznania osób. Jeśli dwóch świadków się umówi, aby zeznawać w określony sposób, mogą posłać do więzienia każdego.





## Sumienie obudzone po latach

Dożywocie dla Willego przypieczętowała młoda kobieta, która go rozpoznała i wskazała jako zabójcę. Zeznawała jawnie, nie chowając się za instytucją świadka incognito. Izabela Ł., bo o niej mowa, sama zgłosiła się na policję, aby... oczyścić z podejrzeń Arkadiusza Kraske. Byli znajomymi, znała też przestępczy Szczecin, gdyż jej mąż działał w jednym z gangów. O tym, co zobaczyła przy Kopernika, opowiedziała najpierw swojej koleżance Mireli. „Musisz pójść z tym na policję” przekonywała Izabelę partnerka Willego.

W sądzie wbiła oskarżonemu nóż w plecy. – „Tak, to Arkadiusz Kraska strzelał”, zeznała – przywołuje wspomnienia Willy. – Na sali zapanowała kompletna cisza i wtedy prowa-

dzący rozprawę sędzia zwrócił się do niej z pytaniem: „Czy zdaje sobie pani sprawę, co pani z człowiekiem zrobiła?”. Odpowiedziała, że poszła na układ z policją, która to mnie wytypowała na zabójcę. Potem szybko wyjechała za granicę.

Po emisji reportażu Izabela Ł. przyjechała do Polski na spotkanie z autorką. – Zastraszono mnie i zmuszono do zeznawania nieprawdy – stwierdziła. – Z upływem lat narastała we mnie świadomość tego, co zrobiłam niewinnemu człowiekowi.

Trudno zaufać komuś, kto tyle razy kłamał, lecz obok jej słów nie można przejść obojętnie. Izabela Ł. podpisała u notariusza – w obecności byłego funkcjonariusza CBS – takie oto oświadczenie.

„Byłam jednym z kluczowych świadków w tamtym procesie. Sama się zgłosiłam na policję, ponieważ widziałam twarz sprawcy. To nie był Arkadiusz Kraska. W ostateczności, przymuszona i zmanipulowana przez policjanta, złożyłam w śledztwie fałszywe zeznania. Nie udało mi się przekonać ani prokuratora, ani sędziego, że moje zeznania zostały wymuszone i są nieprawdziwe.

Tamtego dnia wracałam z moim dwuletnim wówczas synem ze szpitala. Już z oddali słyszałam odgłosy awantury przy pasażu handlowym. Skierowałam się dokładnie w tamtą stronę, ponieważ była to najkrótsza droga do mojego domu, nie czułam zagrożenia. (...) Co złego może się stać kobiecie z dzieckiem, skoro mężczyźni zajęci są sami sobą – myślałam”.

## Człowiek w czapce

„Znalazłam się dokładnie w epicentrum awantury. Przy stanowiskach parkingowych stało jakichś dwóch mężczyzn, naprzeciwko nich, na schodkach – trzeci. Miał czapeczkę z daszkiem mocno nasuniętą na oczy. Nie znałam go, a gdyby było inaczej, to rozpoznałabym jego głos, ponieważ oni wszyscy głośno się kłócili.

Kiedy ich minęłam, usłyszałam przytłumione strzały. Obróciłam się, spojrzałam na człowieka w czapce. Nasze spojrzenia się spotkały, co będę pamiętać do końca życia. Chwyciłam mocniej syna za rękę i uciekłam w popłochu. Schowaliśmy się za samochodem po drugiej stronie ulicy.

Nikom nie powiedziałam, co widziałam.

Nie wiedziałam, że tam zginęli ludzie. Dowiedziałam się od Mireli i tego, że Arka aresztowano. Powiedziałam jej, że to jakaś bzdura, że wiem, co mówię, ponieważ byłam tam! Mirela zapytała, czy mogłabym to zeznać na policji. Powiedziałam, że tak.

Umówiła mnie na spotkanie z policjantem – za pośrednictwem jakiegoś jej znajomego. (...) Poprosiłam, aby poszła ze mną, to będzie mi różnie”.

## **Człowiek z policyjną odznaką**

„Policjant czekał na nas w samochodzie. Mirela odeszła zaraz po wymianie uprzejmości. Opowiedziałam mu na gorąco przebieg zdarzenia, którego byłam świadkiem. Już na wstępie podkreśliłam, że to nie był Arek. Policjant słuchał bez słowa komentarza. Następnie zabrał mnie do Komendy Wojewódzkiej. (...)

Podczas przesłuchania oznajmił, że »mam nie kłamać, bo sprawcą jest Arek«. Zaprzeczyłam stanowczo. On na to, że jeśli będę się upierać i kręć mordercę, to będę miała postawione zarzuty współudziału w zbrodni, że mam się zastanowić, co robię, bo przecież mam dziecko i »kto się nim opiekuje, kiedy matka pójdzie siedzieć, a ojciec już siedzi«. Mój mąż rzeczywiście był wtedy za kratami.

Przesłuchiowano mnie w tej sprawie kilkakrotnie (...) Dwa lub trzy razy konsekwentnie upierałam się przy swoim. Irytowałam policjanta swoją postawą. Krzyczał na mnie, wygrażał, że »jak wciąż będę kłamać, to pójdę na dołek i już nie zobaczę syna«. Płakałam. Przysięgałam, że mówię prawdę, ale on wciąż to samo: »prawda jest jedna – strzelał Arkadiusz Kraska«. Ten człowiek mnie terroryzował. Psychicznie to była dla mnie masakra. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam – ani wcześniej, ani później, chociaż w życiu wielokrotnie miałam do czynienia z policją, przez męża kryminalistę. Ja mówiłam swoje, a on swoje. Nie pamiętam teraz, czy to on sporządzał protokoły z przesłuchania. Chcę podkreślić, że nie dawał mi ich do czytania, chociaż go o to prosiłam. Mówił: »Po co ci to czytać. Przecież wiesz, co powiedziałaś«.

Poddałam się na ostatnim przesłuchaniu. Miałam dość krzyków, zastraszania. To wszyst-

ko trwało tak długo, każde przesłuchanie ciągnęło się wiele godzin. Chciałam wracać do domu, do dziecka. Wtedy powiedziałam, że to był Arek. Policjant odetchnął z ulgą mówiąc: »Trzeba było tak od razu. Zaoszczędziłabyś sobie wizyt na komendzie i tych nerwów«. Był dla mnie zdecydowanie miłszy, zaproponował nawet kawę czy herbatę, ale odmówiłam”.

## **„Przestałam się bać”**

W dalszej części oświadczenia Izabeli Ł. czytamy:

„Nie miałam wówczas świadomości, że moje zeznania posyłają na dożywocie niewinnego człowieka. Byłam przesłuchiwana w tej sprawie w prokuraturze. Nie pamiętam dziś, kto mnie przesłuchiwał, ale od początku mówiłam, że byłam zastraszana przez policjanta i że nikt nie brał pod uwagę prawdy. Usłyszałam, że teraz jestem niewiarygodnym świadkiem i nie wiadomo, czy moje zeznania w ogóle będą brane przez sąd pod uwagę. Przed sądem mówiłam to samo, co w prokuraturze. Sędzia prowadzący rozprawę powiedział, że mam nie mataczyć, bo dostanę wyrok za składanie fałszywych zeznań. Na kolejnej rozprawie też powiedziałam, że to nie był Arek, ale chyba nikt mi już nie wierzył.

Przestałam się wreszcie bać, że trafię do więzienia i już nie zobaczę dziecka. Od lat mieszkam za granicą. Uciekłam od przeszłości, zaczęłam wszystko od nowa.

(...) Obejrzałam w internecie reportaż o Arku, to był serial Ewy Ornackiej pt. »Kobiety i mafia«. Byłam w szoku, płakałam, musiałam wziąć tabletki na uspokojenie. Potem tym tematem zajęła się telewizja Polsat, program »Państwo w państwie«. Wiem, że są ludzie, którzy chcą pomóc Arkowi. On naprawdę na to zasługuje, ponieważ jest niewinny.

Jestem gotowa powiedzieć to wszystko przed sądem, jeżeli proces Arkadiusza Kraski zostanie wznowiony” zadeklarowała w oświadczeniu Izabela Ł.

## **Seks pod sztucznym bluszczem**

O kulisach pracy operacyjnej policjanta służb kryminalnych KWP w Szczecinie opowiada nam także była partnerka Arkadiusza Kraski. Mirela od początku konsekwentnie powtarzała, że w



czasie strzelaniny Willy był w domu i oglądał mecz. Jedynym człowiekiem, który sprawiał wrażenie zainteresowanego jej wersją wydarzeń, był rekin przestępczego Szczecina z Parkowej, znany pod pseudonimem Prezes.

– Prezes umówił mnie ze znajomym policjantem – mówi Mirela. – Prosił, abym powiedziała wszystko jak na spowiedzi. Nie chciał znać treści naszej rozmowy, dlatego z jego mieszkania przenieśliśmy się do kawalerki przy tej samej ulicy. Od początku wyczuwałam negatywne nastawienie do mnie tego policjanta. Na miejscu zorientowałam się, że zaciągnął mnie tam na seks, bo przecież porozmawiać mogliśmy w samochodzie.

Na miejscu policjant zaproponował mi drinka, ale odmówiłam chcąc mieć to szybko z głowy. Wykorzystał mnie seksualnie, przy czym nie musiał używać siły. Sytuacja była czytelna, wiedziałam, że stawianie oporu nic nie da. Poddałam się, byłam bez szans. Ostentacyjnie położył przy mojej głowie broń, czym mnie skutecznie zastraszył.

Podczas stosunku wciąż myślałam o tym, że w sztucznym bluszczu przy kanapie znajduje się ukryta kamera i ten człowiek będzie miał na mnie taśmę. Po wszystkim nie wysiłał się na uprzejmości.

Chciałam skorzystać z toalety i poprosiłam o ręcznik – kontynuuje – a on huknął na mnie: „Co ty, kurwo, myślisz, że jesteś w pięciogwiazdkowym hotelu?!”. Uświadomił mi bez ogródek, że dla dobra własnego i dziecka mam siedzieć cicho i w ogóle nie wracać do sprawy strzelaniny. Próbowалам przekonywać go o niewinności Arka, na co on chwycił mnie za włosy, wystawił mi głowę za okno i krzychał: „Nawet jak znikniesz bez śladu, to i tak nikt się nie zorientuje. Gdybyś się całe życie ruchała, to nie uzbierasz takich pieniędzy, jakie poszły na to, aby Willy poszedł siedzieć”. Zagroził też, że jak będę się stawiać, to moje dziecko trafi do placówki opiekuńczej.

Wybiegła na klatkę schodową w popłochu, korzystając z chwili jego nieuwagi. Nie zdążyła założyć butów, uciekała boso po schodach, uruchamiając wcześniej windę. Słyszała, jak krzychał do kogoś: „Kurwisko uciekło, stój przy drzwiach!”.

– To wszystko musiało być wcześniej ukartowane, żeby mnie skutecznie zastraszyć i żeby nigdy nie mówiła prawdy o tamtych wydarzeniach – ocenia po latach Mirela.



Wierny kibic „Pogoni”, od zawsze.

## Dla dobra dziecka

„Bierz dzieciaka i wyjeżdżaj jak najdalej stąd”, powiedział Mireli Willy podczas ich ostatniego spotkania w areszcie śledczym. „Tutaj cię znajdą i zabiją. Dopóki milczę i za nich siedzę – tobie i małemu nic nie zrobią”.

Posłuchała i wyjechała.

Arkadiusz Kraska nigdy nie powiedział śledczym, kto wtedy strzelał, chociaż można odnieść wrażenie, że dobrze wie, za kogo odbywa wyrok. W śledztwie przyznał jedynie, że podejrzewa Jacka S., Siemiana.

## Szara eminencja

Kim jest Siemian?

– Płatnym informatorem służb – z niechęcią mówi o nim jeden z najważniejszych ludzi w gangu Oczki. – Złodziejem samochodów pracującym w latach 90. dla Nikodema Skotarczaka. Widziałem kwity, że chodził „na psy”

# Kiedy na sali sądowej wybrzmiało słowo „dożywocie”, skazany zatoczył się krzycząc: **„Co wy robicie?! Skazujecie niewinnego człowieka!”.**

i podpierdalał kolegów za pieniądze. Pojechaliśmy z tymi kwitami do Nikosia. Mówimy, żeby przestał chronić frajera. Ale Nikodem sam był konfidentem, to co się dziwić, że drugiego konfidenta chronił. Dał Oczce golfa w rozliczeniu, żeby tylko Siemiana nie dotykać.

W przestępczych kręgach Siemian poruszał się jak wąż, a gdy popadał w kłopoty, niewidzialna ręka zawsze go z nich wyciągała. Na początku lat 90. głośno było o jego ucieczce z Aresztu Śledczego w Szczecinie. Nie musiał piłować krat i kopać tunelu. Miał dorobione kłucze, którymi pootwierał sobie wszystkie drzwi do wolności.

– Nie pamiętam drugiej tak spektakularnej ucieczki – przyznaje emerytowany pracownik wydziału pościgowego tamtejszej komendy wojewódzkiej. – Szukaliśmy go w Bielsku-Białej, Krakowie i Wadowicach, dosłownie chodziliśmy po jego śladach. A tu Niemcy nam zgłaszają, że chwycili go na zachodniej granicy i zawożą do siebie. Uprzedziliśmy ich, że facet na pewno będzie chciał uciec, więc żeby go pilnowali jak oka w głowie. Nie wierzyli, ale na wszelki wypadek sprawdzili: Jacek S. miał już gotowy plan ucieczki z dokładną mapą aresztu!

Mirela zna Siemiana najdłużej, bo jeszcze z lat 90. Poznali się w Gdańsku, kiedy była bliską przyjaciółką Nikosia. W dzień strzelaniny Siemian wpadł do Mireli i Willego jak po ogień, Anglicy właśnie wbili naszym gola. Ale on nie był zainteresowany meczem, nie zdjął nawet kurtki. W przerwie zadzwonił jego telefon. „Słuchaj, Marka zastrzelili”, powiedział Arkowi po krótkiej rozmowie. Mężczyźni wyszli na moment do kuchni, rozmawiali nerwowo. „Po chuj tu w ogóle przyjechałeś?”, krzyknął Willy. Siemian wyszedł nie czekając na drugą połowę meczu.

– Tamten policjant z komendy wojewódzkiej, który wykorzystał mnie seksualnie i zastraszał, sprzyjał Siemianowi – mówi była partnerka Willego. – „A co ty myślałaś, że ta ucieczka z aresztu to był przypadek?”, pytał kpiąco. „Że niby matka Siemiana załatwiła mu to za pieniądze? Wszystko było ustawione, bo on dla nas pracuje”, powiedział.

Siemian jakiś czas przebywał w Hiszpanii, aktualnie mieszka w Norwegii. W przestępczych kręgach mówi się, że parasol ze strony służb dodał mu skrzydeł.

## **Niepamięć prokuratora**

Działania policji w sprawie strzelaniny przed CPN nadzorował prokurator Zbigniew Kałużny.

– Pamiętam go, był młody i przestraszony – wspomina Willy. – Przyjechał do mnie do aresztu dopiero pod koniec śledztwa. Prosił, żebym przypadkiem żadnych wniosków nie składał, bo on już musi zamknąć sprawę aktem oskarżenia. Gdybym się nie uparł, portret pamięciowy sporządzony na podstawie zeznań jednego ze świadków incognito nigdy nie trafiłby do akt jako dowód. Mężczyzna z portretu w niczym mnie nie przypominał.

Siostra Willego była pierwszą osobą, do której spływały nieoficjalne informacje o niestandardowych działaniach policji przeciwko jej bratu. Piętnaście lat temu poszła z tą wiedzą do prokuratury, do Zbigniewa Kałużnego, autora aktu oskarżenia.

– Wszystko mu leciało z rąk, taki był zdeenerwowany – wspomina Dorota Berg. – Zaprowadził mnie do naczelnika swojego wydziału, a ten nakazał mu sporządzić notatkę służbową, Nie wiem, co się z tą notatką stało,

ale gdy Arek o nią wypytywał, nikt nie mógł jej odnaleźć.

Prokurator Zbigniew Kałużny pracuje dziś w Komisji do Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu szczecińskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Autorka liczyła na rozmowę o tym: jak nadzorował tamto śledztwo i policjantów, którzy z nim pracowali.

– Proszę wybaczyć, ale ja prawie nie pamiętam tej sprawy – zastrzegł już na wstępie krótkiej rozmowy telefonicznej. – Tyle lat upłynęło... jedynie jak przez mgłę przypominam sobie, że to gdzieś przy stacji benzynowej było. Wszystkie czynności prowadziła policja.

– Nie miał pan zastrzeżeń do pracy policjantów?

– Miałem do nich zaufanie. To byli doświadczeni funkcjonariusze. Ale żadnych szczegółów nie pamiętam. Ja już przecież gdzie indziej pracuję.

## Temida naprawdę ślepa

Sędzia Maciej Strączyński, który skazał Arkadiusza Kraskę na dożywocie, został we wrześniu tego roku nominowany przez ministra Zbigniewa Ziobrę na prezesa Sądu Okręgowego w Szczecinie. W latach 2010–2016 stał na czele Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia. Media już dawno nazwały go Szeryfem. Przy okazji nominacji na prezesa SO w Szczecinie przypominano wydane przez niego surowe wyroki dla gwałcieli, zabójców i gangsterów. Dożywocie dla Arkadiusza Kraski to jedna ze złotych kart w jego zawodowym życiorysie.

– Już kilka lat temu napisałem do niego emocjonalną prośbę o ponowne rozpatrzenie mojej sprawy – przyznaje Arkadiusz Kraska. – Powołałem się na nowe okoliczności i zaniedbania w śledztwie. Nie czułem z jego strony nieprzychylności. Przydzielono mi adwokata z urzędu, sprawą zainteresowała się Prokuratura Generalna, a moje akta wysłano do Sądu Najwyższego. Ale tam nadzieję uśmiercono.

W Polsce jedynie Sąd Najwyższy może wzruszyć prawomocny wyrok, kierując sprawę do ponownego rozpatrzenia. Takie przypadki się zdarzają, chociaż należą do rzadkości. Sąd Najwyższy już trzykrotnie odrzucał wnioski Arkadiusza Kraski o wznowienie postępowania.

– Nie składamy broni, złożymy wniosek po raz czwarty – zapowiada adwokat z Gorzowa Wiel-

kopolskiego, reprezentujący pro bono bohatera tej opowieści. – Pomimo upływu lat skargę kasacyjną mogą wnieść Rzecznik Praw Obywatelskich oraz Minister Sprawiedliwości, czyli Prokurator Generalny, ale obaj odmówili. Stwierdzili brak podstaw.

O ile Sąd Najwyższy jest ślepy i głuchy, to Rzecznik Praw Obywatelskich pobił rekord w tzw. rozpatrzeniu sprawy. Biorąc pod uwagę czas potrzebny na dostarczenie z sądu całej dokumentacji, biuro Rzecznika Praw Obywatelskich miało jedynie kilka, najwyżej kilkanaście dni na zapoznanie się z jedenastoma tomami akt. Trudno uwierzyć, by w takim tempie przeanalizowano je ze stosowną uwagą.

– Mojemu bratu skradziono życie – podsumowuje siostra skazanego. – Jedną z osób, która chciała mu pomóc, była pewna kobieta, która widziała strzelaninę i twarze sprawców. Policja nigdy do niej nie dotarła, zadowolając się świadkami incognito. Ta kobieta miała niebawem złożyć zeznania. Z radością opowiadała sąsiadom, że wyciągnie z więzienia niewinnego człowieka, chociaż pewnie jej zeznania nie miałyby takiej mocy. Ale nie zdążyła pomóc mojemu bratu.

Pod koniec sierpnia tego roku znaleziono ją martwą. Leżała na brzuchu z pustą butelką po alkoholu w kurczowo zaciśniętej dłoni. Drzwi do mieszkania były otwarte. Bliscy nie wyrazili zgody na sekcję zwłok.

Już czas spojrzeć na opisaną historię nie tylko jak na dramat niewinnie skazanego człowieka. Zabójcy Marka Cisonia i Roberta Sajdaka są na wolności; niewykluczone, że coraz bliżej świadków. Stanowią śmiertelne zagrożenie.



# Państwo Polskie z premedytacją trzyma w więzieniu niesłusznie skazanych Adama Dudałę i Arkadiusza Kraskę [list otwarty]

P

iszemy ten tekst wspólnie, w gronie dziennikarzy od lat opisujących dramat Adama Dudałę i Arkadiusza Kraski. To nie tyle wyraz naszej siły, co frustracji. Mamy głębokie przekonanie,

że każdy z nas włożył wystarczająco dużo wysiłku, by dostatecznie wstrząsnąć wymiarem sprawiedliwości. Przez ostatnie lata dotarliśmy do głównych bohaterów, przedstawiliśmy dowody, obaliliśmy błędne założenia policji, prokuratury i sądów. Wraz z rodzinami i przyjaciółmi Kraski i Dudałę poruszyliśmy niebo i ziemię, by wyciągnąć ich z więzienia.

Ale system pozostał niewzruszony.

Adam Dudała - skazany za dwa zabójstwa, których nie popełnił. Siedzi w więzieniu, bo skruszony gangster pomylił go z innym Adamem. W wyniku koszarnej pomyłki usłyszał wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia.

Arkadiusz Kraska - odsiaduje dożywocie, też za dwa zabójstwa. Ale to nie on zabił. W jego winę nie wierzy nawet rodzina jednej z ofiar. Dziś ponad wszelką wątpliwość wiadomo, że został wrobiony.

Historię obu jako pierwsi opisali Ewa Ornacka i Piotr Pytlakowski. A po nich, w ciągu kolejnych lat, także współautorzy tego tekstu. Nie apelujemy o ułaskawienie Dudałę i Kraski. Sami by sobie tego nie życzyli. Są niewinni i oczekują sprawiedliwości.

Od dwudziestu lat proszą, by system przyjrzał się ich sprawom jeszcze raz. My prokuraturę i Ministerstwo Sprawiedliwości prosimy dziś o to samo.

**„Co wy robicie?! Skazujecie niewinnego człowieka!”.**

## **Przypadek Arkadiusza Kraski**

Dziewiętnaście lat temu, w zawładniętym przez mafię Szczecinie, od kul zginęli dwaj złodzieje samochodów. Zmęczeni strzelaninami mieszkańcy miasta i pogrążone w żałobie rodziny z ulgą przyjęły wiadomość o aresztowaniu podejrzanego. Z oficjalnych komunikatów prasowych policji wynikało, że Arkadiusz Kraska był osobą zdemoralizowaną, a materiał dowodowy jednoznacznie świadczył o jego winie. Co innego już wtedy mówiła ulica: że kto inny ma krew na rękach.

W marcu 2001 roku, w Sądzie Okręgowym w Szczecinie zapadł najwyższy z przewidzianych w polskim prawie wyrok. Kiedy na sali sądowej wybrzmiało słowo „dożywocie”, skazany zatoczył się, krzycząc: „Co wy robicie?! Skazujecie niewinnego człowieka!”.

W uzasadnieniu wyroku napisano: „Społeczne poczucie sprawiedliwości wymaga, by sprawców tego typu przestępstw karać w sposób surowy i bezwzględny, eliminując ich definitywnie z ulic, zapewniając w ten sposób bezpieczeństwo w miastach, będących arenami porachunków”.

Po latach od tamtych wydarzeń, znana z procesów przeciwko mafii prokurator Barbara Zapaśnik ze Szczecina publicznie powiedziała, że w jej odczuciu, wbrew zapadłym wyrokom, to nie Arkadiusz Kraska jest sprawcą zbrodni. Zrobiła to przed kamerami serialu dokumentalnego „Kobiety i mafia” w odcinku zatytułowanym „Egzekucja”. Nigdy dotąd żaden prokurator w Polsce nie pozwolił sobie na taką szczerość.

Prokurator Zapaśnik tamtejszy półświatek poznała od podszewki. Posłała na długie wyroki ludzi z gangu „Oczki”, a zaraz potem oskarżała kolejną grupę o charakterze zbrojnym, z którą wiązano Arkadiusza Kraske. Właśnie w tamtym śledztwie przekazywano jej pierwsze sygnały, że to nie on jest zabójcą. Prokurator chciała przyrzec się strzelaninie na nowo, lecz nie pozwolili jej na to przełożeni. Awansowali ją do Prokuratury Apelacyjnej, a z czasem wyrazili zgodę, by odeszła w stan spoczynku (dziś znów jest czynnym prokuratorem).

Jej słowa przed kamerami dodały odwagi świadkom, którzy przyjechali z zagranicy, aby opowiedzieć autorce reportażu, dlaczego przed sądem nie mówili prawdy. Jedną z tych osób była kobieta, która swoimi zeznaniami przypieczętowała winę Arkadiusza Kraski.

- Zastraszono mnie i zmuszono do zeznawania nieprawdy – stwierdziła. – Z upływem lat narastała we mnie świadomość tego, co robiłam niewinnemu człowiekowi. Jestem gotowa powiedzieć to wszystko przed sądem, jeżeli proces Arkadiusza Kraski zostanie wznowiony – zadeklarowała.

O szczegółach tej niewiarygodnej sprawy, która przejdzie do historii polskiej policji jako jej najczarniejsza karta, można przeczytać więcej w magazynie „Konfrontacja” Sylwestra Latkowskiego, w artykule Ewy Ornackiej „Jak policja posłała na dożywocie niewinnego człowieka”.

- Jeśli ktokolwiek mógłby mnie stąd wyciągnąć, to tylko pani prokurator Zapaśnik, ale przełożeni zapewne znów ją zablokują – obawia się Arkadiusz Kraska.

Sędzia Maciej Strączyński, który był wtedy przewodniczącym składu orzekającego, został we wrześniu ubiegłego roku nominowany przez ministra Zbigniewa Ziobrę na prezesa Sądu Okręgowego w Szczecinie. W latach 2010-2016 stał na czele Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia.

- Już kilka lat temu napisałem do niego emocjonalną prośbę o ponowne rozpatrzenie mojej sprawy – przyznaje Arkadiusz Kraska. – Powołałem się na nowe okoliczności i zaniedbania w śledztwie. Nie czułem z jego strony nieprzychylności. Przydzielono mi adwokata z urzędu, sprawą zainteresowała się Prokuratura Generalna, a moje akta wysła-

no do Sądu Najwyższego. Ale tam nadzieję uśmiercono.

O ile Sąd Najwyższy jest ślepy i głuchy, to Rzecznik Praw Obywatelskich pobił rekord w tzw. rozpatrzeniu sprawy. Biorąc pod uwagę czas potrzebny na dostarczenie z sądu całej dokumentacji, biuro Rzecznika Praw Obywatelskich miało jedynie kilka, najwyżej kilkanaście dni na zapoznanie się z jedenastoma tomami akt. Trudno uwierzyć, by w takim tempie przeanalizowano je ze stosowną uwagą.

- Mojemu bratu skradziono życie – podsumowuje siostra skazanego. – Jedną z osób, która chciała mu pomóc, była pewna kobieta, która widziała strzelaninę i twarze sprawców. Policja nigdy do niej nie dotarła, zadowolając się świadkami incognito. Ta kobieta miała niebawem złożyć zeznania. Z radością opowiadała sąsiadom, że wyciągnie z więzienia niewinnego człowieka, chociaż pewnie jej zeznania nie miałyby takiej mocy. Ale nie zdążyła pomóc mojemu bratu.

Pod koniec sierpnia ubiegłego roku znalazł ją martwą.

## **„Miałem takie momenty, kiedy chciałem odebrać sobie życie”. Przypadek Adama Dudały**

W 2001 roku Dudała otrzymał wezwanie na jeden z warszawskich komisariatów. Stawił się tam następnego dnia, ale nie miał pojęcia, jaką sprawę mogą mieć do niego śledczy. Został oskarżony o zabójstwo dwóch osób. Nie wierzył w to, co się dzieje. Był pewien, że sytuacja zaraz się wyjaśni. Od tamtego dnia już nie wyszedł na wolność.

Dudałę obciążył podlaski bandyta Sławomir R. ps. Woźny, który sam był zamieszany w morderstwo dwóch osób. Kiedy poszedł na współpracę i zaczął sypać kolegów, opowiedział śledczym o niejakim „Adamie z Warszawy”, który miał odpowiadać za egzekucje właściciela i ochroniarza z dwóch różnych agencji towarzyskich. Chodziło o czas, gdy na Mazurach toczyła się brutalna wojna o przejęcie kontroli nad agencjami.

Zeznania „Woźnego” kompletnie się nie kleiły. Nie wiedział, jak nazywa się wspomniany Adam, twierdził za to, że był to niski mężczyzna o średniej budowie ciała, bez znaków szczególnych, który jeździł czerwonym mercedesem.

Tymczasem Dudała mierzy 185 cm wzrostu, w latach 90. regularnie ćwiczył na siłowni, ważył 120 kg i nigdy nie miał czerwonego mercedesa. W dodatku od urodzenia posiada na twarzy charakterystyczną narośl, widoczną na pierwszy rzut oka. W rysopisie przedstawionym przez Sławomira R. nie zgadzało się nic.

To jednak nie jedyna „nieścisłość”, jaka pojawiła się w materiałach obciążających Dudałę. Do zabójstwa dwóch gangsterów doszło w Olsztynie i w miejscowości Wiartel w wakacje 1999 roku. Tymczasem Adam przebywał wtedy w oddalonej o 400 kilometrów Ustce. Potwierdzili to świadkowie. To jednak prokuratury nie przekonało.

Sam Dudała do świętych nie należał. W latach 90. działał w warszawskim półświatku i uchodził za człowieka związanego z „Pruszkowem”. W pewnym momencie wyładował w jednej celi z „Masą”. Odsiedział pół roku za wymuszenia i rozboje. Po rozbiciu mafii w 2001 roku rozpoczął nowe życie. Przeszedł na „legal” i założył klub bilardowy na warszawskiej Woli.

Ludzie z jego otoczenia podkreślali, że choć Dudała nie był grzecznym chłopcem, to nigdy nie targnąłby się na czyjeś życie. W wersję z Adamem jako zabójcą nie wierzyli od początku.

Patrycja Dudała: przestaję wierzyć, że ktoś usłyszy nasz głos

Prokuratura i sądy kolejnych instancji nie miały jednak wątpliwości. Adam Dudała trafił na 25 lat do więzienia.

Już po wyroku pozostali współoskarżeni wyznali, że w obu zabójstwach uczestniczył nie Adam Dudała, lecz Adam Chrzanowski ps. Pryszcz, członek gangu wołomińskiego oraz bliski znajomy „Woźnego”. Wcześniej koledzy go kryli, jak zeznali, ze strachu. Zaczęli mówić dopiero gdy dowiedzieli się, że „Pryszcz” nie żyje. Zwróciła na to uwagę sędzia Barbara Piwnik, która w innej sprawie sądziła m.in. konkubinę Chrzanowskiego.

– Przez pierwsze dwa tygodnie w ogóle nie spałem... Potem miałem takie momenty, że chciałem sobie odebrać życie. Tak mnie to wszystko przygniotło. Wytrzymałem tylko dzięki żonie i mojej rodzinie – opowiadał.

Za Adamem wstawiła się m.in. Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Marcin Wolny z HFPC, który monitoruje sprawę od lat, przy-

znaje, że brakowało mu już palców u rąk, by zliczyć wszystkie absurdy, na jakie natrafiał podczas czytania akt. – Wszystko było oparte na wyjaśnieniach współoskarżonego, który nigdy nie zidentyfikował pana Dudały. Innych dowodów nie przedstawiono – podkreśla.

Zastrzeżenia ma też sędzia Barbara Piwnik, która wielokrotnie alarmowała, że prokuratura powinna jeszcze raz przyrzeć się sprawie. – Takie możliwości w prawie są i warto z nich skorzystać – dodaje.

Sam Dudała, choć odsiedział już 18 lat, wciąż wierzy w sprawiedliwość. Mógłby ubiegać się o przedterminowe zwolnienie, ale wtedy musiałby przyznać się do winy. A tego nie chce robić. „To oznaczałoby, że się poddałem. A ja jestem niewinny”.


Żona Adama: Na początku wierzyłam, że to tylko koszmarny sen, który się za chwilę skończy. 15 lat temu planowałam jeszcze, jak to będzie, kiedy wyjdzie za pół roku, za rok... W tej chwili już nie planuję. Po prostu czekam.

\*\*\*

Piotr Pytlakowski przez lata zabiegał o nowy proces ws. Dudały. W końcu Andrzej Seremet - w latach 2010-2016 prokurator generalny - polecił podwładnym przeprowadzenie analizy akt. Na ich czytanie śledczy przeznaczyli kilkadziesiąt minut. Potem stwierdzili, że co prawda były drobne uchybienia, ale w zasadzie nie ma podstaw do wznowienia procesu. Ani słowem nie odnieśli się do kwestii wiarygodności „Woźnego”, ani do faktu, że dowód z zeznań tego tzw. skruszonego gangstera, u którego skłonność do konfabulacji stwierdził nawet biegły powołany w innym procesie, był jedynym przeciwko Dudale.

W lutym 2016 roku Mira Suchodolska, także podpisana pod tym tekstem, napisała list do wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła. „Wierzę, że polski obywatel - nawet skazaniec - ma swoje prawa. Które w tym przypadku zostały podeptane. W przypadku Adama Dudały została popełniona zbrodnia sądowa, która skutkuje tym, że niewinny człowiek odsiaduje wyrok 25 lat więzienia. Siedzi już 15 lat. Jeśli jest to w gestii i możliwościach Pana Ministra, proszę, żeby Pan przeanalizował tę sprawę. Może jest jakieś wyjście, którego nie śmiem sugerować”.





Adam Dudała - skazany za dwa zabójstwa, których nie popełnił. Siedzi w więzieniu, bo skruszony gangster pomylił go z innym Adamem. W wyniku koszarnej pomyłki usłyszał wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia.

Od dwóch lat minister nie znalazł czasu, by odpowiedzieć.

Za to Ewa Ornacka kilka miesięcy temu zadzwoniła do innego z wiceministrów, Patryka Jakiego. Próbowwała zainteresować go sprawą Arkadiusza Kraski. „Skoro ten człowiek został skazany prawomocnym wyrokiem sądu, to czego pani oczekuje?”.

Każdy z nas usłyszał od polityków i przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości podobne słowa. I dlatego ten tekst powstał z naszej frustracji, ale już nie z nadziei. Polskie państwo nie chce zwrócić godności niesłusznie skazanym Adamowi Dudale i Arkadiuszowi Krasce. Z premedytacją trzyma w więzieniu niewinnych ludzi.

Błędy się zdarzają, we wszystkich krajach, na wszystkich etapach postępowania. Ale do błędów trzeba umieć się przyznać. Polskie państwo tego nie chce i nie potrafi.

Boi się, że uwolnienie Dudały i Kraski, uruchomi lawinę podobnych postępowań.

Dlatego system przygląda się tragedii. Bierze udział w sądowej zbrodni.

**Podpisali: Ewa Ornacka, Mira Suchodolska, Hanna Bogoryja-Zakrzewska, Piotr Pytlakowski, Janusz Schwertner, Mateusz Baczyński, Sylwester Latkowski, Adam Bogoryja-Zakrzewski, Cezary Łazarewicz, Marcin Wyrwał, Błażej Torański.**

23 kwietnia 2018

**OPINIA**

# **SŁUŻBA WIĘZIENNA, SŁUŻBA WIĘŹNIOM CZY SŁUŻBA WŁADZY?**



**„Służba Więzienna, Służba Więźniom czy Służba Władzy?” – tak często tę służbę określają na związkowym forum internetowym funkcjonariusze tej formacji mundurowej, niezadowoleni z polityki dyrektora generalnego Jacka Kitlińskiego prowadzonej wobec osadzonych, jak i wobec samych funkcjonariuszy, którzy mają poczucie obniżającego się statusu funkcjonariusza SW oraz spadku bezpieczeństwa jednostek penitencjarnych.**

Nieudolna i permissywna polityka władz Służby Więziennej prowadzona wobec osadzonych, którą oni sami odbierają jako słabość systemu, doprowadziła do znacznego wzrostu liczby zdarzeń nadzwyczajnych w jednostkach penitencjarnych (odnotowano wzrost, mimo znaczącego spadku liczby osadzonych o ok. 20 % na przestrzeni lat 2012–2017)\*.

Strach przed pogorszeniem się statystyk skarg osadzonych czy zdarzeń nadzwyczajnych determinuje politykę penitencjarną w Polsce. Można odnieść wrażenie, że władze więziennictwa tracą kontakt z rzeczywistością penitencjarną i zamiast dbać o bezpieczeństwo jednostek penitencjarnych oraz konsekwentne wdrażanie skazanych do porządku i dyscypliny, bardziej dbają o swoje kariery, układy polityczne,

celebrowanie świąt kościelnych i państwowych, a także public relation.

Bulwersująca społeczeństwo i samych funkcjonariuszy była również polityka władz więzennych w postępowaniu związanym ze zwolnieniem Mariusza Trynkiewicza – luty 2014, jak też seria skandalicznych afer: spektakularna ucieczka 3 skazanych z Zakładu Karnego nr 2 Grudziądz – październik 2015 r.; ujawnienie procederu sutenerstwa w Zakładzie Karnym Wrocław – luty 2017 r.; również ujawniona afra z komisji śledczej ds. Amber Gold, z której można było się dowiedzieć, że tymczasowo aresztowany Marcin P. zamiast w areszcie śledczym przebywał w ośrodku wczasowym (oficjalnie zwanym Ośrodkiem Doskonalenia Kadr Służby Więziennej); w styczniu 2018 r. w Zakładzie Karnym Wronki CBŚP ujawniło trwający wiele lat proceder handlu narkotykami wśród więźniów, w który byli zamieszani funkcjonariusze SW; seria zgonów skazanych w ZK Włocławek (doniesienia medialne z ostatnich dni); morderstwo dokonane przez skazanego w trakcie przepustki podwójnego mordercy oraz oskarżenia Dyrektora Generalnego o manipulowanie statystykami, które zakłamują faktyczną liczbę niektórych zdarzeń nadzwyczajnych.

Po takich kompromitujących „wpadkach” dyrektor generalny Służby Więziennej Jacek Kitliński bardzo często odwołuje podległych mu dyrektorów, zapominając, że to m.in. on ponosi odpowiedzialność za organizację i politykę bezpieczeństwa Służby Więziennej, które doprowadziły do rosnącej liczby ucieczek oraz innych zagrożeń bezpieczeństwa w jednostkach penitencjarnych.

**Ppłk w st. spocz. dr Witold Kędzierski,  
były dyrektor Zakładu Karnego w Przemyślu**

**\* źródło danych statystycznych:  
[www.sw.gov.pl](http://www.sw.gov.pl)**

#### **Napaść na funkcjonariuszy w służbie:**

2012	2013	2014	2015	2016	2017
50	69	75	94	90	<b>112</b>

#### **Bójki lub pobicia wśród osadzonych:**

2012	2013	2014	2015	2016	2017
792	823	875	987	1009	<b>1102</b>

#### **Ujawnienie środków zagrażających porządkowi lub bezpieczeństwu (w tym narkotyków i dopalaczy):**

2012	2013	2014	2015	2016	2017
705	698	799	909	949	<b>1133</b>

#### **Drastyczne przejawy podkultury więziennej:**

2012	2013	2014	2015	2016	2017
55	32	26	30	38	43
(2 zgwałcenia, 53 znęcania)	(1 zgwałcenie, 31 znęcań)	(0 zgwałceń, 26 znęcań)	(1 zgwałcenie, 29 znęcań)	(4 zgwałcenia, 34 znęcania)	(2 zgwałcenia, 41 znęcań)



Na świecie banki płacą wysokie kary  
za manipulowanie kursami walut,  
**w Polsce działały bezkarnie.**  
**Stworzono dla nich eldorado.**

# Bezkarność banków w Polsce

rysunek: Malwina  
Kuna-Mieczkowska







**P**olska stała się dla banków Dzikim Zachodem – sprzyjali im niektórzy politycy i regulatorzy rynku finansowego. Efekt? Bankructwa firm i problemy ludzi, którzy wzięli kredyty mieszkaniowe we frankach.

Światowi liderzy sektora bankowego, tacy jak Citigroup, JP Morgan, Goldman Sachs, RBS,

określani są często, jako „zbyt duzi by upaść”. Okazuje się, że są także zbyt wielcy, by przestać oszukiwać swoich klientów, i to na masową skalę. Tylko w latach 2013–2016 wymienione banki zgodziły się dobrowolnie zapłacić tytułem kar ponad 42 mld dolarów za wprowadzenie w błąd inwestorów, działania spekulacyjne na rynku finansowym oraz w związku ze sprzedażą obligacji powiązanych z rynkiem nieruchomości w USA. W latach 2014–2015 dopłaciły regulatorom rynków finansowych w USA, Wielkiej Brytanii i w Szwajcarii kolejne ponad 7 mld dolarów za nielegalne manipulowanie kursami dolara, jena, franka, funta i euro na globalnym rynku w latach 2008–2012.

Aitan Goelman, dyrektor ds. egzekwowania prawa w CFTC (niezależna komisja w USA utworzona po to, by regulować rynek towarowych transakcji terminowych i chronić go przed nadużyciami), powiedział: – Ustalenie kursu referencyjnego nie jest tak po prostu kolejnym sposobem na osiąganie zysków przez banki. Mnóstwo ludzi i firm na całym świecie opiera na nim warunki finansowe zawieranych kontraktów, wierząc w jego fundamentalną rzetelność. Rynek działa prawidłowo tylko wówczas, gdy ludzie mają pewność, że proces ustalania kursu jest uczciwy, niewypaczony manipulacjami niektórych największych banków na świecie.

Według CFTC jednym z podstawowych kursów referencyjnych, który próbowano zmanipulować, był WM/R Rates. To najczęściej stosowany w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie referencyjny kurs wymiany walut, służący do ustalenia wartości różnych walut. Te z kolei odpowiadają wartościom kursów, po których jedna waluta wymieniana jest na inną. Najczęściej wymieniane pary walut to euro/dolar amerykański, dolar amerykański/japoński jen,

brytyjski funt szterling/dolar amerykański. W związku z tym rzetelność WM/R Rates i innych referencyjnych kursów wymiany walut ma kluczowe znaczenie dla integralności rynków w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

## **Miliardowe kary dla banków, ale nie w Polsce**

To, co było oczywiste dla innych regulatorów, dla polskiej Komisji Nadzoru Finansowego niewarte było uwagi i zajęcia się okolicznościami dziwnych wahań kursu euro, dolara i franka szwajcarskiego w stosunku do polskiego złotego, jakie miały miejsce w roku 2008 (patrz grafika). Co więcej, żaden organ państwa polskiego nie próbował, póki co, wyjaśnić kolejnego ważnego zdarzenia na polskim rynku finansowym – opóźnienia o ponad dwa lata wprowadzenia do systemu prawnego przepisów dyrektywy unijnej, zwanej MiFID. Fakt ten miał, jak się później okazało, kluczowe znaczenie dla wszystkich dotkniętych procederem masowej sprzedaży toksycznych opcji walutowych niszczących firmy, kredytów frankowych wpędzających w wieczne długi, czy polisolokat, na których zarabiają tylko banki. Opóźnienie wdrożenia reguł MiFID oznaczało dla setek tysięcy nieświadomych obywateli wielomiliardowe straty finansowe pokrywane z prywatnych lub firmowych kont. Zastanawia fakt, że polski rząd, a zwłaszcza KNF uznały, że ważniejszy jest interes międzynarodowych bankierów niż ochrona interesów polskich obywateli. Patrząc na działania władz amerykańskich czy brytyjskich też można dostrzec pobłażliwość dla powtarzających się rażących przypadków łamania prawa przez elity finansowe świata, ale przynajmniej od czasu do czasu urzędnicy odbierają im część nieuczciwie zarobionych środków.

Gdy w roku 2004 Parlament Europejski uchwalił dyrektywę 2004/39/WE w sprawie rynków finansowych, jego głównym celem była ochrona interesów oszukiwanych nagminnie klientów banków. Dyrektywa nałożyła na banki obowiązek szczegółowego informowania wszystkich klientów o ryzykach związanych z oferowanymi produktami finansowymi. Co więcej, banki mają obowiązek diagnozowania potrzeb i możliwości swoich klientów oraz dostosowywania produktów do rzeczywistych potrzeb. Receptą na chciwość miało być ograniczenie sytuacji, w których banki wykorzystując braki wiedzy



Co więcej, żaden organ państwa polskiego nie próbował, póki co, wyjaśnić kolejnego ważnego zdarzenia na polskim rynku finansowym

## **– opóźnienia o ponad dwa lata wprowadzenia do systemu prawnego przepisów dyrektywy unijnej, zwanej MiFID.**

i profesjonalnego doświadczenia klientów oferują produkty, na których tylko one zarabiają. Wielkość kar nałożonych na bankowych gigantów za potwierdzone przypadki łamania prawa i nadużywanie zaufania klientów pokazują, że przepisy te miały jak najbardziej głęboki sens.

Patrząc na deklaracje polityków wszystkich opcji na temat troski, jaką przywiązują do ochrony interesów swoich wyborców, dziwić musi fakt, iż polski rząd jako jeden z ostatnich w Unii Europejskiej zdecydował się na wprowadzenie przepisów dyrektywy do krajowego porządku prawnego.

### **Kaczyński rozpoczyna wdrożenie dyrektywy**

23 maja 2006 r., po uzgodnieniach międzyresortowych (m.in. KNF, Urząd Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, Ministerstwo Finansów)

i konsultacjach społecznych, ówczesny premier Jarosław Kaczyński przekazuje do prac parlamentarnych projekt ustawy o zmianie ustawy o obrocie instrumentami finansowymi i niektórych innych ustaw („ustawa wdrożeniowa”). Projekt uzyskuje pozytywną opinię Europejskiego Banku Centralnego (EBC), której uzyskanie było obligatoryjne.

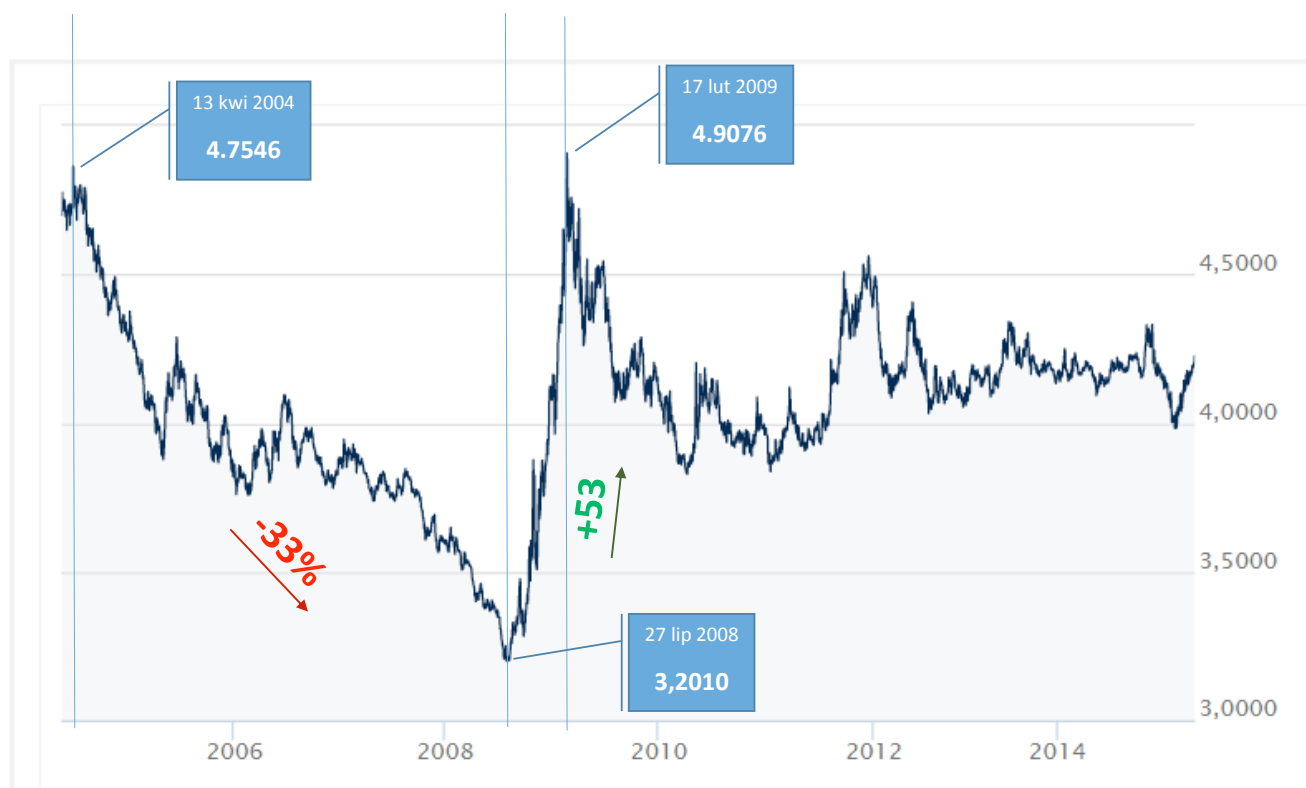
7 listopada 2007 r. premier Jarosław Kaczyński przedstawia Sejmowi rządowy projekt ustawy wdrożeniowej. I od tej pory zaczynają się problemy z tą ustawą. Po październikowych wyborach 2007 r. do władzy dochodzi koalicja PO-PSL. Pierwsze czytanie projektu ustawy wdrożeniowej odbywa się dopiero 9 stycznia 2008 r. Jej projekt zostaje skierowany do sejmowej komisji finansów publicznych.

### **Skarga Komisji Wspólnot Europejskich z powodu nieprzyjęcia przepisów**

Opieszałość we wdrażaniu ustawy MiFID wywołuje reakcję Komisji Wspólnot Europejskich, która 7 kwietnia 2008 r. wnosi przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej skargę do ETS o: „stwierdzenie, że przez nieprzyjęcie przepisów ustawowych, wykonawczych i administracyjnych koniecznych dla wykonania dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2004/39/WE z 21 kwietnia 2004 r. w sprawie rynków instrumentów finansowych, a w każdym razie przez niepoinformowanie komisji o przyjęciu tych przepisów, Rzeczpospolita Polska uchybiła zobowiązaniom ciążącym na niej na mocy wymienionej dyrektywy – obciążenie Rzeczypospolitej Polskiej kosztami postępowania”.

### **Autopoprawka ograniczająca niezależność banku centralnego**

W trakcie prac nad projektem ustawy wdrożeniowej rząd PO-PSL opracowuje projekt autopoprawki mającej na celu wykluczenie NBP z listy akcjonariuszy Krajowego Depozytu. Nakłada ona też obowiązek zbycia akcji Krajowego Depozytu przez NBP w określonym terminie. Wykluczenie NBP z listy potencjalnych akcjonariuszy Krajowego Depozytu wskazywało na dyskryminacyjne potraktowanie NBP wobec innych akcjonariuszy depozytu (np. banki międzynarodowe, instytucje finansowe).



## Ukryto opinię EBC przed parlamentem

Minister finansów Jacek Rostowski występuje do EBC z wnioskiem o wydanie opinii w sprawie tej autopoprawki. 21 maja 2008 r. Rada Prezesów EBC przedstawia opinię Europejskiego Banku Centralnego w sprawie autopoprawki. Stwierdza w niej, iż autopoprawka „pozostaje w sprzeczności z zasadą niezależności banku centralnego”. Pomimo tak negatywnej opinii EBC, Rada Ministrów 26 maja 2008 r. wnosi do łaski marszałkowskiej autopoprawkę do projektu ustawy wdrożeniowej. W jej uzasadnieniu nie zawarto informacji o treści negatywnej opinii przedstawionej przez Europejski Bank Centralny i nie przedstawiono tej opinii parlamentowi.

## Sławomir Skrzypek pisze sprzeciw do marszałka Sejmu

25 czerwca 2008 r. prezes Narodowego Banku Polskiego Sławomir Skrzypek wystosowuje pismo do marszałka Sejmu. Zgłasza w nim sprzeciw wobec projektu wykluczenia Narodowego Banku Polskiego z akcjonariatu Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych i informuje o treści opinii EBC w tej sprawie. Prosi też o przekazanie wszystkim posłom załączonego do pisma

stanowiska Narodowego Banku Polskiego. Po tej interwencji marszałek Sejmu rozsyła posłom pismo prezesa NBP.

Autopoprawka zostaje rozpatrzona w pierwszym czytaniu przez Sejm na posiedzeniu 9 lipca 2008 r. W czasie debaty poseł PiS-u, Wiesław Janczyk, zadaje pytanie: „Czy znana jest przedstawicielom rządu i Ministerstwa Finansów opinia Europejskiego Banku Centralnego, że nakaz zbycia akcji KDPW przez Narodowy Bank Polski narusza niezależność banku narodowego?”.

## Poprawka Zbigniewa Chlebowskiego

Sejm kieruje autopoprawkę do komisji finansów publicznych. Przewodniczącym komisji jest w tym czasie Zbigniew Chlebowski, szef klubu parlamentarnego PO, oskarżany w tzw. aferze hazardowej m.in. o bycie lobbystą branży hazardowej, którą ujawniono w październiku 2009 r. Według doniesień ówczesnych mediów (opublikowano nagrania CBA) Zbigniew Chlebowski miał wpływać na kształt nowej ustawy o grach losowych, tak by była ona korzystna dla biznesmenów branży hazardowej.



Według doniesień ówczesnych mediów (opublikowano nagrania CBA)

**Zbigniew Chlebowski miał wpływać na kształt nowej ustawy o grach losowych,** tak by była ona korzystna dla biznesmenów branży hazardowej.

Komisja finansów publicznych kieruje sprawę autopoprawki do podkomisji stałej do spraw instytucji finansowych sejmowej komisji finansów publicznych. Podkomisja decyduje, iż Narodowy Bank Polski nie powinien być wykluczony z akcjonariatu Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych i odrzuca autopoprawkę.

I tu staje się kolejny „cud”. Wbrew woli całej komisji finansów publicznych w czasie drugiego czytania ustawy wdrożeniowej przewodniczący tej komisji, poseł Zbigniew Chlebowski, ponownie, tym razem indywidualnie, zaproponował autopoprawkę w rządowej wersji. De facto wraca więc do kontrowersyjnej i kwestionowanej przez EBC zmiany wykluczającej NBP z grona akcjonariuszy Krajowego Depozytu. Poprawka Chlebowskiego zostaje przyjęta przez Sejm w trzecim czytaniu 26 lipca 2008 r. i utrzymuje się w dalszych fazach postępowania legislacyjnego nad ustawą, także w Senacie.

### Prezydent Lech Kaczyński reaguje

5 września 2008 r. ustawa wdrożeniowa zostaje przekazana prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu do podpisu. 22 września 2008 r. prezydent kieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o zbadanie zgodności z konstytucją poprawki Chlebowskiego.



16 lipca 2009 r. Trybunał Konstytucyjny wydaje wyrok, w którym stwierdza, że poprawka Chlebowskiego jest niezgodna z konstytucją. Dopisany artykuł dotyczący akcji KDPN, który był przedmiotem poprawki Chlebowskiego, nie jest związany z ustawą wdrożeniową, tj. nie był w żaden sposób wymagany czy powiązany z wdrożeniem dyrektywy MiFID.

## **Niewyjaśniona rola ministra finansów Rostowskiego**

Trudno zrozumieć przyczyny, dla których minister Jacek Rostowski przygotował projekt autopoprawki do gotowego już i zaakceptowanego przez EBC projektu wdrożeniowego, który był tak bardzo opóźniony. Rostowski postanowił dorzucić do gotowego projektu przepisy niezwiązane w żaden merytoryczny sposób z treścią przepisów mających chronić miliony Polaków przed pazernością sektora finansowego. Jedno jest pewne – zabieg z autopoprawką był niezwykle skuteczny w opóźnieniu o dwa lata uchwalenia przepisów, które uniemożliwiłyby zorganizowaną grabież polskich obywateli. Grabież, która dokonywana była przez toksyczne instrumenty oferowane przez banki – opcje, kredyty frankowe i polisolokaty. Ciekawe, czy kiedyś dowiemy się, jakie racje przemawiały za działaniem ministra finansów, który postanowił pozbawić NBP prawa do bycia akcjonariuszem Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, kluczowej instytucji dla rozliczania transakcji na polskim rynku finansowym? Co więcej, pomysł ministra Rostowskiego skrytykował zarówno EBC, jak i polski Trybunał Konstytucyjny. W swoim wyroku z 16 lipca 2009 r. trybunał stwierdził, że zarówno sam pomysł, jak i tryb jego wdrażania były niezgodne z Konstytucją RP oraz że dopisany w ten sposób do ustawy wdrożeniowej artykuł nie był z nią związany.

## **Opcyjne tsunami**

Gdyby chodziło tylko o zapisy ustawy, zapewne sprawa skończyłaby się jak wiele podobnych w poprzednich kadencjach parlamentu. Ale w czasie, gdy poseł Chlebowski skutecznie blokował zarówno uchwalenie ustawy wdrożeniowej, jak i tej dotyczącej hazardu, przez Polskę przetaczała się wielka, dobrze zorganizowana i niezwykle kosztowna akcja.

Masowo oferowano obywatelom toksyczne instrumenty finansowe – opcje walutowe i kredyty frankowe, dla których poziom kursu walut miał kluczowe znaczenie.

Zatrzymując się na sprawie manipulowania przez banki kursami walut warto opowiedzieć o tym, jak przez Polskę przetoczyło się „opcyjne tsunami”. W lipcu i w sierpniu 2008 r. odnotowany został rekordowo wysoki kurs złotego w stosunku do euro (3,2 PLN/EUR – 27.07.2008 r.) oraz do USD (2,03 PLN/USD – 27.07.2008 r.). Podczas kolejnych 5 miesięcy kurs złotego diametralnie się odwrócił i odnotował rekordowy spadek (o 53% wzrósł kurs euro – 4,9 PLN/EUR – 17.02.2009 r., o 86% wzrósł kurs dolara amerykańskiego – 3,77 PLN/USD – 16.02.2009 r.). W tym samym okresie waluty innych krajów podobnych do Polski (Węgry, Czechy) osłabiły się jedynie o ok. 10–20%.

Polska gospodarka rozwijała się lepiej niż węgierska czy czeska, a polski złoty stracił w tamtym czasie tyle co waluty Ukrainy i Rosji. Ten nagły i tak radykalny zwrot w notowaniach złotego nie miał uzasadnienia ekonomicznego; spowodował u polskich eksporterów straty szacowane na ok. 40 mld zł z tytułu toksycznych opcji walutowych. Wiele polskich firm zbankrutowało. KNF w swoim raporcie, dotyczącym tylko spółek notowanych na GPW, szacował kwoty strat na ok. 9 mld i to tylko za okres do końca 2008 roku.

Drugą dużą grupą ofiar cudu z kursami były osoby zaciągające kredyty nominowane we frankach. Warunki kredytów frankowych były znacząco lepsze od tych w złotych.

## **„Wyczucie” właściwego momentu przez banki**

Zgodnie z danymi z analizowanej w styczniu i lutym 2009 r. próby przedsiębiorstw, które nabyły toksyczne opcje, aż 82% z nich zawarło felerne transakcje właśnie w lipcu 2008 r. Pokazuje to stopień nasilenia sprzedaży toksycznych opcji w miesiącu, w którym kurs złotego osiągnął rekordowo wysokie notowania. Jednocześnie był to ostatni miesiąc, w którym odnotowano wzrost wartości polskiej waluty. „Wyczucie” banków co do najlepszego dla nich momentu sprzedaży opcji jest co najmniej zastanawiające. Proces przygotowania i wdrożenia w banku takiego produktu jak struktura opcyjna, ze względu na wewnętrzne

procedury bankowe, trwa zazwyczaj minimum pół roku.

Powstaje pytanie, w jaki zatem sposób banki tak idealnie zsynchronizowały sprzedaż opcji z najniższym od lat kursem złotego?

## Jednomysłowość banków i analityków

Okresowi wzmożonej sprzedaży przez banki toksycznych opcji towarzyszyły zgodne publikacje analityków bankowych o dalszym, długotrwałym umacnianiu się polskiej waluty. Banki na poparcie tych założeń posługiwały się prognozami finansowych instytucji zagranicznych (często swoich spółek-matek). Trudno racjonalnie uzasadnić taką jednomysłowość banków i analityków co do dalszego umocnienia złotego, których prognoza w efekcie okazała się tak rażąco nietrafna.

## Spekulacje na polskim rynku

Zawsze można powiedzieć, że to przypadek. Jednak przytoczone okoliczności mogą sugerować, iż na polskim rynku doszło do spekulacji. Wzmogona podaż toksycznych opcji i niespotykana aktywność marketingowa pracowników banków w sprzedaży tych produktów, i to dokładnie w tym okresie, w którym złoty osiągnął najwyższe notowania, budzi uzasadnione podejrzenia. Z chwilą zakończenia sprzedaży opcji (IV kwartał 2008 r.), optymistyczne prognozy analityków zniknęły z rynku finansowego.

Z obserwacji zachowania banków w tamtym czasie można wyciągnąć wniosek, że działały one w porozumieniu. Często posługiwały się podobnymi wzorami dokumentów, produkty (struktury opcyjne) były do siebie bardzo podobne (często miały niezwykle zbliżone parametry). Wiele wskazuje zatem, że była to akcja skoordynowana. Jak mogło do tego dojść?

Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie leży w sejfach regulatorów badających nieczyste praktyki gigantów świata finansów. Skoro przyznali się do manipulowania globalnymi kursami dolara czy euro, to co mogli zrobić ze złotym?

## KNF nie widzi problemu

Czy doszłoby w Polsce do „opcynego tsunami”, gdyby nie kontrowersyjna rola bohatera afery hazardowej Zbigniewa Chlebowskiego i ówczesnego ministra finansów Jacka Rostowskiego w sprawie wdrożenia dyrektywy MiFID oraz zastanawiająca bierność Komisji Nadzoru Finansowego? Odpowiedź jest prosta – nie.

– Wystarczyło w Polsce wcielić w życie przepisy, które zaczęły obowiązywać w innych krajach i mówiły wprost – banki nie mogą wykorzystywać braku wiedzy klientów. Nie dopuścić do tego, by przez dwa lata blokować ich wejście w życie „poprawką Chlebowskiego” – mówi nam jeden z analityków bankowych, proszący o anonimowość.

To, co było oczywiste dla innych regulatorów, dla polskiej Komisji Nadzoru Finansowego nie

---

### **Kary za wprowadzenie w błąd inwestorów, działania spekulacyjne na rynku finansowym oraz w związku ze sprzedażą obligacji powiązanych z rynkiem nieruchomości w USA.**

- 1.** 2013 – JP Morgan – w ramach ugody z amerykańską Federalną Agencją Finansowania Nieruchomości (FHFA) zgodził się wypłacić odszkodowania na sumę 13 mld dolarów w związku z oskarżeniem o wprowadzenie w błąd inwestorów w latach 2005–2007.
- 2.** 2014 – Citigroup – w drodze ugody z amerykańskim departamentem sprawiedliwości zgodziła się na zapłacenie 7 mld dolarów kary za spekulacyjne działania na rynku finansowym przed 2008 rokiem.
- 3.** 2014 – Bank of America – zawarł ugodę z amerykańskim rządem, zgodził się zapłacić 17 miliardów dolarów za swoje nieetyczne działania przed wybuchem kryzysu w 2008 roku.
- 4.** 2016 – Goldman Sachs – na podstawie porozumienia z rządem USA, Goldman Sachs zapłaci 5 miliardów 60 milionów dolarów kary w związku ze sprzedażą obligacji powiązanych z rynkiem nieruchomości w Stanach Zjednoczonych.

**ŁĄCZNIE: 42 MILIARDY 60 MILIONÓW DOLARÓW.**

warte było uwagi ani zajęcia się okolicznościami dziwnych wahań kursu euro, dolara i franka szwajcarskiego w stosunku do polskiego złotego, jakie miały miejsce w roku 2008 (patrz grafika).

W listopadzie 2014 roku szef klubu parlamentarnego PSL zapytał przewodniczącego KNF Andrzeja Jakubiaka, czy podejmowali lub podejmą działania wobec tych informacji.

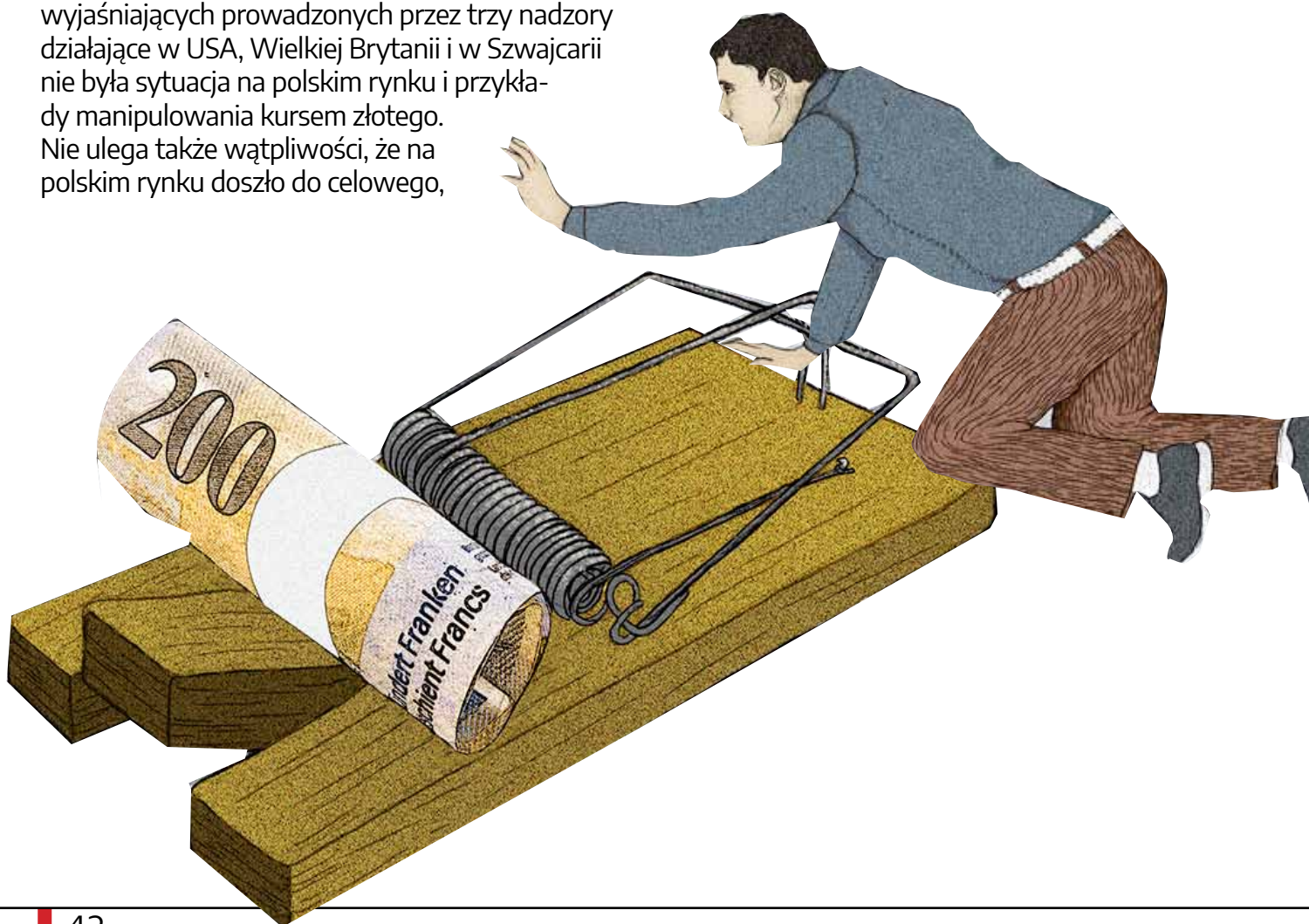
„Zestawienie ww. informacji wskazuje, że nielegalne działania, do których przyznało się 5 banków wobec regulatorów 3 krajów, mogły mieć związek z tzw. sprawą opcji, jaka wystąpiła na polskim rynku. Nie ulega żadnym wątpliwościom, że przez nakłanianie polskich firm do zawierania kontraktów opcyjnych w chwili umacniającego się kursu złotówki wobec walut, w okresie 2007 i kolejnych latach, międzynarodowe instytucje finansowe doprowadziły do upadku lub poważnych zawirowań w działaniach setek, jeśli nie tysięcy polskich podmiotów gospodarczych. Sprawa kursu walutowego ma także kluczowe znaczenie dla ok. siedmiuset tysięcy polskich rodzin, obarczonych spłatą tzw. kredytów frankowych. (...)

Nie ulega wątpliwości, że przedmiotem działań wyjaśniających prowadzonych przez trzy nadzory działające w USA, Wielkiej Brytanii i w Szwajcarii nie była sytuacja na polskim rynku i przykłady manipulowania kursem złotego. Nie ulega także wątpliwości, że na polskim rynku doszło do celowego,

zaprogramowanego działania, którego ofiarą padły polskie firmy ponoszące miliardowe straty (szacowane na kwotę ok 40 mld złotych), wytransferowane za granicę. Upublicznienie informacji (o przyznaniu się banków – red.) pokazuje, że istnieje możliwość ukarania osób i organizacji odpowiedzialnych za łamanie prawa i podstawowych zasad”.

Odpowiedź Komisji Nadzoru Finansowego sprowadziła się w skrócie do stwierdzenia, że sytuacji w Polsce winien jest kryzys finansowy, który rozpoczął się w 2008 r. po upadku banku inwestycyjnego Lehmann Brothers.

W Polsce zgodny chór opłacanych przez banki ekspertów wciąż powtarza, że tak działa rynek. Pytanie – dlaczego tej opinii nie podzielają urzędnicy organów regulacyjnych w USA, Wielkiej Brytanii czy Szwajcarii?





## Kary za manipulowanie kursami walut i stopami procentowymi.

**1.** 2014 – CFTC (ang: the Commodity Futures Trading Commission) nakłada na Citibank, HSBC, JP Morgan, RBS i UBS karę w wysokości 1,4 miliarda dolarów za próbę manipulowania referencyjnymi kursami wymiany walut, w tym po USD 310 milionów na Citibank i JP Morgan, po USD 290 milionów na RBS i UBS oraz USD 275 milionów na HSBC.

**2.** 2015 – pięć banków oskarżonych w USA o przestępcze manipulowanie kursami walut i stopami procentowymi w latach 2007–2013, zapłaci łącznie około 5,6 miliardów dolarów:

- a.** JP Morgan Chase – 550 mln dolarów,
- b.** Citigroup – 925 mln dolarów,
- c.** Barclays – 650 mln dolarów,
- d.** Royal Bank of Scotland – 395 mln dolarów,
- e.** UBS AG – 203 mln dolarów.

Na sumę karłoży się też m.in. 1,6 mld dolarów grzywien nałożonych na ww. banki przez amerykańską Rezerwę Federalną. Barclays zapłaci dodatkowo m.in. 1,3 mld dolarów departamentowi usług finansowych stanu Nowy Jork, amerykańskiej Commodity Futures Trading Commission (agencja regulująca rynek kontraktów futures) i brytyjskiej Financial Conduct Authority (regulator sektora usług finansowych).

**ŁĄCZNIE: 7 MILIARDÓW DOLARÓW.**

---

## Przebieg prac nad ustawą wdrożeniową MiFID

**1.** Parlament Europejski i Rada uchwalają dyrektywę 2004/39/WE w sprawie rynków instrumentów finansowych z 21 kwietnia 2004 r. (dalej MiFID I). Celem dyrektywy jest przede wszystkim ochrona klientów w relacjach z bankami przez nałożenie na banki szeregu obowiązków związanych z oferowanymi produktami finansowymi. Zgodnie z dyrektywą banki mają nie tylko szczegółowo informować o ryzykach związanych z oferowanymi produktami finansowymi, ale również mają obowiązek zdiagnozować potrzeby i możliwości klienta i zaoferować jedynie takie produkty, które są dla klienta adekwatne. Dyrektywa ma na celu zapobieżenie sytuacji, w której banki wykorzystują brak wiedzy klientów i wyżej niż dobro klienta stawiają własne korzyści.

**2.** Komisja przyjmuje dyrektywę 2006/73/WE z 10 sierpnia 2006 r. wprowadzającą środki wykonawcze do dyrektywy 2004/39/WE Parlamentu Europejskiego i Rady w odniesieniu do wymogów organizacyjnych i warunków prowadzenia działalności przez przedsiębiorstwa inwestycyjne oraz pojęć zdefiniowanych na potrzeby tejże dyrektywy (dalej MiFID II).

**3.** 23 maja 2006 r., po uzgodnieniach międzyresortowych (m.in. KNF, Urząd Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, Ministerstwo Finansów), konsultacjach społecznych, prezes Rady Ministrów Jarosław Kaczyński przekazał do prac parlamentarnych projekt ustawy o zmianie ustawy o obrocie instrumentami finansowymi i niektórych innych ustaw. („ustawa wdrożeniowa”). Projekt uzyskał pozytywną opinię Europejskiego Banku Centralnego (EBC), której uzyskanie było obligatoryjne.

**4.** 7 listopada 2007 r. premier Jarosław Kaczyński przedstawił Sejmowi rządowy projekt ustawy wdrożeniowej (druk sejmowy nr 64).

**5.** Pierwsze czytanie projektu ustawy wdrożeniowej odbyło się już w nowo wybranym składzie parlamentu 9 stycznia 2008 r.

Projekt ustawy wdrożeniowej został skierowany do sejmowej komisji finansów publicznych.

---

**6.** 7 kwietnia 2008 r. Komisja Wspólnot Europejskich wnosi przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej skargę do ETS o:

stwierdzenie, że przez nieprzyjęcie przepisów ustawowych, wykonawczych i administracyjnych koniecznych dla wykonania dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2004/39/WE z 21 kwietnia 2004 r. w sprawie rynków instrumentów finansowych (1), a w każdym razie przez niepoinformowanie komisji o przyjęciu tych przepisów, Rzeczpospolita Polska uchybiła zobowiązaniom ciążącym na niej na mocy wymienionej dyrektywy, – obciążenie Rzeczypospolitej Polskiej kosztami postępowania.

---

**7.** W trakcie prac nad projektem ustawy wdrożeniowej rząd PO/PSL opracował projekt autopoprawki zawartej w druku sejmowym nr 64-A (autopoprawka). Miała ona na celu wykluczenie NBP z listy akcjonariuszy Krajowego Depozytu i nakładała obowiązek zbycia akcji Krajowego Depozytu przez NBP w określonym terminie. Wykluczenie NBP z listy potencjalnych akcjonariuszy Krajowego Depozytu, wskazywało na dyskryminacyjne potraktowanie NBP wobec innych akcjonariuszy depozytu (np. banki międzynarodowe, instytucje finansowe). Projekt autopoprawki obejmował wprowadzenie do Ustawy Wdrożeniowej następującego przepisu:

„Akcjonariuszami Krajowego Depozytu mogą być: spółki prowadzące giełdę, spółki prowadzące rynek pozagiełdowy, firmy inwestycyjne, banki, Skarb Państwa, międzynarodowe instytucje finansowe, których członkiem jest Rzeczpospolita Polska, a także osoby prawne lub inne jednostki organizacyjne, które prowadzą działalność w zakresie rejestrowania papierów wartościowych, rozliczania lub rozrachunku transakcji zawieranych w obrocie papierami wartościowymi lub organizowania rynku regulowanego, posiadające siedzibę na terytorium państwa członkowskiego lub państwa należącego do OECD i podlegające nadzorowi właściwego organu nadzoru tego państwa”.

„W terminie 12 miesięcy od dnia wejścia w życie niniejszej ustawy Narodowy Bank Polski jest obowiązany zbyć wszystkie posiadane akcje Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych S.A. na rzecz podmiotu lub podmiotów wskazanych w art. 46 ust. 3 ustawy, o której mowa w art. 1, w brzmieniu nadanym niniejszą ustawą.

Po upływie terminu wskazanego w ust. 1 Narodowy Bank Polski nie może wykonywać praw z akcji Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych S.A.”.

---

**8.** Minister Finansów (Jacek Rostowski) wystąpił do EBC z wnioskiem o wydanie opinii w sprawie tej autopoprawki. 21 maja 2008 r. Rada Prezesów EBC przedstawiła opinię Europejskiego Banku Centralnego w sprawie autopoprawki. EBC stwierdził, iż autopoprawka „pozostaje w sprzeczności z zasadą niezależności banku centralnego, ponieważ zobowiązuje ona NBP do zbycia składników swojego majątku, a mianowicie posiadanych przez niego akcji KDPW. EBC stoi na stanowisku, że status NBP jako akcjonariusza może ulec modyfikacji, jeżeli zaistnieje taka potrzeba, w drodze umowy z organami decyzyjnymi NBP o sprzedaży akcji po cenie rynkowej”. Pomimo tak negatywnej opinii EBC, Rada Ministrów 26 maja 2008 r. wniosła do łaski marszałkowskiej autopoprawkę do projektu ustawy wdrożeniowej (druk sejmowy nr 64-A). Zawierała ona m.in. przedstawione wyżej przepisy dotyczące Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych kwestionowane przez EBC, ale w jej uzasadnieniu nie została zawarta informacja o treści negatywnej opinii przedstawionej przez Europejski Bank Centralny i nie przedstawiono tej opinii parlamentowi.

---

**9.** 25 czerwca 2008 r. Prezes Narodowego Banku Polskiego Sławomir Skrzypek wystosował pismo do Marszałka Sejmu (DSP-WSRPW-BW-073-2-1963/08), w którym zgłosił sprzeciw wobec

projektu wykluczenia Narodowego Banku Polskiego z akcjonariatu Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych i poinformował o treści opinii EBC w tej sprawie oraz prosił o przekazanie wszystkim posłom załączonego do pisma stanowiska Narodowego Banku Polskiego.

---

**10.** Pismo Prezesa Narodowego Banku Polskiego Sławomira Skrzypka zostało skierowane do druku przez Marszałka Sejmu 26 czerwca 2008 r. i rozesłane jako uzupełnienie do druku nr 64-A.

---

**11.** Autopoprawka zgłoszona przez Radę Ministrów została rozpatrzona w pierwszym czytaniu przez Sejm na posiedzeniu 9 lipca 2008 r. Z wypowiedzi w dyskusji wynika, że treść opinii EBC była znana jedynie niektórym zainteresowanym posłom. W czasie debaty poseł PiS Wiesław Janczyk zadał też pytanie: „Czy znana jest przedstawicielom rządu i Ministerstwa Finansów opinia Europejskiego Banku Centralnego, że nakaz zbycia akcji KDPW przez Narodowy Bank Polski narusza niezależność banku narodowego?”

---

**12.** Sejm skierował autopoprawkę do komisji finansów publicznych. Przewodniczącym komisji był w tym czasie Zbigniew Chlebowski, szef klubu parlamentarnego PO, oskarżany w tzw. aferze hazardowej m.in. o bycie lobbystą branży hazardowej. Aferę ujawniono w październiku 2009 r. Według doniesień ówczesnych mediów (opublikowano nagrania CBA) Zbigniew Chlebowski miał wpływać na kształt nowej ustawy o grach losowych, tak by była ona korzystna dla biznesmenów branży hazardowej. Komisja Finansów Publicznych skierowała sprawę autopoprawki do podkomisji stałej do spraw instytucji finansowych sejmowej komisji finansów publicznych. Podkomisja podjęła decyzję, iż Narodowy Bank Polski nie powinien być wykluczony z akcjonariatu Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych i odrzuciła autopoprawkę.

---

**13.** Komisja finansów publicznych na posiedzeniu 21 lipca 2008 r. przyjęła sprawozdanie podkomisji, aby nie uwzględniać autopoprawki w ustawie wdrożeniowej. W rezultacie proponowana przez Radę Ministrów autopoprawka nie została wprowadzona do projektu ustawy wdrożeniowej opracowanego przez komisję finansów publicznych i przedstawionego w Sejmie do II czytania.

---

**14.** Jednakże, wbrew woli komisji finansów publicznych, która odrzuciła autopoprawkę, w czasie II czytania ustawy wdrożeniowej, przewodniczący komisji finansów publicznych – poseł Zbigniew Chlebowski – ponownie, tym razem indywidualnie, zaproponował tę autopoprawkę, a więc wrócił de facto do kontrowersyjnej i kwestionowanej przez EBC zmiany wykluczającej NBP z grona akcjonariuszy Krajowego Depozytu („poprawka Chlebowskiego”). Poprawka Chlebowskiego została przyjęta przez Sejm w trzecim czytaniu 26 lipca 2008 r. i utrzymała się w dalszych fazach postępowania legislacyjnego nad ustawą, w Senacie.

---

**15.** 5 września 2008 r. ustawę wdrożeniową (z kontrowersyjną poprawką Chlebowskiego) przekazano prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu do podpisu.

---

**16.** Prezydent Lech Kaczyński skierował ustawę wdrożeniową do Trybunału Konstytucyjnego 22 września 2008 r. z wnioskiem o zbadanie zgodności z konstytucją poprawki Chlebowskiego

---

**17.** Trybunał Konstytucyjny 16 lipca 2009 r. wydał wyrok, w którym stwierdził, że poprawka Chlebowskiego jest niezgodna z konstytucją oraz że będący przedmiotem poprawki Chlebowskiego dopisany artykuł, dotyczący akcji KDPN, nie był związany z ustawą wdrożeniową, tj. nie był w żaden sposób wymagany czy powiązany z wdrożeniem dyrektywy MiFID.





# Jak to było z Kamilem Durczokiem

Najpierw groźby upadłej gwiazdy TVN, że puści nas w skarpetkach. Potem ataki zaprzyjaźnionych z nim mediów, które wcześniej miały łamy wypełnione frazesami. O tym, jak trzeba piętnować tych, którzy dopuszczają się molestowania seksualnego i mobbingu. Gdy przyszło co do czego, to stanęli po stronie sprawcy, czyli Kamila Durczoka. Czysta hipokryzja. Potem było wiele miesięcy procesów. W końcu zapadły wyroki.

## Kamil Durczok przegrał batalię sądową z „Wprost”. Sąd orzekł, że w artykułach, w których ujawniliśmy przypadki molestowania seksualnego, opisaliśmy prawdę.

To był długi, sądowy bój. W trakcie ciągnącego się przez trzy i pół roku procesu przesłuchano kilkudziesięciu świadków, w tym gwiazdy dziennikarstwa, m.in. Omenę Mensah, Tomasza Sekielskiego czy Katarzynę Kolendę-Zaleską. Przed sądem zeznawała też mec. Karolina Kędziora, współzałożycielka Polskiego Towarzystwa Prawa Antydyskryminacyjnego, jedna z najwybitniejszych specjalistek od molestowania seksualnego w Polsce, a także członkowie komisji TVN, która badała przypadki mobbingu i molestowania w stacji. Sprawa miała charakter precedensowy – dotychczas w Polsce nie było równie głośnego oskarżenia tak znanej osoby o podobne czyny. Przypomnijmy: proces dotyczył dwóch artykułów, które ukazały się w tygodniku „Wprost” w lutym 2015 r.: „Ukryta prawda” i „Nietykalny”. Ujawniliśmy w nich przypadki molestowania seksualnego, których dopuścił się Kamil Durczok w czasie, gdy był szefem „Faktów” TVN.

### Utajniony proces

Proces odbywał się przy drzwiach zamkniętych, sąd nie pozwolił też publiczności na wysłuchanie uzasadnienia wyroku. Wszystko dlatego, że w czasie rozpraw świadkowie opowiadali o szczegółach niestosownych zachowań Durczoka w stosunku do kobiet. Na jaw wyszły także przypadki, o których – pisząc artykuł – nie wiedzieliśmy lub w trakcie zbierania materiałów nie znaleźliśmy na nie wystarczających dowodów. W wywiadzie dla Magdaleny Rigamonti w „Dzienniku Gazecie Prawnej” Sylwester Latkowski, który był redaktorem naczelnym „Wprost”, gdy się ukazały artykuły pokazujące drugą twarz redaktora „Faktów”, powiedział: – Proces utajniono, kiedy jeden ze świadków, wydawca z TVN, zaczął mówić o molestowaniu kobiet przez Kamila Durczoka. Opowiadał o bliskiej sobie osobie, która była molestowana. To nie jest tajne, o tym mogę mówić. Wtedy się okazało, że jeśli

proces będzie jawny, to kolejni świadkowie nie będą zeznawać, bo się zwyczajnie boją. Prawnicy nas przekonali, że jeśli proces nie zostanie utajniony, świadkowie się wycofają. (...) Zresztą jestem pewien, że gdybyśmy się na to nie zdecydowali, to Kamil Durczok by wnioskował o utajnienie procesu. (...) Bo nie chciałby, żeby opinia publiczna usłyszała zeznania bardzo znanej dziennikarki, która była jego podwładną w TVN, a potem – uciekając przed nim – przeszła do innej stacji. Nie chciałby, żeby gazety drukowały informacje, w jaki sposób molestował, jakie składał propozycje seksualne, jaki nacisk wywierał. Nie chciałby, żeby wyszło na jaw, że do swojej podwładnej mówił: „Nie masz majątek pod dzinsami, jedziemy do mnie?”.

Marcin Dzierżanowski, Olga Wasilewska,  
Wprost, 21/2018

## Zapomniany raport w sprawie Kamila Durczoka

**Winien dwóch czynów molestowania seksualnego. Wielu świadków zeznających przed komisją oceniło, że Kamil Durczok posługiwał się metodą „zarządzania przez strach”, jak to określono w dokumencie.**

„Raport Komisji TVN ds. Molestowania i Mobbingu” jest dokumentem miażdżącym dla byłego redaktora naczelnego „Faktów”, Kamila Durczoka.

Komisja została powołana po tekstach w tygodniku „Wprost” w lutym 2015 roku. W jej skład weszli: szefowa HR w TVN Agnieszka Trysła, dyrektor departamentu prawnego stacji Marek Szydłowski oraz prawnik z zewnętrznej kancelarii – Bartłomiej Raczkowski. Komisja, pracując od 16 lutego do 6 marca, przesłuchała 37 świadków, w tym Durczoka, i analizowała dokumenty. Oryginalny raport został sporządzony w języku angielskim. Po przygotowaniu dokumentu stacja TVN rozstała się z naczelnym „Faktów”. Co konkretnie zawiera raport?



## Winien dwóch czynów molestowania seksualnego

Przede wszystkim ocenę, że Durczok jest winien popełnienia dwóch czynów molestowania seksualnego. Komisja stwierdza: „Jeden czyn odbył się w formie wysyłania do pracującej z nim w redakcji kobiety serii SMS-ów, w tym zaproszeń na prywatne spotkania i zaproszeń do zaangażowania w romans. Zaniepokojona kobieta zareagowała odmową. Ta sytuacja spowodowała u kobiety głęboki stres oraz negatywne konsekwencje psychologiczne”.

Drugi przypadek, który wedle komisji wypełniał znamiona molestowania, polegał na zaproszeniu koleżanki z pracy na prywatne spotkanie, na które kobieta zareagowała odmową. „Sytuacja również wywołała u tej kobiety stres i negatywne konsekwencje psychologiczne, co zostało zauważone przez kolegów i koleżanki w redakcji, chociaż kobieta twierdzi, że nie zdarzyło się nic niewłaściwego” – czytamy w dokumencie.

## Cztery przypadki mobbingu

TVN-owski zespół uznał, że Durczok „jest winny popełnienia czterech zarzucanych czynów niestosownego zachowania wobec współpracowników”, z których co najmniej jeden może stanowić mobbing. Te działania Kamila Durczoka dotyczyły trzech mężczyzn i kobiety.

„Najpoważniejszy przypadek, mogący stanowić mobbing, odbył się w postaci ciągłej, bardzo ostrej krytyki, która przybrała formę atmosfery wrogości i pomijania pracownika w przydzielaniu zadań” – ustaliła komisja.

## „Zarządzania przez strach”

Wielu świadków zeznających przed komisją oceniło, że Kamil Durczok posługiwał się metodą „zarządzania przez strach”, jak to określono w dokumencie. „Stwarzał (Durczok – red.) atmosferę o wiele bardziej stresującą od tej, którą tworzyli inni dziennikarze reprezentujący »Fakty«. Pracownicy stwierdzili, że ich praca jest tak specyficzna, że panująca atmosfera obrażania i stresu ponad zwykłe standardy jest normą. Postanowili zaakceptować takie środowisko pracy jako coś

związane w sposób naturalny z ich »szczególną« pracą” – stwierdziła komisja i uznała, że takie zasady są nie do zaakceptowania.

## Wybuchy złości i obrażanie

Wielu świadków skarżyło się na atmosferę strachu i niepewności przed nieprzewidywalnymi zachowaniami naczelnego „Faktów”, „wiązącymi się z niekontrolowanymi wybuchami złości, w tym publicznym wykrzykiwaniem obraźliwych stwierdzeń”.

## Prosił, aby upili koleżankę z pracy

Komisja opisuje konkretne przykłady niewłaściwych zachowań. Durczok prosił współpracowników, by „znaleźli klub dla panów, zabierając koleżankę z pracy na jednodniowy wyjazd poza miejsce pracy (choć za obopólną zgodą), prosząc kolegów z pracy, aby upili koleżankę z pracy”. Inny przykład. „22 lutego 2014 pan Durczok polecił swojemu zespołowi przygotowanie podróży do Kijowa, która miała się odbyć w dniu następnym, to jest w niedzielę. On podjął tę decyzję i poinformował o niej późnym popołudniem. Był w kontakcie z zespołem do późna wieczór. Przypuszczalnie zrobił to będąc pod wpływem alkoholu. Jego zespół zorganizował podróż i stawiał się w niedzielę rano na lot z lotniska w Warszawie, jednak pan Durczok się nie pojawił na lotnisku” – stwierdza raport komisji TVN.

## Durczok: Adam Pieczyński od dawna znał wiele okoliczności

Co ciekawe, TVN rozstał się z Durczokiem polubownie. W raporcie jest z kolei wyraźnie napisane, że ustalenia są wystarczające, by wyrzucić Durczoka dyscyplinarnie. Ostatecznie jednak komisja tego nie rekomenduje. Dlaczego? Ponieważ Durczok na jej forum obciążył swego szefa, Adama Pieczyńskiego, członka zarządu TVN, odpowiedzialnego za departament informacji stacji. W jaki sposób? „Pan Durczok stwierdził, że pan Adam Pieczyński od dawna znał wiele okoliczności, które mogłyby zostać wykorzystane do uzasadnienia zwolnienia dyscyplinarnego, oprócz tych dotyczących molestowania seksualnego. Oznacza to, że zwolnienie dyscyplinarne musiałoby w znacznym stopniu opierać się na tych

zarzutach, a co za tym idzie, na zeznaniach osób pokrzywdzonych. Osoby te znalazłyby się w centrum możliwego postępowania sądowego i związanego z tym rozgłosu medialnego. Spowodowałyby to kolejne stresujące przeżycia u już pokrzywdzonych kobiet” – czytamy w raporcie.

## Obawa przed odszkodowaniami

Komisja proponuje, aby pokrzywdzonym wypłacić zadośćuczynienia. Zwraca jednak uwagę na pewne zagrożenie. Takie, iż może to skłonić kolejne osoby do występowania z roszczeniami. „Spółka będzie wtedy musiała albo dokonać wobec nich zadośćuczynienia w tym samym stopniu, albo stanąć w obliczu pozwów sądowych, które spowodują, że będzie musiała »bronić« pana Durczoka i jego działań. Spółka zmuszona by została do wspólnego z panem Durczokiem występowania przeciw tym roszczeniom” – ostrzega komisja.

## Potrzebna pomoc psychologa

W raporcie jest również kilka zaleceń. Między innymi takie, by pracownicy „Faktów” otrzymali pomoc psychologiczną, która doprowadzi ich do równowagi i zapewni im poczucie bezpieczeństwa.

# Uciekający Durczok i biały proszek

Sąd Apelacyjny w Warszawie zdecydował, iż Kamilowi Durczokowi należą się przeprosiny i 150 tysięcy złotych zadośćuczynienia za tekst, które został opublikowany we „Wprost” przed trzema laty. Nie chodzi tutaj o kwestie związane z molestowaniem seksualnym i nagannymi zachowaniami Durczoka w stacji TVN. Tu sprawa zaowocowała raportem wewnętrznym w stacji, który potwierdził zarzuty. I efektem było pozbycie się szefa „Faktów” z stacji TVN. Molestowaniu i nagannym zachowaniom wobec podwładnych poświęcony jest inny proces w tym samym sądzie.

By wyjaśnić, o co chodzi, musimy cofnąć się do kulis powstawania tekstów dotyczących Durczoka. A było tak.

Na początku 2015 roku toczyła się publiczna dyskusja o ustawie antyprzemocowej. „Wprost” w wielu tekstach zajmowało się wtedy sprawą przemocy wobec kobiet. W lutym 2015 roku Olga Wasilewska i Marcin Dzierżanowski opisali w tygodniku, w dużym tekście, liczne przypadki molestowania kobiet. W różnych środowiskach. Tam też znalazła się anonimowa opowieść dziennikarki, która była molestowana, poniżana przez swego szefa w telewizji. Historia była pisemną, udokumentowaną opowieścią z pierwszej ręki.

Nie wspomniano w tamtym tekście, że chodzi o Durczoka. Nie chodziło o wytykanie go palcem, lecz o pokazanie, że problemy molestowania nie dotyczą jedynie środowisk postrzeganych jako patologiczne. Reakcja po tekście była lawinowa. Redakcja „Wprost”, mimo nalegań z różnych stron, powstrzymywała się przed potwierdzeniem, że chodzi o Durczoka. Najwyraźniej jednak zachowania szefa „Faktów” TVN nie były głęboko skrywaną tajemnicą. Internauci niemal natychmiast zaczęli wskazywać na niego. Do nas tymczasem zaczęli się zgłaszać byli i obecni pracownicy TVN-u z kolejnymi relacjami.

To były wstrząsające historie o mobbingu, molestowaniu, niestabilnych, agresywnych zachowaniach, o całym systemie wieloletniego „zarządzania przez strach”, jak zostało to potem nazwane w raporcie komisji TVN, po sporządzeniu którego stacja rozstała się z Durczokiem. Tamte historie były też opowieściami o bezradności. O tym, że Durczok ma się za boga, wolno mu wszystko i jest to po cichu akceptowane przez jego szefów. I że tak naprawdę nic z tym nie można zrobić. Od dawna. Opisaliśmy potem te historie.

Kilka dni po tym pierwszym tekście, w którym nazwisko szefa „Faktów” nie padło, zgłosił się do nas warszawski przedsiębiorca. Opowiedział mroczną historię swojego zetknięcia się z Durczokiem. Biznesmen i jego małżonka zasilali portfele, wynajmując chętnym swój atrakcyjny apartament na Mokotowie. Okazało się jednak, że trafili na niesforną lokatorkę, która przestała im płacić. Nie pomagały prośby, interwencje. Ponieważ od miesięcy nie płaciła za wynajem mieszkania, właściciele postanowili pojechać na



Akcesoria do ćpania, resztki narkotyków w mieszkaniu biznesmena. W tym apartamencie barykadował się Durczok, nie chcąc wpuścić właściciela.

## **Durczok barykadował się w mieszkaniu, szarpał się z jego właścicielem.**

Na miejscu zostały rzeczy szefa „Faktów” TVN, resztki narkotyków i pospiesznie roztrzaskany sprzęt elektroniczny.







miejsce i rozmówić się z nią. Pierwsza przyjechała małżonka. Drzwi jej nie otwarto, mimo że za nimi ktoś był. Słychać było odgłosy niszczenia jakichś sprzętów. Nie pomagały wezwania. Kobieta zadzwoniła po męża, a ten rozsądnie wezwał policję uznając, że za drzwiami może buszować złodziej nakryty na gorącym uczynku. Sam przyjechał na miejsce. Już z własnymi kluczami, by dostać się do swego mieszkania. Tyle że ktoś od środka blokował drzwi, uniemożliwiając wejście. W końcu z mieszkania wybiegł zakapturzony Durczok, z którym właściciel mieszkania zaczął się szarpać. Na dole szefa „Faktów” TVN spisał interweniujący patrol policji.

W swym mieszkaniu właściciele zobaczyli dość szokujący obraz. Pośród chaosu nie do opisanego były tam dziesiątki charakterystycznych torebek służących do przechowywania narkotyków, z resztkami białego proszku w środku, charakterystyczny rulon do wcią-

Gdy właściciel próbował dostać się do mieszkania, za drzwiami słyszał hałas. Kiedy wszedł, zobaczył zniszczony sprzęt elektroniczny, tak, by nikt nie mógł stwierdzić, co było na nośnikach.

gania narkotyków, karta płatnicza z białym proszkiem na krawędziach. Torba z roztrzaskanymi na miazgę telefonami i kamerą, ale też liczne rzeczy Durczoka, takie jak choćby jego korespondencja czy notatki na temat „Faktów” TVN. Policja raczej nie kwapiła się do działania, więc właściciele obfotografowali mieszkanie, zmienili zamki. I postawili najemczynie warunek: będzie mogła odebrać rzeczy dopiero po zapłaceniu zaległego czynszu. Tyle że pani się nie zgłaszała, a i Durczok też nie kwapił się do odbioru swych rzeczy.

Po tygodniach oczekiwania na reakcję ze strony wspomnianej dwójki zirytowany biznesmen zgłosił się do nas. Chciał znów komuś wynająć lokal, ale nie mógł tego zrobić, bo

w środku były rzeczy najemczyni i sławnego dziennikarza.

Właściciel zabrał nas do mieszkania. Miejsce wyglądało dokładnie tak jak na fotografiach, które małżonkowie zrobili tuż po opuszczeniu apartamentu przez Durczoka. Akcesoria do ćpania, resztki białego proszku w torebkach, roztrzaskany sprzęt elektroniczny w płócienniej torbie.

Ale w tej historii było coś jeszcze. Po obejrzeniu mieszkania poradziliśmy właścicielowi, by zawiadomił policję, bo tam, gdzie są twarde narkotyki, kończą się żarty. Biznesmen opowiedział nam potem, że zadzwonił na policję, ale reakcja funkcjonariuszy była dziwaczna. Poradzili właścicielowi mieszkania, żeby – jeśli chce wyjaśnić sprawę – wynajął firmę detektywistyczną. Dopiero po naleganiach przedsiębiorcy i naszych pytaniach funkcjonariusze wzięli się do jakiejś pracy i na odczepne zabezpieczyli część torebek z resztkami białego proszku.

Te zaniechania, sposób prowadzenia działań przez policję, były decydującym elementem, który zachęcił nas do napisania tekstu. Swoją drogą, niedługo potem przesłuchujący nas w związku z tą sprawą prokurator wprost powiedział, że działania funkcjonariuszy policji były nieodpowiednie i zadziałała tu „magia nazwiska” Durczoka.

Historia wydała mi się po dziennikarsku interesująca i ważna społecznie. Oto szef jednego z najważniejszych dzienników w kraju wpłątuje się w niebywałą wprost kabałę. Barykaduje się za drzwiami cudzego mieszkania, szarpie się z jego właścicielem i próbuje zbiec. W lokalu są torebki z resztkami białego proszku i akcesoria do brania twardych narkotyków, roztrzaskany sprzęt elektroniczny. Policja nie interweniuje, bo działa tu jakaś „magia nazwiska”.

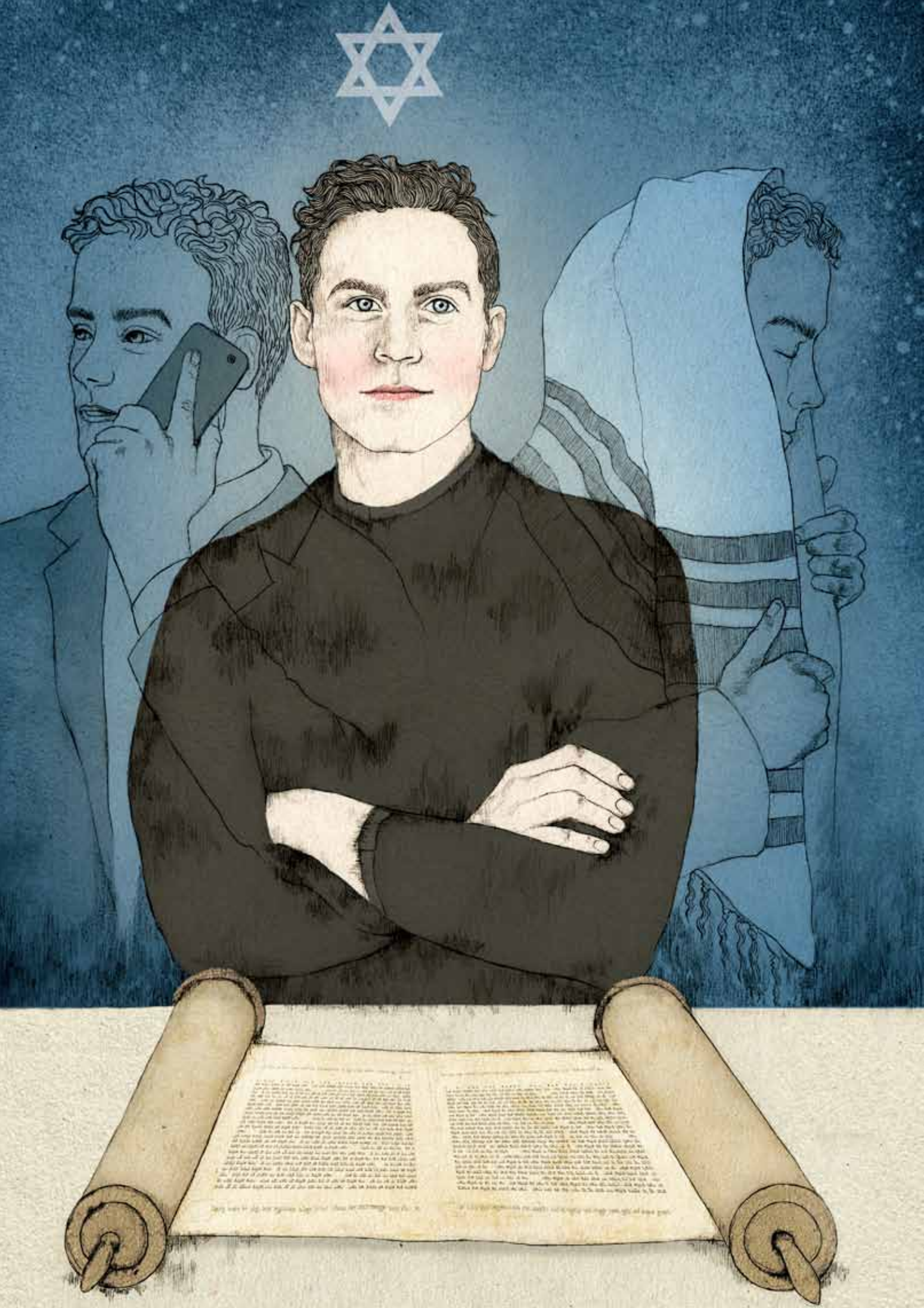
Taka historia byłaby tematem i w Niemczech, i w Wielkiej Brytanii, i w Stanach Zjednoczonych. Durczok nie jest osobą prywatną, ale publiczną. Zasiadał w telewizyjnym studiu przed milionami ludzi. W rozmowach piętnował dwulicowość, podwójne standardy, wychowywał młodych dziennikarzy, kreował politykę informacyjną jednej z najważniejszych telewizji. Jego wpływ na polską rzeczywistość pozostawał, w naszej ocenie, większy niż za-

pewne 3/4 pojedynczych osób zasiadających w parlamencie.

Na całym świecie tego typu historia byłaby dziennikarskim tematem. I została rzetelnie po dziennikarsku zrobiona. Mieliśmy wypowiedzi biznesmena, udokumentowaną historię z miejsca wydarzenia, rozmawialiśmy z policjantami, daliśmy szansę wypowiedzi najemczynie mieszkania i Durczokowi, który najpierw plótł androny, a w końcu cisnął słuchawką, nie chcąc wyjaśnić, o co w tej sprawie chodzi.

Warto napisać kilka słów na temat procesu. Jego przebieg był dość zadziwiający. Proszę sobie wyobrazić, że odrzucono wnioski dowodowe zgłoszone przez naszą stronę. Nie przesłuchano nawet biznesmena, jego małżonki, najemczynie mieszkania, policjantów. Nikogo z nich. Sąd nie zgodził się nawet, by do akt sprawy dołączyć rozmowę, którą odbyliśmy z Durczokiem, zbierając materiał do tekstu. Przesłuchano za to wszystkich świadków zgłoszonych przez Kamila Durczoka.







# Nowoczesny, świecki, polski żyd

Gdy rabin spytał go, czy jego motywacją do zmiany wiary **jest narodowy wyrzut sumienia, zaprzeczył.**

Paulina Socha-  
Jakubowska



rysunek: Malwina  
Kuna-Mieczkowska



**D**ruga połowa listopada, piątek, dochodzi dziewiętnasta. Zaczyna się szabat. Do synagogi w willi w warszawskim Wilanowie, oddalonej o 10 numerów od jednego ze stołecznych meczetów, wchodzi wierni. Karol przyszedł wcześniej; ostatnie minuty przed rozpoczęciem nabożeństwa wykorzystuje

na rozmowę z innymi konwertytami. Tego wieczoru 10 osób – cztery kobiety i sześciu mężczyzn – przyjmując ostatecznie „jarzmo Tory” zwieńczy trwający kilkanaście miesięcy proces przejścia na judaizm. Zostaną żydami.

– Dwa lata przed rozpoczęciem kursu konwersji byłem w Jerozolimie, stałem pod Ścianą Płaczu, gdy podszedł do mnie ortodoksyjny żyd. Miałem na głowie papierową jarmułkę, taką dla turystów. Spytał, czy jestem żydem. Niby tylko zadał pytanie, ale to pytanie, w tym miejscu, mnie dotknęło. Dziś mógłby odpowiedzieć twierdząco. Znajomi mówią o nim „indywidualista”, przyzwyczaili się, że lubi iść

pod prąd, że w towarzystwie zawsze musi się wyróżnić. Typ „działacza”, „społecznika”, „aktywisty”. Wchodził w tłum w czasie Marszu Niepodległości i nagrywał, jak zachowują się i co skandują narodowcy. Potem nagraniami dzielił się w sieci, jego akcję opisywali dziennikarze. Robił to, bo nie lubi narodowców i nie uznaje stereotypu Polaka-katolika.

W 2014 roku, rozszluszczony przez chuliganów-podpalaczy, ściągnął polityków, m.in. Wandę Nowicką, która wtedy była wicemar-

Uważa się  
za Polaka-Żyda.

**Twierdzi, że czuł,  
że jego moralność  
jest moralnością  
żydowską,  
a nie katolicką**

szalkiem Sejmu, na warszawski Plac Zbawiciela, przed stojącą tam wówczas instalację artystyczną „Tęcza”. Mówił dziennikarzom, że w ten sposób manifestuje przeciwko dyskryminacji ze względu na płeć, wyznanie czy narodowość.

Bliski kolega: Jeżeli się angażuje, to zawsze na sto procent. W swojej działalności społecznej nie uznaje półśrodków. Tak samo jest z judaizmem. Czuł się Żydem, poszedł na kurs, spełnił wymagania, zdał egzamin. I dziś jest Żydem. Choć nie afiszuje się tym w towarzystwie. Nie wszyscy o tym wiedzą.

Uważa się za Polaka-Żyda. Wyjaśnia, że konwersja była mu potrzebna do „usankcjonowania tożsamości”. Twierdzi, iż czuł, że jego moralność jest moralnością żydowską, a nie katolicką. Dlatego postanowił całkowicie zmienić swoje życie.

## Polak-katolik

Urodził się w 1990 roku w Oświęcimiu. Spędził tam 5 lat, zbyt krótko, by wtedy odwiedzić

Auschwitz-Birkenau. Ale podkreśla, że wiedział o istnieniu obozu, znał historię, od najmłodszych lat był „oswojony” z tematem. Potem jego rodzina przeniosła się do Warszawy. W stolicy skończył podstawówkę, gimnazjum, ogólniak i poszedł na studia. Dorastał w rodzinie laickiej, ale podtrzymującej tradycje katolickie. W każdym razie nikt nigdy do kościoła go nie ciągnął. Raczej przypomina sobie krytykę kościoła płynącą z ust mamy. Mówi, że w zasadzie to on był najbardziej religijny z ich trójki (mieszkał z mamą i bratem). – Modliłem się zawsze – zaznacza. Tyle że dość szybko, bo już na etapie szkoły średniej, zrozumiał, że religijność to jedno, a uznawanie Kościoła za największy autorytet to zupełnie inna sprawa. A on uznawać nie chciał. Zrezygnował z bierzmowania.

– Nie rozumiałem, dlaczego, kiedy umarł papież, wszyscy teatralnie rozpaczali. Nawet ludzie, których postawa moralna prezentowana na co dzień nie wskazywałaby, że będą płakać po papieżu z religijnych pobudek. Dziś wiem, że to element kultu, który koncentruje się na symbolu, a nie na wartości. Przeszkadza mi kult świętych, kult Jezusa. Czczenie symboli, posągów ludzi. W ostatnich latach do tego doszły inne rzeczy: to, że Kościół kapituluje wobec kryzysu rodziny, że mamy do czynienia z triumfem mamony, cywilizacji konsumpcji, a wartości rodzinne, które stały u podstaw naszej cywilizacji, uznano za stracone. Kościół skupia się na „totemie” aborcji nie walcząc o promocję pozytywnej wartości, jaką jest rodzina i świadome rodzicielstwo – mówi, dodając, że katolicyzm fasadowy, czyli to, że dla niektórych ładne ubranie do kościoła jest ważniejsze niż treść głoszonych przez księdza kazań, jego zdaniem czyni taką wiarę bezużyteczną.

Trzy lata temu po raz pierwszy poszedł do synagogi. „Turystycznie”. Wcześniej, na studiach, chodził też na zajęcia Żydowskiego Uniwersytetu Otwartego. Zaznacza, że to był jego pierwszy merytoryczny kontakt z judaizmem. – Czytaliśmy Stary Testament i mieliśmy treściówki, sprawdziany ze znajomości szczegółów – wtrąca. To wtedy pierwszy raz usłyszał o konwersji.

Gwiazdę Dawida, naszyjnik, który mama przywiozła mu z Brazylii, nosił już w liceum. W maturalnej klasie napadli go chuligani

i naszyjnik mu ukradli. Najpewniej nie wiedzieli, co biorą. Dlatego zdaniem Karola to nie był atak o podłożu antysemitycznym.

Przez pół roku był wolontariuszem w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Chodził na treningi piłkarskie żydowskiego klubu sportowego, reaktywowanego w Warszawie cztery lata temu.

W 2015 roku postanowił po raz pierwszy wziąć udział w nabożeństwie szabatomym. Bo nie wiedział, jak traktować swoje zainteresowanie judaizmem. Mówi, że w synagodze od razu poczuł się „jak u siebie”, a wspólna modlitwa, przez to, że chłonał każde słowo, była dla niego ogromnym wysiłkiem intelektualnym, czymś, czego chodząc do kościoła nie doświadczał. Twierdzi, że w czasie mszy świętej, nie mógł odmawiać części modlitw, bo uznawał je za bałwochwalstwo. – A forma nabożeństwa szabatomowego tak bardzo mi odpowiadała, uświadomiłem sobie, że nic nie jest tam zbędne i że chciałbym tych spotkań doświadczać więcej i częściej. Apostazja Karola była przewidziana, ale ostatecznie nie musiał jej przejść formalnie. Wystarczyły deklaracje, że nic nie łączy go z inną religią. – Co nie znaczy, że nie przejdę apostazji – deklaruje.

## Żydzi byli i zniknęli

Gdy był dzieckiem, nikt nie zabrał go do obozu Auschwitz. Pojechał tam dopiero w liceum. – Pamiętam tekst z podstawówki w Warszawie: „jesteś z Oświęcimia, widziałeś Niemców?”, a ja odpowiadałem, że Warszawa ma taką samą historię związaną z Żydami, tyle że ona nie wpisuje się w tożsamość miasta. A dla mnie historia Żydów była zawsze częścią historii Polski. Myślę, że to mnie wyróżnia – mówi. I dodaje, że boli go, jak po wojnie Żydzi w zasadzie zostali wyparci ze świadomości. Albo są obiektem drwin. – Nie ma żartów à propos tego, że warszawiacy zniszczyli swoje miasto w czasie powstania, że polska armia była nieudolna, że Polska przed wojną była nadmuchanym dumą balonikiem. Ale z holocaustu, i owszem, żartuje się. Bo ta zbrodnia wykracza poza ludzką wyobraźnię. Byli Żydzi i zniknęli. A Polacy do dziś mają z tym problem, co widać na przykładzie reakcji na „polskie obozy koncentracyjne”. Polacy przecież byli świadkami – ciągnie.

W czasie jednego z pierwszych spotkań rabin spytał go, czy jego motywacją do zmiany wiary jest narodowy wyrzut sumienia. Odpowiedział, że nie. Że jego związek z judaizmem jest kwestią personalną.

Dwa lata temu zapisał się na kurs konwersji. Tydzień po tygodniu poznawał cykl życia żydowskiego, cykl świąt żydowskich, modlitwy, prawo żydowskie, literaturę rabiniczną, historię Izraela i ruchu syjonistycznego, zasady prowadzenia żydowskiego domu, uczył się, jak wygląda życie w społeczności żydowskiej.

– Były zajęcia w grupie i spotkania sam na sam z rabinem. Trudniejsza od nauki czytania tekstu hebrajskiego była zmiana całego trybu życia. W Torze pierwszą konwertytką jest Rut, która mówi słynne zdanie „Twój lud, mój lud, Twój Bóg, mój Bóg”. Szyk tego zdania wskazuje, że by dołączyć do przymierza z Bogiem, trzeba zacząć od wejścia w społeczność żydowską. Musiałem to zrobić – stwierdza.

## Koszerowanie życia

Zaczął święcić szabat. Zanim w piątek zapadnie zmrok, przygotowuje sobie ubranie i jedzenie na kolejną dobę. A już po zmroku nie podejmuje żadnej kreatywnej pracy. Na szczęście wcześniej nie pracował w soboty i zmiana wyznania nie wymagała od niego zmiany pracy.

Judaizm reformowany, nurt judaizmu, który wybrał jako swoją drogę, jest bardziej liberalny. Opowiada anegdotę: ten nurt zezwala, by wierni docierali do synagogi swoimi samochodami. I ja samochodem jeżdżę, bo zgodnie z moją indywidualną moralnością ważniejsze jest dla mnie to, by dołączyć w szabat do społeczności, niż pozostanie w domu z braku możliwości dojechania. Ale cztery razy, właśnie w szabat, samochód mi się popsuł. To znaczy, raz wjechało we mnie rozpedzone bmw, a raz na przykład padła mi skrzynia biegów – stwierdza. Ale – jak zaznacza – reformowany judaizm to judaizm. Musiał więc zmienić jadłospis.

Pierwszą Chanukę świętował równolegle do obchodzonych przez jego bliskich świąt Bożego Narodzenia. Siedział z nimi przy wigilijnym stole, a potem w oknie zapalał chanukiję. W święto Pesach rodzina zadbała, by na stole była maca, a on mógł jeść to, na co pozwala





mu religia. Z rzuceniem wieprzowiny nie miał problemu, bo ten rodzaj mięsa przestał dla niego istnieć już 4 lata temu, czyli dwa lata przed rozpoczęciem konwersji.

Ale musiał przestać łączyć produkty mleczne z produktami mięsnymi. Trzymać się potraw koszernych. W praktyce oznaczało to dla niego wprowadzenie diety praktycznie wegańskiej. Wyjaśnia, że koszerne mięso jest trudno dostępne i drogie. Chyba że samemu się je „koszeruje”. Bo z mięsa niekoszernego można zrobić koszerne. Wystarczy upuścić z niego krew. Mięso się namacza, a później obsypuje solą, która wyciąga wszystkie krwiste pozostałości. W sklepie, przy kupowaniu kurczaka, wystarczy wybrać fragmenty bez śladów krwi. Kłopotliwe, jak zaznacza, jest tylko jedzenie na mieście. Nawet codzienne modlitwy udaje mu się łączyć z obowiązkami zawodowymi marketingowca. W biurze stara się znaleźć miejsce odosobnienia i czasem znika na kilka minut.

Na święto Purim, obchodzone w ostatnią pełnię Księżyca przed wiosenną równonocą, zaprosił swoich kolegów do synagogi. Bo „to święto sprzyja integracji, przypomina karnawał, można w czasie jego trwania się prze-

bierać i trzeba się napić”. Uznał, że będzie to najlepsza okazja, żeby pokazać im społeczność, której staje się członkiem. Mówi, że wszyscy bawili się świetnie.

### **„Nowoczesny, świecki żyd”**

Na pytanie, dlaczego do przejścia konwersji wybrał nurt reformowany judaizmu i właśnie ze społecznością postępową związał swoją religijną przyszłość, 28-latek odpowiada poważnym tonem: Reformowany najlepiej odpowiada potrzebom duchowym społeczeństwa XXI wieku, odpowiada na pytania, na które nie potrafi odpowiedzieć ani katolicyzm, ani prawosławie czy islam. Jest prawdziwy, polega na dialogu.

Poza tym, jak wyjaśnia, reformowany judaizm na zasady patrzy w specyficzny sposób, nie wymaga od konwertyty wdro-

## ZRÓŻNICOWANY JAK JUDAIZM

- Według Światowego Kongresu Żydów populacja żydów w Polsce wynosi od 5 do 20 tysięcy osób. W rzeczywistości ustalenie dokładnej liczby jest w zasadzie nierealne. – Bardziej trzymałbym się tej dolnej granicy. Mało tego, uważam, że liczba ta uwzględnia także Izraelczyków prowadzących biznesy w Polsce. Problem ze statystykami polega na tym, że nie wszyscy Żydzi są związani z gminami żydowskimi, a właśnie na danych z gmin opierają się te wyliczenia. Poza tym nie wszyscy przyznają się do swoich korzeni otwarcie – mówi dr Przemysław Piekarski, judaista i tłumacz z jidisz, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego.

- Wyjaśnia, że organizacją, związkiem wyznaniowym reprezentującym żydów jest gmina. Najwięcej wyznawców judaizmu podlega pod Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich RP, na którego czele stoi naczelny rabin Polski, Michael Schudrich. Zaś największa społeczność żydowska żyje w Warszawie.

- Oprócz związku gmin, polscy żydzi skupiają się m.in. także wokół Chabad-Lubawicz, grupy chasydów, która w Krakowie i Warszawie ma swoje synagogi, Związku Postępowych Gmin Żydowskich „Beit Polska”, zaś w Lelowie, wraz ze swoim rabinem, osiedlili się chasydzi.

- O tym, jak bardzo judaizm jest zróżnicowany, świadczy mnogość jego nurtów, które definiują podejście samych żydów do wyznawanej przez siebie religii.

- Judaizm ortodoksyjny opiera się współczesnej kulturze, nauce i zasadom panującym w coraz bardziej liberalnym świecie. Podkreśla konieczność ścisłego przestrzegania zasad żydowskiego prawa, nie uznaje np. małżeństw mieszanych.

Żydzi ortodoksyjni prezentują najbardziej gorliwą postawę religijną, bardzo ściśle przestrzegają zasad halachy – prawa religijnego w życiu codziennym. Ale nawet w ramach nurtu ortodoksyjnego można wyróżnić podgrupy.

- W ramach judaizmu ortodoksyjnego funkcjonuje np. chasydyzm, czyli skrajnie ortodoksyjny nurt, o podłożu mistycznym, najpopularniejszy w Izraelu i USA. Chasydzi podążają za naukami cadyków, czyli tzw. sprawiedliwych.

- – Konwersja u ortodoksów trwa o wiele dłużej niż w nurcie reformowanym. Dzieje się tak m.in. dlatego, że gdy kandydat bądź kandydatka dotrą do jednego z końcowych etapów procesu konwersji, sądu rabinackiego, są przez zasiadających w nim trzech żydów szczegółowo przepytывani. W wypadku młodych chcących przejść na judaizm bardzo często zdarza się, że sąd rabinacki, din Tora, kwestionuje ich motywacje i np. zaleca roczny pobyt w Izraelu, by tam utwierdzili się w słuszności swojej decyzji – wyjaśnia prof. Piekarski. Jak dodaje, zdarzają się przypadki, gdy chcący przejść konwersję na judaizm musi takich możliwości szukać np. w USA. Jak mówi, w kręgu ortodoksyjnym w Krakowie konwersję przechodzą dwie, góra trzy osoby rocznie.

- Nowoczesna ortodoksja to kolejny nurt judaizmu, którego zwolennicy – mimo że wciąż ortodoksyjni – biorą poprawkę na to, że funkcjonują w XXI wieku i zwracają uwagę na głosy liberalizujące postawę ortodoksyjną. Z tego nurtu wywodzi się np. Jared Kushner, mąż córki Donalda Trumpa, Ivanka.

- Judaizm konserwatywny choć podkreśla wagę tożsamości religijno-etnicznej, to widzi potrzebę

zmian. Czyli łączy w sobie elementy judaizmu ortodoksyjnego i reformowanego. Jego wyznawcy stosują się do zasad dotyczących przestrzegania szabatu czy spożywają tylko kosherne jedzenie. Co ważne, konwersji w ramach tego nurtu nie uznają rabini ortodoksyjni. Ale reformowani już tak.

- Zaś sam judaizm reformowany z założenia ma być dostosowany do współczesnych realiów, warunków życia. Judaizm reformowany stosuje prawo żydowskie, ale dostrzega potrzebę reform i daje żydom możliwość dokonywania wyborów na podstawie własnego sumienia.

- Judaizm reformowany wprowadził równouprawnienie kobiet w liturgii, dopuszcza możliwość zawierania małżeństw mieszanych. Sprzyja konwersjom i stosuje uproszczoną (względem innych odłamów) ich procedurę.

- – Co ciekawe, konwersja reformowana w Izraelu jest lepiej traktowana niż ortodoksyjna. Gdyby konwertyta chciał się tam osiedlić – zauważa naukowiec.

- Jednym z nurtów judaizmu jest także m.in. nurt humanistyczny, który uważany jest bardziej za filozofię życia ludzi kultywujących tradycje żydowskie niż religię. Nurt ten stoi w całkowitej kontrze do nurtu ortodoksyjnego.

- – Warto jeszcze dodać hala-chiczną definicję żyda: ma matkę żydówkę albo przeszedł konwersję. I tu zaczynają się problemy, zwłaszcza wśród mężczyzn. Do minjanu, czyli zgromadzenia modlitewnego złożonego z dziesięciu żydów płci męskiej po bar micwie, ortodoksi nie policzą kogoś po konwersji nieortodoksyjnej, ale ateistę, syna żydówki już tak – dodaje dr Przemysław Piekarski.

żenia wszystkiego, czego oczekiwali rabin ortodoksyjni.

A potem uściśla: przyjmuje się, że prawo żydowskie nie może być reformowane, reforma to „oświecony judaizm”, nowoczesny, jego prawa się nie zmieniają, ale zmienia się podejście i interpretacje zasad. Rabin nie przychodzi do twojego domu i nie sprawdza ci lodówki, więcej kwestii pozostawia twojemu sumieniu. Kobiety mogą być rabinkami, czytać Torę. Akceptowane są małżeństwa mieszane i śluby homoseksualne.

Czyli, jak podkreśla, w judaizmie reformowanym nie zamyka się oczu na kwestię równouprawnienia kobiet czy równych praw dla środowiska LGBT. Między innymi dlatego nurt ten tak popularny jest w Stanach Zjednoczonych.

W Polsce judaizm reformowany skupia się w Warszawie, ale gminy są też we Wrocławiu, Krakowie, Trójmieście i Zielonej Górze. Od 2006 roku, po raz pierwszy od holocaustu, Żydzi reformowani mają w Polsce własnego rabina. – Wiesz, ortodoksi nie zaakceptowali by tego, że usiądę przy stole wigilijnym z rodziną. Ale ja ze względu na szacunek dla rodziny, wynikający z przykazania „czcij matkę i ojca”, uczestniczę w ich życiu. Tym bardziej że ich przywiązanie do świąt jest bardziej związane z tradycją niż z wiarą – mówi. Jeżeli ktoś, kto przystępuje do konwersji, ma dzieci, to te dzieci też powinny ją przyjąć. Mąż czy żona powinni wyrazić aprobatę. Konwersja

oznacza zmianę całego życia. – Musisz mieć żydowski dom – mówi. Jego dom taki się staje.

## Wyznanie wiary

Karol czyta Torę. Co tydzień kolejna parsza. Mówi, że te rozdziały podpowiadają mu w życiu. I to dosłownie.

Do niedawna był w związku z praktykującą katoliczką. – Deklarowała tolerancję. Mówiła, że moja konwersja nie jest dla niej problemem, bo przecież judaizm jest pełnoprawną drogą do Boga, ale jednocześnie zależało jej, bym razem z nią chodził na spotkania wspólnoty neokatechumenalnej, do której należy. Poszedłem raz. Pokłóciłem się z księdzem, tak merytorycznie, na argumenty. Chodziło o formę spowiedzi – pierwotni chrześcijanie praktykowali bardzo podobną skrucę jak Żydzi – wyszedłem jednak z tego spotkania jeszcze bardziej przekonany o słuszności konwersji – mówi.

Potem w parszy przeczytał, dlaczego małżeństwa mieszane niosą za sobą ryzyko. Że kobieta będzie chciała nakłaniać męża, by oddawał cześć bożkom. A to jest dla Żydów największa obraza Boga. Złamanie przykazań. – W tygodniu tej parszy ona powiedziała mi, że nie wyobraża sobie, by w domu był taki dualizm. Zależało jej na tym, żebym towarzyszył w spotkaniach jej wspólnoty. Nawet za cenę łamania żydowskich zasad. Chciała, żebym pojechał z nią na wspólnotowy wyjazd. Ale ja po prostu nie stawiałem się

Do niedawna był w związku z praktykującą katoliczką. – Mówiła, że konwersja nie jest dla niej problemem, ale zależało jej, bym chodził z nią na spotkania wspólnoty neokatechumenalnej.

**Ostatecznie rozstaliśmy się.  
Po trzech latach związku.**





na zbiorce. Nie przyszedłem, bo był szabat. Wybrałem. Gdy wróciła, rozstaliśmy się. Po trzech latach związku – opowiada.

## Przymierze

Kurs dla konwertytów kończy egzamin z wiedzy. Karol mówi, że niełatwy. Egzamin pisemny. Kilkadziesiąt pytań. Podchwytliwych. Dotyczących także różnic między judaizmem reformowanym a ortodoksyjnym.

Zdanie egzaminu daje możliwość stanięcia przed sądem rabinackim. – Trzech rabinów, żaden z nich cię nie zna. Mają być niezależni. To bardzo stresujące przeżycie. Spotykasz się z niezwykle inteligentnymi, wykształconymi osobami, to raz. A dwa, oni decydują o twoim życiu. Rozmowa dotyczy wiedzy, ale rabinowie głównie wypytują o motywacje i o życie.

Konkluzja tego, co im powiedziałem? Że wierzę w przymierze między Bogiem a Izraelem i chcę do niego dołączyć.

Zanim zdał egzamin, nie wiedząc, czy konwersję przejdzie, Karol został obrzezany. Brit milla, czyli przymierze obrzezania jest obowiązkowe, tylko w wyjątkowych, udokumentowanych medycznie przypadkach, gdy konwertyta np. choruje na hemofilię, obrzezanie zastępuje się nakłuciem napletka igłą, bo przymierze musi być związane przez krew.

– Moje obrzezanie odbyło się zgodnie z zasadami prawa żydowskiego, w obecności rabina i świadków. Lekarz, mówił, że najczęściej z usług kliniki korzystają muzułmanie, przeważnie Turcy. Ale procedura go nie dziwiła. W czasie zabiegu błogosławiłem Boga. Musiała połączyć się krew, bo to ona

świadczy o „przymierzu”, dlatego zabiegu nie można było zrobić laserem. Czy się bałem? Tuż przed obrzezaniem był stres po prostu, w końcu zwykle obrzezania dokonuje się w 8. dniu życia chłopca, bo Bóg tego zażądał od Abrahama, kiedy się urodził Izaak. A ja mam 28 lat. Ale to było okazanie wiary, wielkie duchowe przeżycie. I przy okazji wielkie poświęcenie; fizyczne skutki odczuwałem przez kilka miesięcy. Wiesz, co jest niesamowite? W czasie mojego obrzezania zaczęła się gwałtowna burza. Zanim dwuletni proces konwersji Karola zakończył się w listopadzie złożeniem przez niego przysięgi w warszawskiej synagodze, musiał jeszcze dokonać aktu oczyszczenia. Nago wejść do mykwy, czyli zbiornika z bieżącą wodą, oderwać się od podłoża, tak by ani nogi, ani ręce nie dotykały ścian zbiornika, wynurzyć się i odmówić specjalne błogosławieństwa. Ten akt symbolizuje ponowne narodziny człowieka. – Zdarza ci się wyjść z jarmułką na głowie na ulicę? – pytam.

– Chodzę w czapce i czasem mam pod spodem kipę – odpowiada. Mówi, że w działalności zawodowej, a także publicznej – społecznika, wystrzega się deklarowania jako żyd. Paradoks polega na tym, że nie robi tego ze względu na antysemityzm, z którym walczy. – W kraju, w którym nazwanie obozów koncentracyjnych „polskimi” uchodzi za skandal, odradza się faszyzm i antysemityzm... A on postanowił zostać żydem.

**Imię bohatera na jego prośbę zostało zmienione**







rysunek: Malwina  
Kuna-Mieczkowska







**Konwersja to  
akt radykalny**



# Będąc Polakiem i podejmując decyzję o konwersji na judaizm nie można całkowicie odciąć się od polskich doświadczeń – mówi prof. Zbigniew Mikołajko.

Rozmawiała:

**Paulina Socha-Jakubowska**

## **Co najczęściej kieruje ludźmi, którzy decydują się na zmianę wiary?**

Nie da się tego powiedzieć jednoznacznie: ludźmi rządzą tutaj rozmaite motywy, na ich decyzje wpływają i czynniki osobowościowe, i sytuacja kulturowa, historyczna czy duchowa.

## **A ludźmi, którzy chcą przejść na judaizm?**

Wybór judaizmu, zwłaszcza w Polsce, jest dość radykalną decyzją. To swoisty znak sprzeciwu wobec kształtu wiary, niepamięci historycznej, stygmatyzowania judaizmu. Ma to zatem głęboki sens moralny. Często jednak wynika z konieczności poszukiwania czegoś głębszego, bardziej wymagającego zaangażowania. Zaś konwersja, do której pani teraz nawiązuje, ma swoją specyficzną, bardziej indywidualną właściwość. Indywidualne cechy.

## **To znaczy?**

W tle stoi bowiem to utożsamianie, istniejące już od XIX wieku, czyli równanie Polak-katolik. Dla większości Polaków przyznających się do katolicyzmu jest on nie tyle wyznacznikiem wiary, ile tożsamości kulturowej i narodowej. To wynika ze statystyk. Do katolicyzmu w Polsce przyznaje się bowiem jakieś 95–96 proc. Polaków, a według danych samego Kościoła ochrzczonych zostało tylko ok. 88–89 proc. A mniej więcej około 40 proc. praktykuje ten katolicyzm chodząc na niedzielne msze święte. Dlatego dla pani bogate-

ra konwersja była najpewniej właśnie swoistym wyzwaniem rzuconym tożsamości polskiej, tak właśnie się wyrażającej. Nie miała więc tylko charakteru religijnego, ale też charakter kulturowo-plemienny. Ten młody człowiek pewnie więc szukał odpowiedzi na nurtujące go pytania, szukał głębokiej wiary religijnej. Poza tym to wielkie pole śmierci w Auschwitz, tuż obok Oświęcimia, w którym się urodził, zobowiązało go moralnie, by stać się żydem w świecie, który w sposób najmocniejszy z możliwych doświadczył Holocaustu, w miejscu, które najdrastyczniej zaznało Zagłady.

## **Pewnie znajdą się tacy, którzy uznają ten akt konwersji za prowokację.**

Nie jest to prowokacja, ale poczucie zobowiązania wobec tych, którzy zostali spaleni.

## **Główne pytanie, które mu zadał rabin, było takie, czy kieruje nim narodowy wyrzut sumienia. Odpowiedział, że nie.**

Wyrzut sumienia nie może być oczywiście w tym wypadku podstawowym źródłem wyboru, ale będąc Polakiem i podejmując decyzję o konwersji na judaizm, nie można całkowicie odciąć się od polskich doświadczeń.

**Pana zdaniem ktoś, kto we współczesnej Polsce – w kraju, w którym zaczęto przyzywać na coraz śmielsze ksenofobiczne i antysemickie**



ADAM KOZAK / AGENCJA GAZETA

## **Do katolicyzmu w Polsce przyznaje się bowiem jakieś 95–96 proc. Polaków,**

a według danych samego Kościoła  
ochrzczonych zostało tylko ok.  
88–89 proc. A mniej więcej około  
40 proc. praktykuje ten katolicyzm  
chodząc na niedzielne msze święte.

### **Zbigniew Mikołajko**

- filozof i historyk  
religii, eseista, kiero-  
wnik Zakładu Badań  
nad Religią i profes-  
sor w Instytucie Filo-  
zofii i Socjologii PAN.  
Ostatnie książki:  
„Żywoty świętych  
poprawione ponown-  
ie” (2017), „Gor-  
zkie żale” (2017),  
„Między zbawieniem  
a Smoleńskiem”  
(2018).

**zachowania – decyduje się na to,  
by zostać żydem, powinien się bać  
reakcji ludzi dowiadujących się  
o jego wyborze, zmianie wiary?**

Jesteśmy społeczeństwem zróżnicowanym, a w wielu sprawach rozdartym. Podejście zależy więc będzie od środowiska, w którym konwertyta żyje. Dla wielu osób to będzie rzecz obojętna, zwłaszcza że w wielkim mieście człowiek rozpląta się ze swoją anonimowością. Ale znajdują się tacy, którzy będą na to reagowali agresją. Mój bohater wolał pozostać anonimowy. Nie wszystkim mówi o swojej życiowej zmianie. Boi się antysemityzmu, mimo że od lat z nim walczy. Ale z drugiej strony, choć zabrzmi to pewnie brutalnie, w bycie żydem, w kondycję żydowską jest wpisane przecież doświadczenie prześladowania. I każdy, kto wybiera judaizm jako swoją religię, pewnie wie, że będzie musiał nieść ten ciężar. W tym sensie konwersja także staje się pełna, właśnie przez niebezpieczeństwo szykan czy ostracyzmu. Na szczęście jest społeczność żydowska. W niej konwertyta może czuć się bezpiecznie.

Tym bardziej że tam prawie wszyscy na swój sposób są nowi. Nawet ci, którzy byli Żydami z urodzenia, żyli często poza religią swych przodków i dopiero teraz powrócili do judaizmu.

Powiedział mi pan, że w różnych epokach i miejscach świata konwersje na judaizm znaczyły różne rzeczy i inaczej wyglądały. Na przełomie dwóch er, zanim Żydzi zostali rozproszeni przez Rzymian, prowadzono działalność prozelicką, „misyjną”, która miała na celu nakłanianie pogan do przyjęcia judaizmu. Był to bowiem czas wielkiego duchowego niepokoju, w którym wielu ludzi odczuwało gwałtownie potrzebę głębszej wiary oderwanej od kultów oficjalnych, państwowych czy miejskich. Kultów plemiennych, „pogańskich”, związanych z bóstwami greckimi, rzymskimi, syryjskimi, z politeizmem tamtego czasu. Wtedy pojawiło się mnóstwo ludzi, którzy poszukiwali czegoś, co jest „nie z tego świata”. Co byłoby swoistą religią zbawienia czy wyzwolenia, bo świat był okrutny i chwiały się w posadach, a bogowie, z którymi mieli do czynienia ci z kręgu politeizmu, nie dawali takiej nadziei. Także wówczas, gdy nastało chrześcijaństwo, od czasu do czasu w jego obrębie pojawiały się osoby przyjmujące wiarę Mojżesza albo całe środowiska „żydujących”, które albo dokonywały konwersji, albo przejmowały pewne cechy,

elementy religii żydowskiej. To dotyczy zarówno świata zachodniego, jak i prawosławia na Rusi – tam już w XI, a potem w XVI–XVIII stuleciu pojawiały się takie grupy.

**A u nas?**

W Rzeczypospolitej były to przypadki raczej jednostkowe. Konwersja była o tyle trudna, że obojętnością była taka zasada prawna, że przejście z wiary chrześcijańskiej na judaizm było karane śmiercią, a z judaizmu na katolicyzm gwarantowało nobilitację, tytuł szlachecki. Tak stało się chociażby w XVIII wieku w wypadku frankistów. Odosobnione przypadki konwersji były bardzo głośne na przykład w XVI wieku, wtedy pewna wdowa, Katarzyna Weiglowa z Krakowa, prawie 80-letnia, nawróciła się na judaizm. Za swój czyn została spalona przez biskupa krakowskiego na stosie.

**Aż przychodzi XX wiek...**

Późniejsze doświadczenia łączą się z coraz większą stygmatyzacją, choć przecież Żydzi w I Rzeczypospolitej – mimo wybuchających tu i ówdzie prześladowań – mieli swoje miejsce. Stanowili tam czwarty stan, który miał swoją autonomię i prawa, łącznie z np. sejmem żydowskim. W XX wieku natomiast, po doświadczeniach z nazizmem, przy udziale Polaków w rozmaitych pogromowych zdarzeniach, reagujących z obojętnością albo niekiedy i radością na zagładę Żydów, stało się tak, że podświadomą winę niektórzy Polacy zaczęli przerzucać z siebie samych na ofiarę, czyli na Żyda. To przekroczyło wręcz granice zwykłego antysemityzmu: Żyd stał się u nas po prostu uniwersalną figurą Obcego. I właśnie dlatego, biorąc pod uwagę kontekst historyczny, konwersja na judaizm w Polsce oznacza coś bardzo radykalnego, mocniejszego, niż gdyby odbywała się np. w USA, gdzie praktyka przechodzenia na judaizm czy konwersji w obrębie chrześcijaństwa jest popularna i nie wynika z niej naznaczenie. Tam bowiem ludzie nagminnie przechodzą z Kościoła do Kościoła i konwersja nie jest tak jaskrawym znakiem tożsamości.

**W uroczystości, w której brałam udział, proces konwersji w ramach nurtu reformowanego kończyło 10 osób. Często pan słyszy o ludziach, którzy chcą zostać żydami?**



Najczęściej mam do czynienia z konwersją na judaizm, ale polegającą na tym, że konwertyta odzyskuje swoją zatraconą religię. Miałem choćby studentkę, którą wychowywał starszy brat, bo jako dziecko straciła rodziców. Dopiero jako dorosła dziewczyna dowiedziała się, że rodzice byli żydami, którzy ukrywali swoją żydowskość. I ona powróciła do judaizmu. Wyszła też za męża za kogoś, kto również powrócił do judaizmu przodków. Takich przypadków – osób, które z obszaru ateizmu swoich rodziców czy dziadków, czasem związanych z lewicą czy komunizmem nawet, wracają do judaizmu – jest sporo.

**Mam wrażenie, że w zasadzie się o nich nie mówi, a o konwersjach niemotywowanych odzyskiwaniem utraconej tożsamości, to już w ogóle. Temat nieznany, nieporuszany.**

Nie mówi się, bo takich ludzi jest garstka. Poza tym to nie jest temat do dyskusji, chyba że mamy do czynienia z tak głośną konwersją jak ta, której dokonały Marylin Monroe czy Elisabeth Taylor. Ale tak naprawdę początek judaizmu to jest właśnie konwersja, przecież rodzice Abrahama i Sary nie byli żydami, stali się nimi dopiero na skutek Przymierza.

**Która z konwersji jest najtrudniejsza do przejścia?**

Judaizm jest w najwyższym stopniu religią Księgi. Wymagania intelektualne, nawet wobec przeciętnego wyznawcy, są ogromne. Chodzi tu zatem o głęboką kulturę umysłową, pozwalającą na włączenie się do systemu poznawania własnej wiary. W judaizmie nie można być nieświadomym. Judaizmu, zwłaszcza tego wynikłego z konwersji, nie da się praktykować atawistycznie, na zasadzie odruchowego mechanizmu. Konwertyta swoją wiedzą, swoją znajomością Tory oraz zasad wiary i moralności itd. nie może się różnić od pozostałych członków swojej społeczności. Tymczasem katolicy często nie wiedzą rzeczy elementarnych – nie tylko dotyczących historii swej religii, ale też sensu obrzędów, w których biorą udział. W prawosławiu, w którym dominuje praktyka obrzędowa, czy nawet w protestantyzmie, ta „świadomość” też nie jest egzekwowana.

**Islam jest także religią Księgi. Ale zostać muzułmaninem jest chyba łatwiej.**

Tak naprawdę wystarczy wyznanie wiary, zapoznanie się z Koranem i przyjęcie pięciu filarów islamu. W wypadku mężczyzn potrzebne jest też obżęcie. Ale większych wymogów formalnych chcącym przejść na islam się nie stawia. Zaznaczam jednak, że sam islam jest bardzo zróżnicowany i przeciętny jego wyznawca, niczym przeciętny katolik w Polsce, praktykuje go w sposób powierzchowny, rytualny, „letni”, połączony ze słabą znajomością wiary. Islam ma jednak także głębokie i poważne kierunki, zwłaszcza sufizm.

**Można jakoś scharakteryzować Polaków, którzy chcą zostać muzułmanami?**

Najczęściej są to Polki, które wyszły za muzułmanów. Ale zdarza się też, że to radykalizm islamski skłania niektórych do zmiany religii. To jednak rzadkie i odosobnione przypadki. W związku z tym, że w sprawach islamu panuje histeria i w ostatnich latach jest on mocno naznaczony, konwersja na islam jest trudna „społecznie”. Poza tym trudne są też przejścia na religie synkretyczne o charakterze orientalnym, bardzo obce kulturowo, jak Hare Kryszna.

**Czyli masowe konwersje Polaków nam nie grożą?**

Nie, ale przecież nie powinny nas interesować tylko prawdy statystyczne, a prawdy losu indywidualnego.

**Ale biorąc pod uwagę masy, to mamy raczej do czynienia z zeświecczeniem.**

To prawda. Apostazja obejmuje tysiące ludzi.

**Do niedawna mówiło się o kilkuset osobach rocznie.**

Ale ostatnio ze strony apostazja.pl ściągnięto aż 10 tysięcy formularzy wniosków w tej sprawie. Choć apostazja też jest trudna, bo apóstaci musieli przechodzić do niedawna przez dość ponury obrzęd, jakby śmierci symbolicznej w obrębie swej wiary. Ciągłe jednak, choć w 2016 roku przepisy zostały tu złagodzone, oznacza ona automatycznie, na mocy Kodeksu prawa kanonicznego, ekskomunikę oraz inne formy potępienia i wykluczenia, np. niemożliwość pochowania apóstaty na katolickim cmentarzu.

# By nigdy nie wrócić

To najbardziej znane w Danii zdjęcie polskich uciekinierów. Zrobił je 7 grudnia 1968 roku w duńskim porcie Rønne na Bornholmie fotoreporter „Bornholms Tidende”.





Stoją od lewej: Stefan, Barbara Ciburowski, Jan Kirsch, Krystyna, Leszek, Zdzisław Ciburowski i Ryszard Kulla.

Od lewej oparci o burtę są: Krystyna, Andrzej, Bożena Ciburowski.



Jest słoneczny dzień, a oni stoją na pokładzie drewnianego kutra, który rano wpłynął do portu. Po prawej dwóch chłopaków w bluzach wzorowanych na strojach Czerwonych Gitar. To siedemnastoletni Zdzisiek i o rok starszy od niego Rysiek. Po lewej w minispódnicy, z długimi włosami szesnastoletnia Basia, obok stoi na burcie ostrzyżony na pazia chłopiec – to jedenastoletni Stefan. W środku przy maszcie – troje dzieci (trzynastoletnia Krystyna, dwięcioletni Andrzej, ośmioletnia Bożena). Dwudziestoczteroletni Jan stoi w futrzanej czapce, obok trzydziestosześcioletnia Krystyna, żona szypra, w ciemnym zimowym płaszczu. Najważniejszy jest człowiek opierający się dłonią o kluzę na burcie, patrzący fotografowi prosto w obiektyw. To organizator tej eskapady, trzydziesto-ośmioletni Leszek Ciburowski.

Dzień wcześniej ukrył na kutrze swoją żonę, sześcioro dzieci oraz dwóch kolegów syna (braci Ryszarda Kullę i Jana Kirscha) i wypłynął z portu w Świnoujściu, by więcej tu nigdy nie wrócić.

## Przez morze

Bornholm oddalony jest od Polski o sto kilometrów. To kilka minut lotu odrzutowcem. Dlatego w pierwszych, spektakularnych ucieczkach w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku biorą udział głównie wojskowi piloci. Pierwszym jest ppor. Franciszek Jarecki z 28. Pułku Myśliwskiego w Redzikowie pod Słupskiem. 5 marca 1953 roku podczas ćwiczeń uprowadza na Bornholm nowoczesnego wówczas myśliwca MiG-15. Ląduje na tymczasowym lotnisku w okolicach Rønne i od razu staje się bohaterem. (Od generała Władysława Andersa dostaje Krzyż Zasługi, a od prezydenta USA Dwighta Eisenhowera obywatelstwo amerykańskie).

Trzy miesiące później kolejnego MiG-a porywa ppor. Zdzisław Jaźwiński z 41. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Malborku. Ląduje w szczyrim polu, uszkadzając przy tym maszynę.

25 września 1956 kolejna ucieczka na wyspę. Tym razem por. Zygmunt Gościński z 25. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego z Zegrza Pomorskiego porywa pilotowany przez siebie samolot Lim-2, który zostaje uszkodzony podczas lądowania, ale sam Gościński wychodzi z tego bez szwanku.



Uciekają uprowadzonymi kutrami, gumowymi łodziami, a nawet kajakami. Raczej pojedynczo niż grupowo. I zawsze witani są na wyspie ciepło i z otwartymi ramionami.

W lutym 1957 kutrem Dar-48 uciekają z Darłowa bracia Włodzimierz i Józef Głęb. Po wypłynięciu z portu zamykają załogę kutra w kubryku na dziobie i kierują się na południe wyspy. Po przyplłynięciu do Nexø proszą o azyl polityczny.

W lipcu 1958 o to samo prosi trzech rybaków ze Świ-34, a w lutym 1959 – jeszcze dwóch ze Świ-43.

W lipcu 1961 ze stojącego na kotwicy pasażerskiego statku Mazowsze wyskakuje trzech mężczyzn. Próbuja wpław dotrzeć do wyspy. Uda się to tylko jednemu, dwóch pozostałych tonie w Bałtyku.

W 1962 roku niezwykłego wyczynu dokonuje Jerzy Szymczak – dopływa na Bornholm kajakiem.

Na wyspie uciekinierzy są witani jak bohaterowie, bo Bornholmczycy wiedzą, że każda nieudana próba może zakończyć się wieloletnim więzieniem, a być może nawet śmiercią.

Wyczyn kapitana Sezka Ciborowskiego (jak go tutaj nazywają media) budzi w Danii ogromny podziw. Nikomu dotąd próba wyprowadzenia zza żelaznej kurtyny tak dużej rodziny się nie udała. O ucieczce Ciborowskiego pisze nawet w swojej kilkusetstronicowej książce „Flygtninge og indvandrerne. 1850–1980” („Uchodźcy i emigranci. 1850–1980”) Henrik Lund. Zamieszcza zdjęcie rodziny stojącej na tle drewnianych skrzynek i pisze z podziwem: „W kryjówce tej zrobionej pośród rybackich skrzynek siedmioro Polaków spędziło mroźną noc. Dziesięć godzin płynęli do Rønne, a po przyplłynięciu poprosili o azyl polityczny”.

## W kryjówce

Ma piętnaście lat, gdy spod Warszawy przyjeżdża po wojnie z ojcem do Wolina. Małego pomieckiego miasteczka na wyspie Wolin.

Zaczyna jako rybak na łodzi, potem jest szyprem na kutrze i kapitanem promu pływającego po Odrze. W 1966 roku o Leszku Ciborowskim robi się głośno. Zostaje jednym z trzech w Świnoujściu przywaciarzy rybackich. Kupuje na kredyt ściągnięty z Anglii zdezelowany kuter rybacki. Od tej pory łowi ryby na własny rachunek, spłacając spółdzielni zaciągnięty kredyt w naturze – złowionymi rybami.

Wychodzi na prostą. Wtedy pojawiają się kłopoty. Spółdzielnia Certa, monopolista na rynku, nie chce skupować ryby od Ciborowskiego, a innych możliwości sprzedaży nie ma. Grozi mu bankructwo, tak jak dwóm pozostałym przywaciarzom, których w podobny sposób wykończono.

– Nie dam się zniszczyć – zapowiada rodzinie.

W listopadzie 1968 roku po raz pierwszy mówi rodzinie, że planuje ucieczkę na Zachód. (Wiedzą o tym tylko najstarsze dzieci – Zdzisław i Barbara). Kryjówkę w skrzynkach ustawionych na lewej burcie przygotowuje ze Zdzisławem w czasie rejsu po Zalewie Szczecińskim.

Wszystko jest przygotowane na 5 grudnia. Tylko że wtedy trwają w porcie manewry Marynarki Wojennej. Akcja przesuwana się więc o jeden dzień.

Ma być tak, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń. W piątek rano Krystyna wysyła dzieci do szkoły i gotuje im obiad. Po południu ubiera je ciepło i wychodzą razem na spacer do portu. Ciborowscy mieszkają przy ulicy Warszawskiej, a basen rybacki jest w Porcie Wojennym. Leszek przygotowuje tam kuter do rejsu i kompletuje załogę.

Krystyna z Bożeną, Andrzejem i Stefanem kryją się za portowym dźwigiem, czekając na sygnał od męża. W sterówce zapala się i gaśnie światło. To znak, że droga jest wolna.

Gdy Krystyna z dziećmi dociera na kuter, w kryjówce pomiędzy skrzynkami są już dwie jej starsze córki – Barbara i Krystyna oraz kolega syna – Jan Kirsch.

Żeby wypłynąć w morze, kuter musi najpierw przejść odprawę Wojsk Ochrony Pogranicza. Sprawdzają, czy na jednostce, ktoś się nie schował. Oficer WOP wchodzi z szyprem na mostek, sprawdza papiery, a żołnierza oprowadza po kutrze Zdzisław. Ładownia, bak, rufa, maszynownia, messa. Prowadzi go jak najdalej od skrzynek na burcie. Spada nawet ze schodów, by odwrócić uwagę żołnierza.

Potem wchodzi do maszynowni i czeka na sygnał, który ojciec przekaże z mostku. Dwa dzwonki telegrafem i odpływają od nabrzeża. Gdy są już na pełnym morzu, Zdzisław obejmuje wachtę przy sterze. Płynie na północny wschód kursem zero siedemnaście stopni.



Od góry:

Mig - 15 uprowadzony przez ppor. Franciszka Jareckiego 5 marca 1953 roku podczas ćwiczeń 28. Pułku Myśliwskiego w Redzikowie pod Słupskiem.

Dwupłatowiec, którym szykanowany w Polsce pilot wojskowy Andrzej Krajewski doleciał na Bornholm razem z rodziną



*Todækker SP- AEP, Almegårdslejren, 13 okt. 1959*

## Spokojni i zrelaksowani

List z prośbą o pomoc wysłałem do bornholmskiego muzeum w Rønne, które bada ucieczki z okresu zimnej wojny. Zapytałem o losy uciekinierów z kutra Świ-31, a Maria Tuniszewska Ringby przesłała mi kopię artykułu sprzed pięćdziesięciu lat, opublikowanego w „Bornholms Tidende”. Reporter Erik Ohlendlager towarzyszył uciekinierom z Polski od soboty 7 grudnia do poniedziałku 9 grudnia i opisał to w reportażu.

Stąd wiadomo, że wpłynęli do Rønne o siódmej rano i że był to słoneczny, ciepły dzień.

Zacumowali naprzeciwko kościoła Świętego Mikołaja ze szpiczastą kopułą. Kuter rzucał się w oczy, bo była to w porcie jedyna jednostka pomalowana na żółto.

Było czysto  
i kolorowo, tylko nie  
mógł zrozumieć,  
co mówią do niego.

**Wszystko ich  
zachwyciło,  
bo wszystko  
było inne niż  
w Polsce.**

Być może dlatego zainteresował się nią policjant, który przyjechał na rowerze. Kapitan wyprowadził na pokład dzieci i powiedział po niemiecku, że uciekł z komunistycznej Polski. Wtedy policjant wezwał przez radiotelefon posiłki. I pod kutrem zaparkowały radiowozy. Gdy o uciekinierach zrobiło się głośno w miasteczku, na nabrzeże przyszli ich zobaczyć z bliska dziennikarze, fotoreporterzy i zwykli ludzie.

Kapitan Ciborowski powiedział, że nie chciał żyć dłużej w komunizmie i że bał się o najstarszego syna (siedemnastoletniego Zdzisława),

który miał trafić do wojska. Ostateczną decyzję podjął w sierpniu po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Opowiada, jak stojąc przy sterze cały czas myślał o żonie i dzieciach marznących w kryjówek na burcie. Chwali ich, że tak dzielnie zniesli te niedogodności.

– Przez ostatnie czternaście dni nie zmrzyłem oka, bo myślałem o tej niebezpiecznej wyprawie – mówi reporterowi Erikowi Ohlendlagerowi. – To była wielka odpowiedzialność. Gdyby nas złapali – ja i moja żona trafilibyśmy do więzienia na wiele lat, a nasze dzieci zostałyby same.

„Siedzą wokół stołu z asystentem kryminalnym Knudtem Rohmannem. Wyglądają teraz na spokojnych i zrelaksowanych” – notuje reporter. „Na policjancie zrobili dobre wrażenie, ale bliższy kontakt jest niemożliwy z powodu bariery językowej”.

W sobotę wieczorem Ohlendlager towarzyszy uciekinierom w pierwszym spacerze po portowym miasteczku. Rønne robi na nich wielkie wrażenie. Dziwią się ogromnej ilości samochodów, oglądają kolorowe wystawy sklepów. „Mówią, że w Świnoujściu też są duże wystawy, tylko nic na nich nie ma” – pisze reporter. „Wszystko dla nich jest nowe. Młodszy zwrócił uwagę na młodzież w ich wieku, że jest bardzo ładnie ubrana. Byli przekonani, że wszyscy młodzi są bardzo bogaci, bo mogą chodzić ubrani, jak tylko chcą”.

W niedzielę – redakcja „Bornholms Tidende” organizuje im wycieczkę wokół wyspy.

W gazecie są zdjęcia z pobytu w ruinach zamku Hammershus i z odwiedzin w mieszkaniu pani Rasmussen – tłumaczki polskiego pochodzenia.

Ohlendlager pisze, że mimo bariery językowej dzieci Ciborowskich i Rasmussen świetnie się dogadują. „Wystarcza im do tego kilka angielskich słów, ręce i bardzo bogata mimika”.

„Bornholm zaprezentował się z najlepszej strony. Polacy nie potrafią jednak ukryć strachu przed tym, jak potraktuje ich duńskie państwo i jaka przyszłość ich spotka” – pisze reporter „Bornholms Tidende”.

Jest jeszcze informacja, że w poniedziałek, 9 grudnia wieczorem weszli na prom pasażerski „Rotna” i odpłynęli do Kopenhagi.

Tu wszystkie tropy się urywają.



## Stefan

Nie mieszka już w Danii. Można go odnaleźć przez wyszukiwarki teleadresowe. Ma sześćdziesiąt jeden lat, trzy dorosłe córki i mieszka z żoną w Chicago, stan Illinois. – To, co tatuś wtedy dla nas zrobił, było wyjątkowe – mówi przez telefon. – Wszyscy go za to podziwialiśmy.

Pamięta, że rano poszedł do szkoły, a gdy po południu chciał obejrzeć w telewizji Klossa, to nie było już telewizora. Podobnie było z radiem, maszyną do szycia, szklankami, sztućcami. Potem się dowiedział, że wszystko było już wyniesione na kuter.

Gdy zrobiło się ciemno, mama ubrała go bardzo ciepło i powiedziała, że popłyną zaraz do babci.

– Skąd miałem wtedy wiedzieć, że ze Świnoujścia do Bielska-Białej kutrem dopłynąć się nie da? – mówi.

Pamięta, że ojciec czekał na nich w messie, otworzył ciężkie drzwi na zewnątrz i pokazał kryjówkę wśród skrzynek. Siedziały tam już jego dwie starsze siostry i jakiś obcy człowiek.

– Nic z tego nie rozumiałem, a nie mogłem zapytać, bo mama kazała być cicho.

Gdy podpłynęli do odprawy, wszyscy wsłuchiwali się kroki żołnierza penetrującego kuter i wpatrywali się w prześwitujące przez szczeliny w skrzynkach wędrujące światło latarki.

Wtedy jasność wpadła do ich kryjówki i zatrzymała się na moment na twarzy matki. Widział jak zamarła, jak stężała i przestała oddychać. Podniosła wolno palec do ust i cichutko zasyczała: „ciiiii”. I światło powędrowało dalej.

Słyszał ojca, jak obiecuje WOP-iście największego dorsza, jak tylko wrócą z łowiska. A potem zaczął klekotać silnik i w szparach od skrzynek powoli niknęły światła latarń Świnoujścia. Płynęli w ciemność, w przenikającym zimnie. Nie można się było bawić, rozmawiać. Czekali na niewiadomo co. I gdy drętwiały z zimna ręce, ojciec otworzył drzwi i zabrał ich do kuchni, na której stał garnek z gorącą zupą.

– Zrobiło się ciepło, jak na plaży latem, i wszyscy zaraz zasnęli. A potem obudziłem się w obcym mieście.

Było czysto i kolorowo, tylko nie mógł zrozumieć, co mówią do niego. Wszystko ich zachwycało, bo wszystko było inne niż w Polsce. Stał pod sklepem z młodszym bratem i

oglądali dziwną maszynę. Gdy się wrzuciło do niej pieniądze, wylatywał z niej banan. I wtedy podszedł do nich starszy pan, wrzucił monetę, wypadł banan. Powiedział do nich coś, co zrozumieli: weźcie sobie chłopcy.

– Wiedziałem, że się dzieje coś bardzo ważnego, ale nie potrafiłem tego zrozumieć.

Pamięta jak schodzi szerokimi schodami z promu w Kopenhadze, trzymając mamę mocno za rękę. Na dole jest gorzej niż na Bornholmie, bo czeka na nich jeszcze więcej dziennikarzy i jeszcze więcej fotografów. Od błysków fleszy bolą go oczy.

– Od razu rzucili mnie do piątej klasy – mówi. – Żadnego tłumacza. Żadnej pomocy. Wszystko po duńsku, a duński w piśmie jest niezwykle skomplikowany. Mordowałem się, ale nic mi nie szło. Nie dawałem sobie z tym rady. Zraziłem się do nauki. Znienawidziłem szkołę.

Miałem pretensję do ojca, że tu jesteście. W wakacje wszystkie dzieci jeździły do dziadków, ciocie, a my nikogo nie mieliśmy. Z Polską był kontakt wtedy, gdy tata złapał polską stację w radiu, albo przyszła pocztówka od kogoś. Tęskniłem. Za Polską, za Świnoujściem, za kolegami. Żyłem nadzieją, że kiedyś wrócę i wszystkich ich spotkam. Przez lata to było moje największe marzenie. Zastanawiałem się, jak wyglądają, co robią.

Do Świnoujścia mogłem przyjechać dopiero na początku lat osiemdziesiątych, gdy miałem już duńskie obywatelstwo. Odnalazłem wszystkich. Mieli rodziny, żony, dzieci. Nie było o czym z nimi rozmawiać. Bardzo tego przyjazdu żałowałem, bo straciłem piękne wspomnienia, ale przestałem tęsknić.

Wyprowadziłem się z domu. Pracowałem w warsztacie samochodowym, fabryce papieru, plastikowych okien. Jeździłem na ciężarówce.

Dziesięć lat mieszkałem w Polsce, dwadzieścia osiem w Danii, a od dwudziestu dwóch w Ameryce. Są tu ludzie z całego świata. Nic mnie tu nie dziwi.

Jestem handymanem. Zaczynałem od burzenia budynków, potem było malowanie wieżowców w Down Town w Chicago. Rzuciłem to, bo się do takich rzeczy nie nadaję. Mnie interesują silniki, motory i samochody. W pracy jeżdżę na ciężarówce, a jak mam wolne, to na harleyu.

Zjechałem całą Amerykę. Byłem już w każdym stanie. Znam wszystkie główne autostrady Ameryki.



## Barbara

Nastolatka w minispódniczce ma dziś sześćdziesiąt sześć lat i jest już na emeryturze. Mieszka w małym domku w lesie w miasteczku Sande koło Frideriks Veak.

Lepiej mówi po duńsku niż po polsku. Ale w żadnym języku nie będzie rozmawiać o ucieczce.

## Bożena

To samo jej najmłodsza siostra.

Ona najlepiej wtopiła się w Danię. Nosi dzisiaj duńskie nazwisko męża. Pracuje w Kopenhadze. Jest oficerem edukacyjnym duńskiej policji. Specjalność – resocjalizacja.

Jeździ po całym kraju odwiedzając zakłady karne. Szkoli w nich strażników więziennych.

W lipcu 1961 ze stojącego przy Bornholmie na kotwicy pasażerskiego statku Mazowsze wyskakuje trzech mężczyzn i próbują dopłynąć do wyspy. Udaje się to tylko jednemu. Pogrzeb dwóch pozostałych odbywa się w Tejn na Bornholmie.

## Zdzisław

Z Kopenhagi przez cieśninę Sund najdłuższym mostem na świecie, w kierunku Goeteborga, na obrzeża szwedzkiej Skanii, blisko miasteczka Båstad, znanego z turniejów tenisowych. Gdzie autostrada zmienia się w szosę, szosa w szutrówkę, a ta w ścieżkę. Pod samym lasem, na wielkiej polanie, skąd widać zatokę Laholsbukten – dom Mariji i Zdzisława Ciborowskich.





W Polsce nazywają ich Szwedami, w Szwecji Duńczykami, a w Danii Polakami. Ona urodziła się w Czechach, on w Polsce. Ona wyjechała po Sierpniu 1968, on po Marcu 1968.

W domu mówią po duńsku.

– Nie mam złych wspomnień, ale do Polski nigdy mnie nie ciągnęło – mówi on.  
– Czuję się tam obco kulturowo, jakbym był w Hiszpanii. Tydzień, dwa – to jeszcze się wysiedzę, ale dłużej – to jest nie do wytrzymania. Mój dom jest tu – w Skandynawii. Mam skandynawską mentalność. Z Polakami czuję się obco.

– My nie jesteśmy ani Polacy, ani Czesi – mówi ona. – Nasza ojczyzna jest tam, gdzie aktualnie mieszkamy. Od północnej granicy Austrii aż po krąg polarny – to nasz dom.

**On:** – Z promu zawieźli wszystkich na posterunek policji. Przesłuchiwani byli tylko ojciec z matką, dzieci czekały na korytarzu. W południe dostali ciepły obiad, po południu trafili do pensjonatu, gdzie uciekinierzy czekali na azyl. Dużo Czechów, Greków, Turków, Jugosłowian, Pakistańczyków. Polaków – mało.

Bo marcowa fala dociera tu we wrześniu 1969 roku. Tylko że oni nie muszą uciekać z narażeniem życia. Ich się do wyjazdu zachęca.

(Dania przyjmuje trzy tysiące polskich Żydów. Zabraknie dla nich miejsca w pensjonatach, więc zostaną umieszczeni w 158-metrowym hotelowcu St. Lawrence, stojącym w kopenhaskim porcie. Kilkaset rodzin zamieszka tam w kabinach 2 metry na 6 w oczekiwaniu na decyzję o ich dalszych losach).

**Ona:** – Byłam najszcześliwszą osobą w Danii, bo co sobie wymyśliłam, to mogłam tu robić. Nikt mnie nie pytał, kim jest mój ojciec i czy należy do partii.

**On:** Mieszkaliśmy wszyscy na kupie. Cała nasza rodzina w jednym hotelowym pokoju. (Rysiek Kulla i Janek Kirsch – w osobnych.) Wszystko dostarczał nam Czerwony Krzyż. Na zakupy brali nas do Dhals Vaerehus, wielkiego kopenhaskiego domu towarowego. Ubierali od stóp do głów. Karmili i dawali kieszonkowe na papierosy. Od razu żyło się tu jak w bajce. Pełne sklepy, niczego nie brakuje, nie kradną, nie oszukują, nie poniżają. Traktują wszystkich po ludzku. Nawet z policjantem można na ulicy pogadać. Człowiek się szybko do normalności przyzwyczaja.

**Ona:** Dostałam pozwolenie na pracę, mapę Kopenhagi, budzik, słownik duńsko-rosyjski. Resztę trzeba było sobie samemu załatwić.

**On:** Zaczynałem jako frezer i tokarz w fabryce. Brałem każdą pracę, żeby się zakotwiczyć, uczyć języka i samemu układać życie. Poznałem Mariję, usamodzielniałem się i wyprowadziłem od rodziców. W 1970 roku wyjechałem do pracy do Kanady. Bardzo mi się tam podobało, ale wróciłem do Danii, bo Marija na mnie czekała.

**Ona:** W 1971 rzuciliśmy monetą. Wypada reszka. Bierzemy ślub.

**On:** Służbę wojskową odbyłem w lotnictwie. Namawiali, żebyśmy zostali na zawodowego. Nie chciałem. Pracowałem jako taksówkarz i kie-



rowca ciężarówki. Prowadziliśmy duże gospodarstwo, hodowaliśmy świnię. Potem kupiliśmy ten dom w Szwecji. (Szwecja to Kanada Europy). W stodole mam sportowy samolot, przed domem łękę-lotnisko. Po co miałbym wracać do Polski?

## Andrzej

O Andrzeju Zdzisław mówi, że zapłacił najwyższą cenę. Miał dziewięć lat, gdy zamieszkał w Danii. Nie zaakceptował zmiany. Nie dał się wchłoniąć. Gdy miał trzynaście lat, pierwszy raz uciekł z domu. Potem było już gorzej. Nie skończył szkoły, nie ma zawodu. Bez stałej pracy. Kiedyś mieszkał w Hillerød na północy Danii, a teraz nie wiadomo gdzie, bo zerwał kontakty z rodziną. Nie przyjechał nawet na pogrzeb matki w 2006 roku.

## Krystyna

Mieszkała w Kopenhadze, pracowała w biurze. Zmarła w 1999 roku. Dwa tygodnie przed ojcem. Pochowana w Kopenhadze, ale Zdzisław przeniósł urnę z jej prochami do Båstad.

## Ryszard

Jest najbliższym przyjacielem Zdzisława. Mieszka za rogiem. Znają się od dzieciństwa. W 1968 roku pracował w odlewni koło cmentarza.

Kiedy okazało się, że Ciborowscy będą potrzebowali pomocy, Zdzisław przyszedł właśnie do niego. (Ryśkowi ufałem bez granic – mówi dziś Zdzisław).

Tylko że Rysiek prosił, by zabrać też jego o sześć lat starszego brata – Jana Kirscha. (Jan był magazynierem w rybackim przedsiębiorstwie Odra). Obaj są synami osiadłej w Świnoujściu Niemki. Obaj wychowywali się bez ojców. (Ojciec Jana zginął na froncie wschodnim).

– Rysiek miał marzenia, ale nie potrafił im sprostać – mówi dziś o nim Zdzisław.

Po dotarciu do Danii każdy poszedł w swoją stronę.

Rysiek pracował w fabryce okien plastikowych. Poznał dziewczynę z Poznania – Longinę. (Mówi o niej Gina). Ślub w roku 1972, rozwód pod koniec lat siedemdziesiątych.

W 1973 roku urodziła się ich jedyna córka. Olivia mieszka w Toronto, jest trenerem jogi. „Ojciec tęsknił za Polską. Każdą wolną chwilę spędzał w Polsce. Później przestał, bo miał zakaz. Nie wiem, dlaczego, bo byłem dzieckiem” – odpisuje na komunikatorze.

„Nigdy nie pełnił w moim życiu roli rodzica, ale zawsze wiedziałam, że mnie kocha i jest bardzo dumny ze mnie – pisze Olivia. – Przyjeżdżał po mnie pociągiem, co drugi weekend. Nie miał pieniędzy, więc wszędzie chodziliśmy pie-

– Nie jestem złodziejem  
– mówił dziennikarzom  
po przyplłynięciu  
na Bornholm. –

**Cała rodzina jest  
nastawiona, by  
ciężko na kutrze  
pracować, żeby  
spłacić cały nasz  
dług.**

szu. Dzięki niemu poznawałam każdy zakamarek Kopenhagi. Podczas tych spacerów słuchał moich dzieciennych opowieści.

Kochał naturę i bardzo był dobry dla zwierząt. Gdy znalazł ptaka ze złamanym skrzydłem, brał go do domu i się nim opiekował”.

„Pił?”.

„Był alkoholikiem, ale dla mnie zawsze bardzo uprzejmy. Zachowywał się w najlepszy sposób. Czułam jego miłość, choć fizycznie go przy mnie nie było. Wiem, że mnie kochał i byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że o tym mówię.

W Danii żył z zasiłków. Nie wiodło mu się najlepiej. Wyjechał więc do Ameryki. Przez pięć

lat pracował na czarno w Nowym Jorku. Tam poznał drugą żonę. Rozwiódł się z nią, gdy wrócili do Danii.

W 1994 roku miał wylew. Przestał pić. Na rok. Przewrócił się na ulicy w Kopenhadze, uderzył głowę o chodnik, stracił przytomność. Zamiast pójść do szpitala, poszedł do domu. Wiedział, że może umrzeć, ale nie chciał lekarza. Tak mi opowiadał jego kumpel od wódki. Umarł we własnym domu”.

## Jan

Zmienił imię. Nazywa się teraz Hans. Ma 74 lata, mieszka USA. Hrabstwo Washington, stan Maine.

Po upadku komunizmu wrócił do Polski. Mieszkał w Świnoujściu. Chciał robić biznesy, ale nic z tego nie wyszło. Wytrzymał dwa lata. Wrócił zniechęcony – Wyleczyłem się z Polski – mówił.

Potem ogłosił, że wyjeżdża do Stanów. – Jak najdalej od ludzi – powiedział Stefanowi, gdy jeszcze odpowiadał na jego telefony. Zaszył się w Maine, które jest światową stolicą czarnych jagód i tak dzikie jak polskie Bieszczady.

Mieszka na odludziu. Fotografuje koty i psy.

Pływa łódką na ryby. Dokarmia dzikie ptaki.

Sylwestra spędził we własnym domu z żoną – Grażyną. Ona – w czarnej sukience z gołymi plecami, on w smokingu z czerwoną muchą. Tyle można zobaczyć na zdjęciach na jego profilu facebookowym.

8 kwietnia 2017 zamieścił zdjęcie z podpisem, który przypomina credo życiowe:

Nie żyj dla swojego kraju.

Żyj dla siebie i swojej miłości.

Wróć do swojego domu.

Pocałuj tego, kogo kochasz.

Odpocznij.

Bądź zawsze szczęśliwy.

Czy zastanawiał się Pan, kim byłby, gdyby nie wsiadł na kuter w 1968? – zapytałem na Messengerze.

Nie odpowiedział.

– On jest ostatnio na cały świat obrażony, na moje listy też nie odpowiada – mówi Stefan.

## Leszek i Krystyna

– Nie jestem złodziejem – mówił dziennikarzom po przybynięciu na Bornholm. – Cała rodzina jest nastawiona, by ciężko na kutrze pracować, żeby

spłacić cały nasz dług.

Od początku miał plan, że będzie dalej rybakiem. Chciał zatrzymać kuter, sprzedawać ryby Duńczykom i spłacić cały kredyt w Polsce.

Tylko że spółdzielnia Certa nie chciała się na to zgodzić. Domagali się spłaty całego zadłużenia na raz, i to kwoty znacznie wyższej niż im się należała. Świ-31 długo stał bezpańsko w porcie w Rønne, aż w końcu został przeholowany do Świnoujścia. Tam rozkradziony, zdewastowany i zlikwidowany. W latach siedemdziesiątych zgnił odstawiony w krzaki w kanale koło przeprawy w Karsiborzu.

Leszek zaczął pracować w fabryce Raihold jako tokarz. Mieszkał z żoną Krystyną w bloku przy ulicy Studsgaardsgade na północy Kopenhagi. Źle się aklimatyzował, tęsknił za Polską. Jeszcze w latach siedemdziesiątych podejmował próby przyjazdu do kraju. W polskim konsulacie w Kopenhadze postawili sprawę jasno: dadzą wizę, jeśli zrzeknie się polskiego obywatelstwa. Że to wielki błąd, okazało się pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy po przejściu na rentę chciał osiedlić się w Polsce na stałe. Więc musiał się starać o pozwolenia jak każdy obcokrajowiec.

„Mieszkam w Danii od 1968 roku, ale tutaj czuję się obcy. Uważa się nas za drugorzędnych obywateli, prawie wszędzie można odczuć, że się jest niepożądanym. Nie byłem żadnym politycznym uchodźcą, czuję się Polakiem i chciałbym ponownie zamieszkać w kraju” – napisał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (kwestionariusz dla cudzoziemców składających podanie o pozwolenie na pobyt stały w PRL).

Odmówili. To kara za ucieczkę z PRL i za to, że wystąpił o azyl polityczny. Odwołał się.

„Po dwudziestu latach mieszkania wśród obcych odpokutowałem za wszystko, bo wcale nie należy do przyjemności mieszkać między obcymi, którzy uważają siebie za lepszych” – pisał. Wniosek poparł wydział konsularny ambasady PRL w Kopenhadze. „W środowisku duńskiej Polonii cieszy się dobrą opinią. (Nie zajmuje się działalnością polityczną).” – napisali.

Osiedlił się już po upadku komunizmu. Kupił dom na wyspie Wolin i sprowadził żonę – Krystynę. Polską, podobnie jak Danią, jest rozzarowany.

– On chciał wrócić do Polski, ale roku 1968, a tego zrobić się nie dało – mówi Zdzisław. – W Danii czuł się izolowany, bo uważał się za Polaka, a w

Polsce to jego izolowali, bo brali go za Duńczyka.

Do śmierci mieszkał w Wolinie. Umarł na raka w kwietniu 1999 roku.

Jego żona Krystyna żyła o siedem lat dłużej. Umarła na zawał. Miała 74 lata.

– Popeliłem największą głupotę w życiu, że z wami wtedy nie zostałem – powiedział na pożegnanie.

Zmarł w 2006 roku.

\*\*\*

## Jerzy

Trzydziestosześcioletni Jerzy Sztorc pełnił na kutrze obowiązki kucharza. Nie ma go na żadnym zdjęciu z Bornholmu. O ucieczce nic nie wiedział, ale coś przeczuwał. Podczas rejsu kilka razy przechodził do sterówki, pytał szypra, dlaczego jest tak nerwowo?

O wszystkim dowiedział się dopiero na pełnym morzu, koło Bornholmu, gdy z kryjówki w skrzynkach wyszli żona i dzieci Ciborowskiego. – My nie będziemy wracać – powiedział wtedy szyper. – Albo płyniesz spokojnie z nami, albo zamykamy cię w kubryku. A jak będą problemy... – i poklepał się po pasku, za który wetknięty był pistolet do wystrzelowania ratowniczych rakiet.

Problemów nie było.

„Nie mógł nic zrobić. Musiał się pogodzić z tym, że uciekinierzy mieli przewagę” – pisał o nim Erik Ohlendlager.

Gdy Ciborowscy świętowali w Rønne swój pierwszy dzień wolności, on siedział na zacumowanym w porcie pustym kutrze. Zawieźli go potem na komisariat przy Sankt Mortens Gade. Policjantom powiedział, że chce wrócić do domu, do żony i dzieci. Prosił, by poinformowali polską ambasadę, żeby pomogli mu w powrocie.

Był zdziwiony, że go nie aresztowali, puścili wolno. Dostał pokój w tym samym hotelu, gdzie zakwaterowano resztę Polaków. W poniedziałek wieczorem wyruszył do Kopenhagi tym samym promem co oni. Im Duńczycy wykupili kabiny pasażerskie, więc noc spędzili w kojach, jemu polska ambasada dostarczyła najtańszy bilet promowy, więc spędził noc na twardym fotelu.

Trzydzieści lat później, w latach dziewięćdziesiątych, spotkał go na ulicy w Wolinie Leszek Ciborowski. Skarżył się kapitanowi na los. Mówił, że mu się nie wiodło. Po powrocie żona miała do niego największe pretensję, że wrócił, zamiast zostać na Zachodzie i sprowadzić tam całą rodzinę. Zanim go zostawiła, próbował ten błąd naprawić w Anglii. Chciał zwać z kutra, ale załoga go powstrzymała. Wrócił do kraju i trafił za kratki.

O czwartej rano ruszamy z Båstad do Ystad, stamtąd o 8.30 promem do Rønne. Półtorej godziny później przez panoramiczne okna pokładu pasażerskiego widać białe ściany i szarą kopułę kościoła Świętego Mikołaja.

Miasteczko leży na niewielkim wzniesieniu. Wystarczy się tam wdrapać, by na port patrzeć z góry.

– Stamtąd przy płynęliśmy, tam zacumowaliśmy, tu przyjechał ten policjant rowerem – tłumaczy Zdzisław Ciborowski, który wrócił tu pierwszy raz po pięćdziesięciu latach.

Kręcimy się po uliczkach pełnych szachulcowych kamienic, domów kupców i rybaków.

Szukamy śladów sprzed pół wieku. Hotelu „Dana” – w którym zakwaterowano uciekinierów – dawno już nie ma i nikt nie potrafi wskazać, gdzie był.

Nikt nie słyszał o pochodzącej z Polski i mieszkającej w Knudsker pani Rasmussen ani o opiekującym się uciekinierami policjancie Rohmannie.

W redakcji „Bornholms Tidende” przy Norregade nic nie wiedzą o reporterze Eriku Ohlendlagerze i nie znają historii ucieczki Ciborowskich. Mają ważniejsze sprawy, muszą złożyć nowy numer.

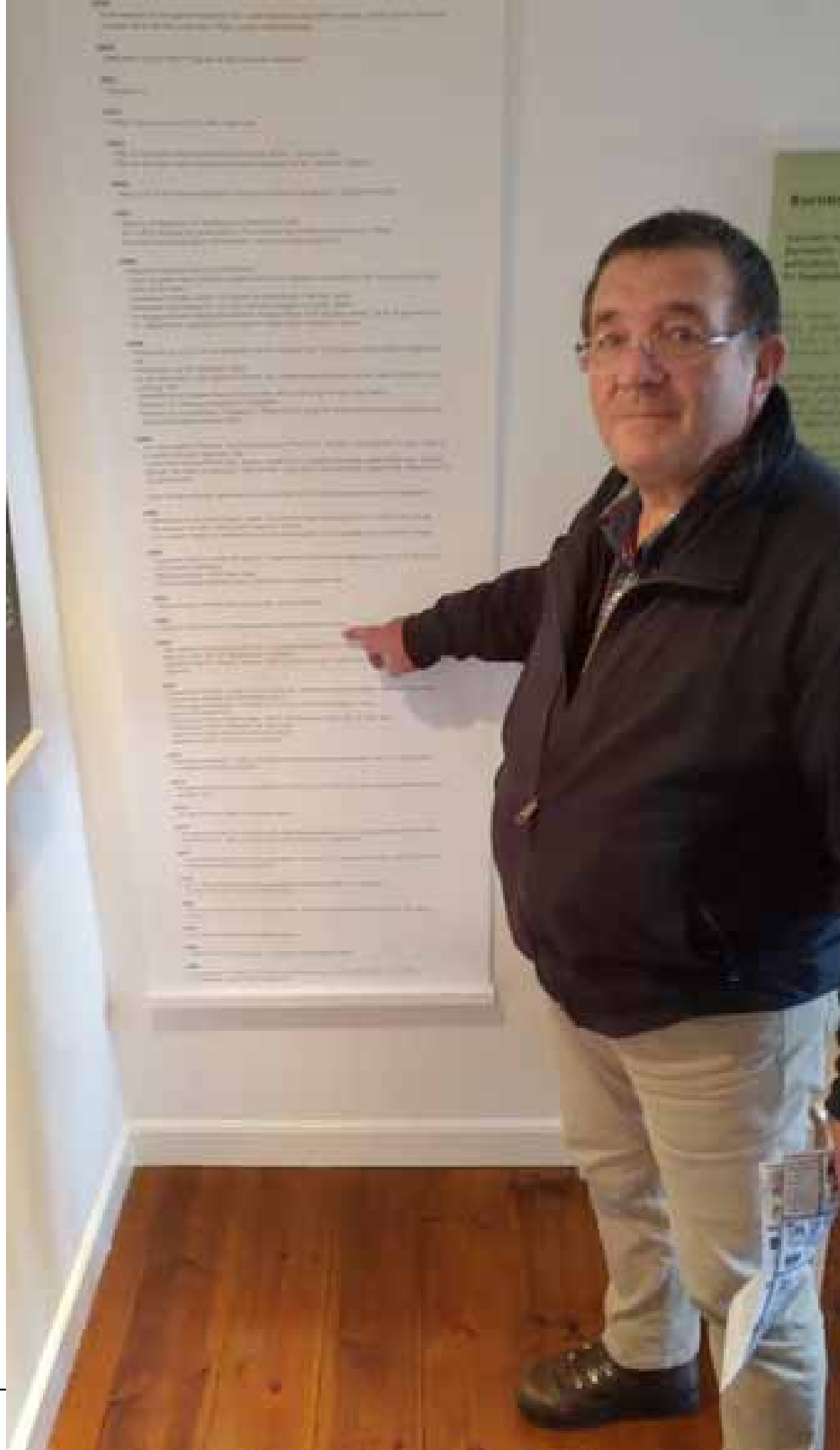
Przy Sankt Mortens Gade nie ma już komisariatu, w którym odbywały się przesłuchania, jest natomiast muzeum miejskie. Można zobaczyć tu model promu „Rotna” (w skali 1:100), którym odpłynęli do Kopenhagi, i przeczytać w sali poświęconej ucieczkom, że Bornholm był wyspą wolności, którą znalazło 120 uciekinierów.

O tej najważniejszej dla nich, która zmieniła ich życie, jest tylko jednozdaniowa wzmianka i ogólna informacja o losach wszystkich uciekinierów.

„Niektórzy z nich stali się chwilowymi gwiazdami, zintegrowali się w nowych krajach, zdobywali wykształcenie i założyli rodziny. Innym nie udało się odnaleźć tej ziemi obiecanej i lepszego życia.”



Zdzisław  
Ciborowski  
w w muzeum  
Bornholmu  
przy tablicy  
z nazwiskami  
uciekierów  
na Bornholm.



---

Hubert  
Kęska

---



Wychodzą na ring przy dźwiękach głośniejszej muzyki, w towarzystwie atrakcyjnych dziewczyn i ostro bijących w oczy świateł. Widzimy w nich szczęściarzy, **którzy z dziecięcej pasji uczynili pracę, rościmy sobie prawo do krytykowania ich umiejętności.** Obserwując bogactwo Floyda Mayweathera Juniora, słysząc o działalności charytatywnej Dariusza Michalczewskiego czy problemach z kokainą Oscara De La Hoi nie zdajemy sobie sprawy, jak w rzeczywistości wygląda życie większości zawodowych pięściarzy. By nie napisać: dużej części współczesnych sportowców.

# Druga twarz BOKSU





ychożą na ring przy dźwiękach głośnej muzyki, w towarzystwie atrakcyjnych dziewczyn i ostro bijących w oczy świateł. Widzimy w nich szczęściarzy, którzy z dziecięcej pasji uczynili pracę, rościmy sobie prawo do krytykowania ich umiejętności. Obserwując bogactwo Floyda Mayweathera Juniora, słysząc o działalności charytatywnej Dariusza Michalczewskiego czy problemach z kokainą Oscara De La Hoi nie zdajemy sobie sprawy, jak w rzeczywistości wygląda życie większości zawodowych pięściarzy. By nie napisać: dużej

części współczesnych sportowców.

Zerkając na historię sportu widzimy, że tylko lekkoatletyka przyniosła Polsce więcej sukcesów niż boks. Zygmunt Chychła, Kazimierz Paździor, Józef Grudzień, Marian Kasprzyk, Jan Szczepański, Jerzy Rybicki i oczywiście Jerzy Kulej – wszyscy oni sięgali po olimpijskie złoto. Później była era Andrzeja Gołoty, w Niemczech boksował najśłynniejszy „Tygrys” świata, a gdy obaj zgaśli, do gry o najwyższe laury wkroczył Tomasz Adamek. Do tego dodajmy budowane całkowicie w Polsce kariery Krzysztofów – Włodarczyka oraz Głowackiego – i powstaje mocno skrzywiony obraz. Ludzie zapominają, że zanim Głowackiego zaproszono do „Dzień Dobry TVN”, „Rocky z Chrzastkowa” woził sprzęt RTV/AGD, piasek, paliwo na stacje benzynowe czy pieczywo do sklepów. I dopiero później znajdował czas na trening.


– Choć muszę traktować boks również jako zarabianie pieniędzy, to wiem, że żaden pięściarz nie uprawiałby tego sportu, gdyby go nie kochał – powiedział kiedyś jeden z bardziej rozpoznawalnych polskich pięściarzy – Michał Syrowatka. I nie jest to oryginalne podejście. Z naszymi bokserami jest dziś bowiem jak ze studentami kierunków humanistycznych. Nigdy nie brakuje chętnych do nauki, ale co dalej? Cóż, jeżeli być, to być najlepszym. Tylko ile jesteśmy w stanie znieść, by dojść do wymarzonego poziomu?

Zawodnicy sportów walki pracują jako ochroniarze, strażacy, wojskowi, nauczyciele wuefu. Miewają jednak i bardziej wyszukane profesje. Jeden niczym bohater filmu pracuje w rzeźni, drugi ma zakład pogrzebowy, ktoś jest bankierem, malarzem, producentem muzycznym, a mieszkający w Szkocji Marek Laskowski pracuje na złomowisku.

Trzeba sobie jakoś radzić, skoro ofert walk brakuje, a jeżeli są, nie przynoszą zadowalających wpływów. Potencjalni sponsorzy nie mają zaś pojęcia, kim jesteś.

Oczywiście można skupić się wyłącznie na boksie i walczyć co dwa tygodnie za granicą. Wymaga to natomiast określonej opinii i nieliczej wytrzymałości psychicznej. Pięściarz znanej z nieustannej dostępności zawodników Silesia-boxing, Bartłomiej Grafka, najgorzej wspomina Anglię. – Po przyjeździe mną i kumplem zajął się jeden z miejscowych i jestem przekonany, że znaczną część pieniędzy, jakie otrzymał na opiekę nad nami, schował do kieszeni. Rano zjedliśmy

śniadanie. Popołudnie. Jest szesnasta, a my od ósmej nie mieliśmy niczego w ustach. „Kiedy mamy jeść? Kiedy walka?” – dopytywaliśmy, a on nic. Po którejś kolejnej próbie nacisku wziął nas do jakiejś przydrożnej budy na kawę i hamburgera. Zjadamy w najlepsze, aż przychodzi do nas jakiś gość i krzyczy: „Czemu nie masz jeszcze bandaży?! Za pół godziny boksujesz”. Przełknąłem hamburgera i udałem się do szatni. Właściwie to nie była szatnia, tylko jakiś składzik na miotły. Bez szans na rozgrzewkę, brzuch ciężki. Masakra. Ale dobra, wychodzę i idę wprost do ringu. Puścili



Trucie zawodników przyjezdnych to oczywiście nieudowodnione przypadki, ale było ich wiele. **Stąd zawsze, jadąc w oryginalne miejsca, stosujemy znany z filmów trik.** Codziennie zmieniamy knajpy, nie pijemy otwartych napojów, zamieniamy się talerzami. Trzeba bardzo uważać.

mi na wejście „Jingle Bells”, bo akurat był okres świąteczny... Widzowie drą się, wyzywają mnie. Zameczony psychicznie, z ciężkim żołądkiem, już w drugiej rundzie zaliczyłem dechy.

Pięściarz z Katowic zdobył w 2017 roku tytuł zawodowego mistrza Polski. W starciu o pas pokonał Aleksandra Streckiego. Ukraińca, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej, na gali z udziałem Krzysztofa Włodarczyka, boksował przy pustych trybunach. Z biegiem kolejnych walk okazało się, że mało rozpoznawalny zawodnik nie zmieści się po prostu w telewizyjnej rozpisce...

Wyjazd z piekła rodem ma za sobą lwia część utytułowanych pięściarzy. Były dwukrotny mistrz Europy, Rafał Jackiewicz, zaliczył taki odwiedzając Kanadę. Na miejscu występ pięściarza przesunięto o prawie pięć godzin, by po wszystkim zapomnieć odwiedzić go na lotnisko, po czym zapłacić mu z miesięcznym opóźnieniem.

Grzegorz Proksa, zanim zmierzył się o tytuł z Giennadijem Gołowkinem, boksował m.in. w Hiszpanii. – O dziesiątej miałem wychodzić do ringu, o północy byłem już po dwóch godzinach intensywnej tarczy z trenerem i wtedy dowiedziałem się, że mój rywal jest jeszcze w garniturze. Walczyliśmy w arenie walk byków. Szatnię dali mi w ubojni. Krew na ścianie, 500 metrów do dojścia – wspomina.

Droga na szczyt bywa kręta, nawet jeżeli przebrnie się etap anonimowości.

– Przypomina pan sobie Kolumbijczyka, który złamał szczękę Arthurowi Abrahamowi? – zaczyna promotor boks, Andrzej Wasilewski. – Chłopak przyjechał do Niemiec z moim partnerem biznesowym, Leonem Margulesem. Pierwszych dwóch-trzech dni pobytu w ogóle nie pamiętał. Był tak odurzony, że zastanawiano się, czy nie odwołać walki. Zachowywał się bardzo dziwnie, dlatego chwilę przed galą amerykańscy promotorzy postanowili zmienić hotel. No i wtedy wszystko minęło.

– Trucie zawodników przyjezdnych to oczywiście nieudowodnione przypadki, ale było ich wiele. Stąd zawsze, jadąc w oryginalne miejsca, stosujemy znany z filmów trik. Codziennie zmieniamy knajpy, nie pijemy otwartych napojów, zamieniamy się talerzami. Trzeba bardzo uważać.

To tylko jeden z elementów bokserskiej układanki, osobną kwestią są kontrole antydopingowe. Unieważnienie wyniku walki w związku z wrobieniem kogoś w niedozwolone witaminy to patent kojarzony głównie z ringami w Niemczech i w Rosji. Niemniej jednak coś takiego może się zdarzyć wszędzie.

**Po walce  
mogę iść  
z marszu na  
kopalnię,** jak  
najbardziej.  
W końcu, kto  
to później  
odpracuje?

Robert Talarek nie ma  
czasu na odpoczynek.  
Mordercze treningi musi  
łączyć z ciężką pracą  
w kopalni.







foto Wiktor Kęska

– Badania są różnie przeprowadzane – ujawnia Wasilewski. – Jak Krzysio Włodarczyk niespodziewanie znokautował w Sardynii Vincenzo Rossitto, okazało się, że nie ma komisji dopingowej. Ściągnięto ją dopiero o 2 w nocy. Oznacza to, że gdyby wygrał Włoch, badań nie byłoby wcale.

I tu znów bardzo wyraźnie widać szarość sportu. – Szczególnie w walkach nie o tytuły bardzo często zdarza się, że miejscowi zawodnicy są dość mocno skoksowani – nie ma wątpliwości promotor. Nie może zatem dziwić, że będąc na Wschodzie Wasilewski zawsze dokładnie sprawdza legitymacje tamtejszych kontrolerów. Na wyobraźnię działa choćby przypadek Grigorija Drozda. Według ukraińskich mediów był mistrz świata zakończył karierę, ponieważ nie mógł już korzystać ze środków dopingujących. Na niedozwolonych substancjach miał być m.in. podczas walk z zawodnikami Wasilewskiego. Jednemu z nich odebrał pas.

Zdaniem najpotężniejszego polskiego promotora za stosowanie nieczystych metod powinna grozić nawet kara więzienia. Współwłaściciel KnockOut Promotions ma na myśli nie tylko doping. – Nieprawidłowe tejpowanie rąk, utwardzanie bandaży, wycinanie wyściółki w rękawicach – to wszystko są formy omijania regulaminu, które służą temu, żeby z przeciwnikiem wygrać, czyniąc mu po drodze większą krzywdę. A nie zapominajmy, że boks jest sportem bardzo niebezpiecznym.

Wasilewski to człowiek, który zbudował nad Wisłą boks zawodowy i zrewolucjonizował rynek płacąc zawodnikom miesięczne pensje. Przykładowo odsiadujący aktualnie wyrok za kierowanie grupą przestępczą Dawid Kostecki przez 10 lat co miesiąc inkasował 6 tys. złotych. To jednak stanowczo nie jest norma. Wystarczy powołać się tu na przypadek Krzysztofa Zimnoch. Dziennikarze śmiali się, że znokautowali go: pielęgniarz, a wcześniej facet od czyszczenia zbiorników wodnych. Tyle że tak właśnie wygląda boks zza kulis. Większość pięściarzy boksując jedynie dorabia do podstawowej pensji.

– Kiedy pracowałem w Skandynawii, dla Norwegów czymś normalnym było, że ktoś pracuje rano jako policjant, lekarz, a po obiedzie realizuje się przez sport. Realizacja to dobre słowo, bo nie musi kojarzyć się z kwestiami zarobkowymi – podsumowuje wybitny trener, Andrzej Gmi-

truk. – Spójrzmy na Wyspy Brytyjskie, które dziś podawane są za wzór rynku boksterskiego. Tam mistrz olimpijski Luke Campbell występował jako model. W Anglii w ogóle wielu pięściarzy, zanim osiągną wielkie sukcesy, normalnie pracuje. Występują na lokalnych galach, zdobywają kibiców i dopiero zaczynają coś z tego mieć. Może i w Polsce pięściarze powinni myśleć o boksie najpierw jako o pasji?

Przed Wami trzy historie, które ukażą drugą, znacznie prawdziwszą twarz sportu Muhammada Alego. Trzech ludzi, którzy godzą mordercze treningi z ciężką pracą fizyczną. Pokażę Wam wyrywek boksterskiej rzeczywistości, który wyłania mi się po odbyciu kilkudziesięciu rozmów z pięściarzami.

## Robert Talarek

to 34-letni górnik. – Dziwię się dziennikarzom, że przyjeżdżają do mnie taki kawał – zaczyna skromnie. Właśnie wywalczył we Francji tytuł interkontynentalnego mistrza IBO. Na spotkanie ze mną zabrał również dwa inne pasy: międzynarodowego mistrza Polski oraz IBF East/West Europe.

Wywiad przeprowadziliśmy w restauracji „Sztolnia” w Katowicach. Talarek nalegał na wybór tego lokalu. – Słowo „sztolnia” kojarzy się z kopalnią. Chciałbym mieć miejsce, gdzie zawsze przyjmowałbym gości. Pomyślałem: wezmę pasy, zdjęcie, rozłożę się tutaj, może sami wyjdą z inicjatywą współpracy?

Kiedy się spotkaliśmy, pracujący kilometr pod ziemią pięściarz w rankingu polskich zawodników, bez podziału na kategorie wagowe, wyprzedzał Tomasza Adamka, Mariusza Wacha, Artura Szpilkę, a przy tym... nie miał na stałe żadnego sponsora. Choć kilka dni wcześniej jedna z firm zafundowała mu opaski kompresyjne, buty i skarpetki. – Może potrzebuję menedżera? – zastanawia się.

### Co mówią koledzy z kopalni?

„Jak możesz nie mieć sponsorów”, „przecież kopalnia ci powinna zapłacić, pomóc”. Takie typowe przemądrzałe gadki. Ja każdemu, kto tak mówi, proponuję: „załatwisz, 50% dla ciebie”.

### Są zazdrośni?

Zazdrość jest wszędzie, ale oni są raczej dumni. Mnie napędza świadomość, że jestem

motywacją dla innych. Ludzie są dla ludzi, tak zostaliśmy stworzeni.

### Długo odpoczywasz po walkach?

Mogę iść z marszu na kopalnię, jak najbardziej. W końcu, kto to później odpracuje?

### Wiem, że tak zachowałeś się po boju w Katowicach. W niedzielę wieczorem znokoutowałeś Ericlesa Torresa Marina, w poniedziałek zameldowałeś się w kopalni.

To nie była ciężka walka, rywal kilka razy leżał. Trudniej było we Francji, dlatego po wywalczeniu pasa IBO wziąłem sobie jeden dzień wolnego. Przed walką natomiast pięć dni. Do tego kilka przygotowując się do pojedynku z Norbertem Dąbrowskim na Polsat Boxing Night. W sumie 10 dni urlopu w 2017.

### Jak pracuje się pod ziemią, to pewnie ciężko o urlop...

Kręcą nosem. Tylko: „węgiel, węgiel, węgiel”; „mało, mało, mało”. (śmiech) Nie ma też co przesadzać, bo my każde chorobowe z tych 25 lat potem do emerytury musimy odpracować.

### Triumf nad solidnym Dąbrowskim to było dla ciebie być albo nie być. Nie oszczędzałeś na przygotowaniach.

To prawda. Chcąc opłacić dodatkowych trenerów – a współpracowałem choćby ze specjalistą z AWF-u – zapożyczyłem się w banku. Po zdobyciu pasa IBF w Niemczech przez pół roku nie miałem żadnej walki. Tyle miesięcy przerwy w zarobkach z boksu zrobiło swoje. Kasy zaczęło brakować, tymczasem utrzymanie formy sporo kosztuje.

100 złotych – dokładnie tyle kosztuje każdorazowo terapia aparatem INDIBA. To nowoczesna metoda regeneracji komórek, polegająca na przepuszczaniu przez ciało prądu o wysokiej częstotliwości. Pod koniec 2017 roku widowiskowo walczący Talarek został zaproszony na pojedynką wizytę. Normalnie nie stać go na tak drogie eksperymenty. Przewagę nad rywalami buduje korzystając z bardziej tradycyjnych metod.

## **Kriokomorę np. zastępujesz morsowaniem.**

Dzisiaj nawet byłem. Dobry sposób na rozpoczęcie dnia. Ale żeby uzyskać wymierne efekty, trzeba morsować systematycznie. Teraz żona wyjechała w delegację do Budapesztu, więc całkowicie angażuję się w boks. Do lodowatej wody mam zamiar wchodzić co tydzień.

## **Co jeszcze robisz?**

Właśnie zaczynam treningi crossfitowe. To dobre dla wytrzymałości i siły ciosu.

## **Często wygrywasz siłą.**

W boksie siła jest jednym z najważniejszych elementów. Zauważyłem u Floyda Mayweathera, że poza szybkością reakcji, fajnym czytaniem walki, ma niesamowitą siłę ciosu. Te jego ciosy mają naprawdę moc.

## **Podpatrujesz któregoś z pozostałych wielkich mistrzów?**

Łomaczenko, Kliczko – wszyscy najlepsi atakują basen. I to twardo. Basen to podstawa. Ja wstrzymując oddech pod wodą myślę o pojemności płuc. Przyjeżdżam z treningu na trening. Basen, sauna, jakieś cardio. Sporo czytam i wiem, że kumulacja poszczególnych elementów doprowadza do sukcesu. To długotrwały proces, to nie stanie się jutro.

Pięściarz ze Śląska naprawdę zwraca uwagę na detale. Zaraz po wywiadzie odwiedził ekobazar.

## **Praca w ciężkich warunkach nie degraduje twojej kondycji?**

Pracuję w masce, która chroni przed pylicą. Według mnie praca w masce dobrze wpływa na wydolność. Rozrzedzone powietrze, inne ciśnienie, jeszcze mniej tlenu. Mięśnie płuc, tchawicy zmuszane są do wytężonej pracy. Ćwiczysz je.

## **Co mówią na ten temat lekarze?**

Zdania są podzielone. Wielu speców od przygotowania fizycznego doradza stosowanie przez sportowców maski imitującej warunki wysoko-górskie. Dla innych działanie tych masek to bujda.

## **Jak wygląda twoja praca?**

Jestem elektromonterem. Zajmuję się naprawą i konserwacją maszynowych urządzeń służą-

cych do wydobycia węgla. Na bieżąco je transportuję, często muszę robić to ręcznie.

## **Bywa niebezpiecznie?**

Mieliśmy kilka pożarów – pod ziemią i na powierzchni. Kiedyś spadła mi na stopę metalowa rolka. W realiach kopalni to jednak nic poważniejszego. Raz miałem natomiast masę szczęścia, bo poleciał valent, który podtrzymuje strop i czasami waży nawet 120 kilo. Chwila nieuwagi i mogło mnie połamać zdrowo. Spadł pół metra obok.

\*\*\*

Przeglądamy pozaringowe zajęcia polskich pięściarzy. Jednym z najbardziej niebezpiecznych para się Krzysztof Kosela. On o urlop nikogo prosić nie musi, sam jest dla siebie pracodawcą. Pod Radomiem prowadzi wielopokoleniowe gospodarstwo rolne, gdzie mierzy się ze znacznie cięższymi i agresywniejszymi przeciwnikami niż rywale w boksie. Hoduje byki. W pojedynku z taką masą trzeba liczyć się co najmniej ze złamaniem kończyny.

Mimo nieskazitelnego bilansu walk, Kosela nie ma zamiaru wyprowadzać się ze wsi. W końcu, z zarobków z boksu nie byłoby go pewnie stać nawet na kupno maszyn rolniczych.

Talarek pracuje w górnictwie od 5 lat. Wcześniej był monterem konstrukcji stalowych, wykańczał wnętrza, zbierał owoce w Niemczech, pracował w magazynie, na rusztowaniach i taśmie produkcyjnej w fabryce ciastek.

\*\*\*

## **Jak wygląda twój dzień?**

Pracę zaczynam o 6. Długo robiłem na wieczornej zmianie, ale zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie mam kontaktu ze słońcem. A przecież witamina D wpływa na wytrzymałość kości. Moje były osłabione, co odznaczyło się kontuzją podczas walki z Kelemenem. Powinienem ją wygrać, niestety, w trzeciej rundzie poszła mi kość śródrečna.

## **O której codziennie wracasz do domu?**

O 23, najwcześniej. W nocy tak naprawdę. Po pracy i treningach.

## **Jak wygląda twój trening?**

Opiera się na morderczych powtórzeniach. Na przykład zongluję sześciokilowymi piłkami



lekarskimi, do momentu, aż ręce będą mnie tak boleć, że piłki spadną. Jestem w stanie podrzucić je 200 razy. To dobry trening koncentracji w czasie maksymalnego zmęczenia.

**Mózg nas oszukuje – sygnalizuje skrajne zmęczenie, gdy nawet nie dobiliśmy do 90% możliwości.**

To prawda. Wiem, że możemy dać z siebie więcej i szukam do współpracy ludzi, którzy nie będą mnie oszczędzać. Gdy biegam, to przyspieszam na ostatnich metrach, wyobrażając sobie końcówkę walki. Podczas skakanki wizualizuję sobie, że przegrywam z kretelem, mam podbite oczy, rozcięte łuki brwiowe i szczególnie teraz nie mogę się pomylić. I – pomimo strasznego bólu – skuchy nie ma. U chłopaków, których uczę boks, bo otworzyłem szkołę, także – byłem z nich dumny.

**Jesteś jedynym znanym mi pięściarzem, który nie odbywa sparingów. Po takim maratonie nie masz po prostu na nie siły?**

Na to, że nie sparuję, wpływ ma wiele czynników. Oczywiście, nie za bardzo mam siły po pracy, po ciężkich treningach, ale poza tym – oszczędzam głowę, żeby nie nabawić się urazu mózgu. Czytałem o urazach, które powoduje boks. Gdy toczy się sparingi, twarz jest wprawdzie mniej podatna na opuchliznę, ale często traci się przez to odporność na ciosy. Szukam metod, które zastąpią mi sparingi, i skutecznie je znajduję.

**Nie brakuje pięściarzy, którzy jeżdżąc na sparingi swoje zarabiają. Weźmy Mariusza Wacha, który nie jest wybitnie utytułowanym pięściarzem, ale z powodu swoich gabarytów sparował w swojej karierze z całą plejadą gwiazd. Mistrzami olimpijskimi i mistrzami świata.**

No widzisz, to mi tu pieniądz odpada, bo cały czas oszczędzam się w tej sprawie. Zarabiam praktycznie tylko na większych walkach.

Talarek zrezygnował ze sparingów po przeczytaniu kilku artykułów. Między innymi mojej rozmowy z dr neurologii Aleksandrą Karbowniczek. Pani doktor stwierdziła jednoznacznie,

że mózg pięściarza szybciej się degeneruje. Nic dziwnego, skoro po otrzymaniu czystego uderzenia dosłownie obija się o ściany czaszki.

Osobną kwestią jest problem tzw. journeymanów – pięściarzy na telefon, którzy boksuje czysto zarobkowo i są gotowi przyjąć każde wyzwanie. O ile nie skończą pojedynku z młodym, utalentowanym pięściarzem z zagranicy na noszach, po przyjacielsku wpisuje się im w rekord TKO zamiast KO.

Po nokaucie pauzuje się minimum sześć tygodni. Jego techniczny odpowiednik to niekiedy zaledwie 14 dni odpoczynku i brak obowiązku przeprowadzenia ponownych badań. W ten sposób journeyman może być obity w rok nawet dwadzieścia razy i nikt nie sprawdza dokładnie stanu jego zdrowia. Talarek długo kimś takim był. Jeden z najlepszych polskich pięściarzy kategorii średniej wygrał 12 z ostatnich 14 pojedynków, większość przed czasem. Przed tą imponującą serią legitymował się jednak przeciętnym bilansem 10-11-2.

**Twoje zarobki w boksie rosną proporcjonalnie do wzrostu poziomu sportowego?**

Niespecjalnie. Zarabiam może dwa razy tyle, szalu nie ma. Kopalnia to mój jedyny stały dochód. Ta praca zapewnia mi stateczność.

**Więcej zarobisz na dużej gali w Polsce czy za granicą?**

To samo.

**30 tys. złotych?**

Blżej dychy. To nie są kokosy.

Prawda. Talarek mógłby zgarnąć więcej w punktach bukmacherskich. W przynajmniej większości walk nie jest bowiem faworytem.

Myślałem o stawianiu na siebie. Dajmy na to, pojedynek z Kingiem Davidsonem. Bilans rywala 18-1, współczynnik 9:1, a ja wiedziałem, że wygram. Nie obstawiłem, bo hazard nie leży w mojej naturze. Ja muszę czysto zarobić, natrudzić się, żeby mieć z tego satysfakcję.

Poza Davidsonem ambitny górnik ma na rozkładzie choćby Goekalpa Oezeklera (21-1-1), Josemira Poulino (8-1), Guzmana Castillo (12-5) oraz Franka Haroche (41-16-5). W dodatku, jak wspominaliśmy, na Węgrzech Talarek przegrał nie z Balazsem Kelemenem (22-1), lecz z kontu-

zją, a w walkach z Johnem Ryderem (22-2), Sakarim Lahderinne (dzisiaj 8-0) i Mischą Niggem (9-1) w sukurs gospodarzom przyszli sędziowie.

### **Największy walek?**

Chyba Szwajcaria. Ostatnia runda, przynajmniej 30 sekund do końca. Mam gościa na widelcu, chwieje się, wystarczy go dobić. I nagle gong! Promotorka podleciała do stolika sędziowskiego i normalnie uderzyła w dzwonek...

Kolegę z grupy bokserskiej Talarka, Bartłomieja Grafkę, wezwano kiedyś ponownie na odczytanie werdyktu. Organizatorzy twierdzili, że nastąpił błąd, ponieważ... to nie on miał wygrać. Grafka na ring nie wrócił, co poskutkowało brakiem oficjalnej publikacji rezultatu pojedynku.

Rekord Bartka to sześć dni przerwy między walkami. Taką drogę jak on przebywało wielu utytułowanych zawodników. Np. dwukrotny mistrz Europy Rafał Jackiewicz.

Talarek z roku na rok bije się coraz rzadziej. W 2014 pięściarz zaliczył 11 starć, w 2016 - 7, a w ostatnich latach występował tylko po trzy razy.

### **Jurneymanem być nie chcesz? Boksując dzień raz w roku dasz radę utrzymać się jedynie ze sportu.**

To nie jest mi potrzebne do szczęścia. Może jeszcze w 2015 brałem bardzo często te oferty, teraz mam cel i taką drogą nie mógłbym tego celu osiągnąć.

### **Krzysztof Włodarczyk, gdy po raz pierwszy założył rękawice, już chciał być mistrzem świata.**

Ja tak nie miałem. Zacząłem w wieku 15 lat, bez żadnego celu. Ja to po prostu lubiłem. A potem dalej boksowałem, bo przecież to robiłem od dziecka, no i była możliwość dorobienia paru groszy. Tak do tego podchodziłem. Statystycznie długoterminowy cel ma zaledwie 3,5% ludzi.

### **Z czasem wspiąłeś się bardzo wysoko w rankingach. Jeszcze kilka niespodziewanych zwycięstw, a nabędziesz prawa pretendenta do mistrzostwa świata!**

To czysto sportowo wypracowana rzecz, typowo rzemieślniczo. Wygrywam i ciułam te punkty w rankingu, ale nie wiadomo dlaczego nie raz mi je zabierają.

Sekret gwałtownych zmian w bokserskich rankingach na łamach portalu Interia wyjaśnił wschodzący promotor Mateusz Borek. – Miałem okazję być na zjeździe federacji WBC w Chengdu w Chinach, przy okazji walki Andrzeja Gołoty z Rayem Austinem. Tam zobaczyłem, jak to wszystko się odbywa. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że można przesunąć zawodników o 20-30 miejsc w rankingach, mimo że nie

To czysto sportowo wypracowana rzecz, typowo rzemieślniczo. **Wygrywam i ciułam te punkty w rankingu,** ale nie wiadomo dlaczego nie raz mi je zabierają.

stoczyli choćby jednej walki. Wystarczy mieć znajomych dwóch–trzech wpływowych matchmakerów. Odbywało się to w taki sposób, że osoba z komisji WBC wyczytywała miejsca poszczególnych zawodników, po czym kierowała zapytanie do sali, czy ktoś się z tym nie zgadza. Wówczas wstaje matchmaker o znanym nazwisku, współpracujący z danym promotorem, tłumacząc, że jego zdaniem określony zawodnik powinien być zdecydowanie wyżej w zestawieniu, ponieważ ostatnio zdobył np. pas Baltic lub młodzieżowe mistrzostwo świata. „To na którym miejscu widziałby pan zawodnika, który w tej chwili zajmuje 35. lokatę?” – pyta facet z komisji matchmakera. „Na piątym” – odpowiada ten drugi. Zaczyna się kilkuminutowa narada, po czym pada propozycja, że może awansować na 13. pozycję. „Zgadzam się” – akceptuje matchmaker.

**W pewnym momencie byłeś tak zdesperowany, że proponowałeś wyżej sklasyfikowanym rywalom pieniądze, żeby odważyli się wyjść z tobą do ringu. Po 5 tys. złotych z Barbórki.**

Teraz już nie proponuję, przegoniłem ich. Często jest tak, że na czym zyskuje biznes, na tym cierpi sport. W boksie samym biznesem można zdobywać sukcesy.

**Kiedy nastąpił przełom w postrzeganiu boksu przez Roberta Talar-ka?**

Po walce z Liamem Smithem. Chłopak od kilku lat jest mistrzem świata, walczył z Saulem Alvarezem. W 2015 spotkaliśmy się w ringu, gaża życia. Pierwszy łuk brwiowy w karierze i lekarz przerywa walkę. Czy słusznie? Było na pograniczu, ale w Anglii ostrożnie podchodzą do tematu. Mimo to ten występ bardzo mnie podbudował.

**Nadal nie stoi za tobą wielka firma...**

Podczas kariery przychodziły mi do głowy różne myśli. Zawsze jest to „ale”. Na pewno żeby stawiać na boks, trzeba mieć plan na życie. To sport kontuzjogenny, a ja nie mam zaplecza. Trenuję w Silesii, gdzie nikt mi niczego nie narzuca, gdzie nie ma presji, że muszę z kimś

boksować. Podoba mi się to, bo jestem zawodnikiem, który chce sam rządzić swoją karierą. Bo w końcu sam się stworzyłem.

Dziś Talarek walczy u promotora, który organizuje swoje gale m.in... w kopalni.

## Paweł Rumiński

Jeszcze w listopadzie 2016 pisano o nim, że jest lepszy niż Tyson. Jak to możliwe? To bardzo proste. Na wykończenie dwóch pierwszych rywali potrzebował zaledwie piętnastu sekund. W obu starciach zawodnik z Warszawy wyprawił dokładnie... dwa celne uderzenia. Ekspresowo rozprawiając się z Vladimirem Fecko Rumiński poprawił polski rekord Krzysztofa Włodarczyka. Wszystko trwało 6 sekund.

### Jak dzień?

Dziękuję, dobrze. Wstałem o 7, napiłem się yerby i poszedłem pomóc bratu rozstawić stragan. Potem wróciłem do domu, zjadłem śniadanko i spokojnie na trening. Teraz się spotkaliśmy, a za godzinę prowadzę zajęcia. W międzyczasie jeszcze gotowanie. Doba jest dla mnie za krótka.

### Stragan macie przy ulicy Francuskiej.

Zgadza się, blisko Stadionu Narodowego. W czasie Euro pijani kibice dali nam się we znaki. Przychodzili, wygłupiali się, rozrabiali. Na szczęście jakichś wielkich zadym nie było.

### Spotykamy się pod koniec listopada. Długo jeszcze będziecie na chodzie?

Czekamy tylko na pierwszy śnieg i się zwijamy. To znaczy pierwszy już był, w poniedziałek rano, ale szybko stopniał. Jak poleży parę dni, jak złapie mocniejszy przymrozek, to kończymy. Nie będzie sensu handlować.

### Wcześniej mieliście sklep.

Rodzice mieli. Wiele, wiele lat wcześniej. Obrót był naprawdę fajny. Niestety, z czasem sklep podupadł. Wiesz, zrobiła się moda na hipermarkety, promocje, przestronne wnętrza. Rodzice nie wyobrażali sobie stania na kasie czy przejścia do korporacji. Zmienili więc sklep na stragan.



Paweł Rumiński jest wiel-  
kim kibicem Legii.



### **Na straganie obrót jest?**

Jest, nie możemy narzekać.

### **Co sprzedajecie?**

Owoce i warzywa.

### **Od jak dawna pomagasz rodzinie?**

Od 15–16 roku życia, to na pewno. Może nie regularnie, ale już wtedy przychodziłem, pomagałem.

### **Jak taka praca wygląda?**

W nocy jeździ się na Bronisze. Najlepiej gdzieś o trzeciej, wtedy jest najwięcej handlarzy i można dostać najlepszy towar, nieprzebrany. Jakoś już od północy wszyscy zaczynają się zjeżdżać.

### **Czyli co, jedziesz po towar, rozkładasz stragan, zostawiasz przy nim mamę, a później ją zmieniasz?**

Na pewno z raz czy dwa razy coś takiego się zdarzyło, jednak generalnie to by było już za dużo. Staram się też znaleźć czas na trening. Człowiek musi jakoś rozwijać swoją pasję. Ale stać, tak, stałem, wielokrotnie. Czasem przez pracę nie pojechałem nawet na zawody. Myślę jeszcze o czasach amatorskich. Takie życie.

### **Spędzając bez przerwy kilka godzin na dworze pewnie łatwo się przeziębisz?**

Bardzo łatwo coś złapać, niestety. Szczególnie jak jest taka słaba pogoda jak dzisiaj. Pada deszcz, godzina 19, trzeba będzie zamykać. Czy słońce, czy śnieg, czy deszcz, sprzedajemy.

### **Twój przyjaciel powiedział mi: Pamiętam, że niejednokrotnie o 5 rano Paweł był już na nogach. Przywoził towar, rozkładał stragan i po godzinie pisał mi SMS-a, że jest gotowy na trening.**

Zarabiam prowadząc treningi, mocno się przy tym rozwijam. Bardzo interesuję się metodologią. Dużo korzystam z Youtube, oglądam mnóstwo filmów szkoleniowych.

### **Zarabiasz prowadząc treningi. Na czymś jeszcze?**

Na sparingach. Jestem właśnie po sparingach z Kamilem Szeremetą, którzy przygotowuje się do walki o mistrzostwo Europy. Sparując dokładam cegiełkę do własnego przygotowania. Dzięki nim mogę sobie pozwolić na odżywki i wreszcie złapać finansowy oddech.

### **Kamil Szeremeta to zawodnik wysokiej klasy.**

Dlatego sparingi z nim są ciężkie. Duże kaski, rękawice i trzeba się starać. Jeżeli zarabiam na sparingach, to mam do czynienia z lepszymi zawodnikami. Walczy się z kimś takim 4, 5, 6 rund – bezcenna nauka. Podczas sparingu to trener decyduje, na czym się skupiamy. Jeżeli robimy mocną dochodzeniówkę, no to wiadomo, boksujemy praktycznie na sto procent. Czasami trzeba powalczyć o przetrwanie, co później pozwala mi szybko adaptować się do sytuacji kryzysowej w ringu.

### **Sparowałeś także choćby z typowanym na mistrza świata Maciejem Sulęckim.**

Bardzo wymagający rywal. Z Maćkiem znamy się od dzieciaka, to mój dobry przyjaciel. Znakomite warunki fizyczne, do tego silny i z czuciem. Praktycznie zawodnik kompletny.

### **Ile można zarobić na sparingach z polską czołówką?**

W moim wypadku lepiej niż za galę. Zawodnicy boksujący na moim obecnym poziomie nie zgarniają z walk więcej niż 4–5 tys. złotych. Dodatkowo dużo więcej treningowo wyciągnę ze sparingu z zawodnikiem obitym w ringu niż z walki z jakimś przeciętnym pięściarzem.

Dzisiaj Rumiński legitymuje się bilansem 4-2. I nikt z Tysonem porównywać go nie zamierza.

### **Po dwóch spektakularnych wygranych dwukrotnie musiałeś uznać wyższość rywali. Ciężko było ci przyjąć do wiadomości ten zjazd?**

Życie... Takie małe wiaderko zimnej wody na głowę, na pewno. Ale odrobiłem lekcję.

### **Na plus na pewno można zapisać ci ostatnią wygraną, jak i fakt, że udało ci się zejść do kategorii średniej. Czyli dywizji, w której boksuje twój idol – Giennadij Gołowkin.**

Wszystko odbyło się bezboleśnie. W tych dwóch przegranych walkach biłem się z większymi zawodnikami, nie z mojej wagi. A jeszcze przygotowując się do Gromadzkiego popełniłem mały błąd w przygotowaniach, co mnie kompletnie odsunęło kondycyjnie. Tragedia. Rzadkosz? On na co dzień waży 90 kilogramów!

### **Do walki z tobą zrzucił 23.**

A ja na wagę pojechałem po śniadaniu. Stałem, wszystko dobrze. Rzadkosz musiał się męczyć. W dniu walki on ważył 85, ja pewnie z 79, nie więcej. A i tak było mu ciężko. W pierwszej rundzie nieźle zatańczył.

Nic dziwnego. Po takiej redukcji niektórzy nawet umierają.

W sportach walki lawinowe, gubienie zbędnych kilogramów to norma. Prawie nikt nie waży na co dzień tyle, ile wnosi na wagę. Pięściarze znacznie trudniejszą walkę niż ta w ringu toczą często właśnie przed zawodami. Czy da się stracić 10% masy ciała w 24 godziny? Oczywiście! Metod nie brakuje. Kąpiel w gorącej wodzie, treningi w kołdrze, picie – bardzo niezdrowej dla organizmu, wypłukującej z niego wszystkie minerały – wody destylowanej, oklejanie taśmą okien, by nie przedostawało się powietrze,...

Czy po tych wszystkich zabiegach do ringu wejdzie ten sam człowiek, z którym podpisywano kontrakt? Bo raczej pewne jest, że na wadze ujrzymy – mające problem ze zdjęciem skarpetek – „zwłoki”.

### **Ty – w przeciwieństwie do wielu kolegów i koleżanek – nie zrzucasz na raz nie wiadomo jakiej liczby kilogramów. Ufasz cateringom?**

Nie, sam sobie gotuję. Jednym z błędów, które popełniłem przed walką z Gromadzkim, było właśnie korzystanie z cateringów. To zupełnie nie dla mnie.

### **Czytałem, że firmy cateringowe potrafią oszukiwać na kaloryczności dań.**

Nigdy nie wiadomo, co jest w pudełku. Na czym to było zrobione, jak usmażone. A jak sam pójdziesz do sklepu, sam przygotujesz, to wiesz, co jesz. I to inaczej też działa na głowę. Diabeł tkwi w szczegółach.

### **Chyba można powiedzieć, że jesteś świadomym sportowcem?**

Dużo rzeczy tak naprawdę robię dla siebie. Korzystam np. z czegoś takiego jak floating. To jest komora deprywacyjna, w której woda jest osolona niemal do pełnego nasycenia. Sesja trwa godzinę, półtorej. Nie dociera do ciebie 90% bodźców zewnętrznych. Absolutna cisza. Unosisz się na wodzie, zamykasz oczy i odpływasz. Jeśli jesteś mocno przemęczony, uśniesz. Zależy od człowieka.

### **Widzisz efekty?**

Tak, bardzo. Przygotowując się do ostatniej walki obserwowałem, jak zmniejsza mi się poziom zakwaszenia. Poprawiła się koncentracja, bo podczas takich sesji pracują obie półkule mózgu.

Rumiński, podobnie jak Talarek, zamiast liczyć na łut szczęścia w ringu, próbuje znaleźć przewagę w dodatkowych zabiegach. Jeszcze w czasach amatorskich zoperował krzywą przegrodę nosową. Teraz śmiało korzysta z rzeczowego floatingu i z kriokomory.

Zaopatrzyłem się też w sprzęt do ćwiczeń stabilizacyjnych. Dwa razy w tygodniu przez godzinę, półtorej, robię tylko stabilizację. I poprawił mi się przede wszystkim balans, mam lepsze wyczucie własnego ciała. To niezbędne dla pięściarza. Bardzo ważne przy unikach, gdzie wychyliš się o centymetr za dużo i już tracisz pozycję, nie będąc w stanie zadać odpowiednio mocnego ciosu.

### **Ktoś ci za to wszystko płaci?**

Aktualnie nie mam żadnego strategicznego sponsora, który mógłby mi cokolwiek opłacać. Treningi też opłacam sobie sam, niestety. Takie są realia w Polsce.

Pytanie, co jeżeli zawodnik pokroju Rumińskiego złapie kontuzję? Odpowiedź promotorów może wtedy brzmieć: „No cóż, miał pecha”. I często tak brzmi. W ten sposób potraktowano m.in. jedną z największych nadziei polskiego boksu – Adama Balskiego. Utalentowany pięściarz kategorii junior ciężkiej zaraz po pojedynku z Demetriusem Banksem pojechał na drutowanie szczęki. Pobyt w szpitalu musiał opłacić z własnej kieszeni. Ba, według jednej z wersji samodzielnie do szpitala dojechał. – Nie mogę gryźć, więc jem przez słomkę lub łyżeczkę i z



tęgo powodu schudłem już ponad 6 kg – tłumaczył dziennikarzom miesiąc po zdarzeniu. – Jeśli będzie trzeba wrócić do pracy, to nie będę miał z tym problemu – zadeklarował kaliszczanin, który jeszcze niedawno przewoził armaturę łazienkową.

Kamil Łaszczyk przez wiele lat pracować dodatkowo nie musiał. To zrozumiałe, skoro w pewnym momencie kariery był najwyższē sklasyfikowanym polskim bokserem. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy na siedem miesięcy wypadł z treningów z powodu kontuzji ścięgna Achillesa. Promotorzy opłacili mu wprawdzie operację, ale kosztowną rehabilitację finansował już z własnych środków. Oszczędności szybko się skończyły i Łaszczyk poinformował o konieczności wyjazdu za chlebem za granicę. Wcześniej dramatycznie apelował do pracodawców: „Oglądam jak boksują inni, a sam jestem w dupie. Gdzie mam się sprawdzić, na ulicy?”.

Trudna sytuacja w boksie sprawiła, że Kamil zastanawiał się nad przejściem do MMA. Jak wielu polskich pięściarzy zresztą. Choćby Krzysztof Zimnoch, który swoją decyzję argumentował tym, że tak naprawdę całe życie bił się na ziemi... ze swoimi braćmi i starszym o kilka lat wujkiem.

### **Podczas gal dostrzegam na twoim ciele i spodenkach loga różnych firm.**

Z tym sobie akurat radzę. Przed każdą walką staram się załatwić jak najwięcej sponsorów i zarobić na reklamie. Jak najbardziej. Jednak nie oszukujmy się, to jest tak naprawdę kropla w morzu potrzeb.

### **Robert Talarek dotychczas dostał od sponsorów jedynie skarpetki i buty.**

(Paweł kręci z rezygnacją głową) Śmieszne, nie? Ale prawdziwe. Robert jest po kilku zwycięstwach z rzędu i na pewno musi pomyśleć nad jakimś menedżerem. Ale to z kolei związane jest z dalszymi kosztami.

### **To prawda, że za ostatnie walki nie dostałeś od organizatorów ani grosza?**

Tak było. Za trzy walki w 2017. Nie dostałem nic. Jeżeli nie byłoby sponsorów, którzy chcieli mnie jakoś wesprzeć...

### **Sponsorom wypada załatwić jakieś bilety. To też są koszty.**

Życie, okrutne życie. Życie sportowca w Polsce nie jest kolorowe.

Wiesz, byłem na gali w Częstochowie. Michał Leśniak dostał cios pod ochraniacz i pękło mu jądro. Koszmar. Czy będzie miał dzieci? Tęgo nie wiemy. My ryzykujemy w ringu życie. I tak się czasami zastanawiam, czy ta gra jest warta świeczki.

Siergiej Werwejkę  
z ukochaną córką Lilią.



### **Nadal chcesz zdobyć pas dla ukochanej Legii?**

To się nie zmienia, w żadnym wypadku. Cel jest jeden. Chciałbym, żeby mi się wygodniej żyło, żeby to miało ręce i nogi. Niestety, niektórych rzeczy nie mogę przyspieszyć. Step by step. Muszę uzbroić się w cierpliwość.

## **Siergiej Werwejko**

w weekendy kładzie się spać dopiero gdy Robert Talarek zaczyna swoją górniczą zmianę. Jest ochroniarzem jednej z dyskotek na Chmielnej. Wcześniej ochraniał modny klub go-go przy warszawskim rondzie de Gaulle'a i dorabiał przy powstawaniu II linii metra.

– Tu przeciągaliśmy kable, podłączaliśmy światła na peronach – pokazuje. Werwejko był pomocnikiem elektryka. Pracował w sąsiedztwie straganu rodziny Rumińskich. – Jechałem tym metrem kilka razy i zawsze zwracam uwagę: „o, to robiłem, tamto”, „tu się ucięło kabel, tu robiło dziury”.

### **Ciężka praca w porównaniu do innych, którymi się parales?**

Praca jak praca. W Polsce zacząłem od Płońska i miejscowej cegielni. Staliśmy przy wielkim piecu i w temperaturze 40 stopni przez 10 godzin układaliśmy cegły. Wszyscy byli mokrzy. Idziesz zjeść, poleżysz i znowu. Gotujesz, przekładasz,



fot. Wiktor Kęska



nosisz. Po dwóch miesiącach takiej roboty przez dłuższy czas nie mogłem zacisnąć dłoni, rozdzielić rąk. Bałem się, że poważnie naruszyłem nerwy.

### **Opuchnięte dłonie miałeś jeszcze w 2013 roku, podczas wygranego turnieju im. Feliksa Stamma.**

Pamiętam, że trener zabierał mnie na wagę wprost z budowy, po czym znów brałem się do pracy. To było dwa przystanki od Wiatracznej, w stronę centrum. Budowaliśmy kamienicę. Ciężkie bloki wciągało się na górę.

### **W przeszłości dzieliłeś zgrupowania reprezentacji z Wasylem Łomaczenką i Ołeksandrem Usykiem.**

Na Ukrainie nie poszła mi walka jedna, druga i przestałem trenować. Inaczej było np. w przypadku Aleksandra Streckiego, który również boksuje w Polsce. On u nas dobrze sobie radził.

### **Przyjechałeś z myślą, że Polska to eldorado dla pięściarzy?**

Nie, przyjechałem do Polski normalnie pracować. Tak jak z Płońska do Warszawy, zwyczajnie na budowę. Mieszkałem na Woli, później na Grochowie z dwoma kolegami. Po roku jednak zaczęło mi brakować sportu. Chciałem trochę powyciskać, poudierać w worek. Szybko okazało się, że bliskim znajomym właściciela firmy, w której pracowałem, jest Dariusz Mróz, prowadzący treningi na Legii. Po tarczowaniu zaproponował mi wyjazd na zawody w Kielcach. Tak naprawdę doszedłem tam do finału bez treningu. Po równej walce przegrałem z Marcinem Brzeskim, który następnie zgłosił się na turniej Stamma. Pałałem żądzą rewanżu.

Podczas prestiżowych zawodów roslemu Ukraińcowi zagrano Mazurka Dąbrowskiego, reprezentował Polski Związek Bokserski. O polskie obywatelstwo zawodnik stara się od 5 lat. Bezskutecznie. Dlatego nie życzy sobie, aby nazywano go polskim pięściarzem.

To mi nie pomaga, wciąż mam problem z papierami. Moja sprawa jest w toku, znowu. Tym razem od stycznia. Jak do Niemiec przyjedzie zdolny sportowiec, to po jakimś czasie chętnie dają mu obywatelstwo. Michalczewski, Grigorian... Ja cały czas muszę się borykać z wizami. Połowę z tego, co przez pół roku odłożę, idzie na dokumenty.

### **Na co starasz się odłożyć?**

Pracuję dla pieniędzy, żeby nigdy nie brakowało ich mojej rodzinie. Staram się wysyłać jak najwięcej żonie i córce. Ja potrzebuję niewiele. Na jedzenie, czynsz.

### **Jak ma na imię twoja córka?**

Lilia, ma 3 lata i 9 miesięcy. Bardzo dokładnie liczę. Od urodzin nie widziałem jej łącznie przez 2,5 roku. Z żoną 7 lat razem, a przez ostatnie 5 widzimy się 20 dni w roku, może miesiąc. Wiem, że nie cofnę czasu, pewne rzeczy już nie wrócą...

Bliscy Werweyki mieszkają w Ługańsku. To miasto opanowane przez prorosyjskich separatystów, przebiega przez nie front wojny państw Wschodu.


W 2014 ojciec z matką siedzieli w piwnicy przez tydzień. Byli w bezpośrednim zagrożeniu, wszędzie padały strzały. Spójrz na zdjęcie, tu pocisk spadł dwadzieścia metrów od domu żony. Mielśmy klub sportowy, złoty kościół. Trudno poznać, bo dziś to ruiny, wszystko zniszczone.

### **Masz więcej takich zdjęć?**

Miałem, ale jak przejeżdżasz przez granicę, sprawdzają, co masz w telefonie. Rosja twierdzi, że nie ma wojny, że nie ma jej wojsk w Donbasie. A skąd w moim mieście te porozbijane czołgi?

Z boksu Werwejko praktycznie nie ma czego oszczędzić. Odkąd brutalnie znokautował w 2013 r. szykującego się do walki o mistrzostwo świata Andrzeja Wawrzyka, nie wszędzie jest mile widzianym sparingpartnerem. Nawet jeżeli ktoś korzysta z usług mocno bijącego pięściarza, najczęściej na starcie życzy sobie, by Siergiej pomagał mu za darmo, na co pięściarz nie chce się godzić. Taką wolę wyraził choćby pewien bardzo znany zawodnik MMA. Inaczej było z Pawłem Nastulą, który sam załatwiał Werwejce sparingpartnerów i pomagał mu w przygotowaniach, udostępniając 29-latkowi choćby darmowy karnet do swojego klubu.

Żona cały czas mi mówi: „jak nie ma pieniędzy, to rzucaj ten boks, idź do pracy”. Pamiętam, jak były u mnie z córką, w lecie. Spacerujemy, sięgam do kieszeni, a tam ostatnie 20 złotych. Zadzwoniłem do promotora, żeby zapłacił mi wreszcie za walkę, którą stoczyłem w grudniu. On, że zapłaci ktoś inny. Skończyło się tak, że minął rok, a ja nadal nie mam swoich pieniędzy. Połowy stawki za walkę. Jeden promotor mówi, że bym dzwonił do drugiego i tak się z tym bujam.



# Schodzę z wagi i pytam trenera, czy gość w ogóle umie boksować, bo tak jakoś dziwnie wygląda. A trener, żebym na to nie patrzył, skupił się na sobie. Wyszło jak wyszło.

W polskim boksie nie zawsze płaci się na czas. Niekiedy opóźnienia w wypłatach są przerażające. Wystarczy podać tutaj przykład Michała Syrowatki – jednego z najwyższej sklasyfikowanych polskich pięściarzy. Syrowatka podpisał kontrakt promotorski, zgodnie z którym miał co miesiąc otrzymywać określoną kwotę stypendium, po czym... przez dziesięć miesięcy ani razu nie otrzymał należnego wynagrodzenia. Według zainteresowanych chodziło nie tyle o brak środków na opłacenie Syrowatki, co problem z przepływem pieniędzy na linii promotor-trener-zawodnik.

## **Trudno ci się to wspomina...**

Jakiś czas temu dostałem bardzo dobrą propozycję. Walki w Niemczech. Za 10 tys. euro. No ale nie mogłem pojechać, ponieważ wciąż jestem związany kontraktem z polskim promotorem.

W ramach tej umowy Siergiej boksował rzadko, raz na kilka miesięcy, inkasując niewiele ponad tysiąc złotych za rundę. Małe znaczenie miała klasa rywala i pozycja w karcie walk. A, należy nadmienić, że Ukrainiec ma już na swoim koncie pojedynki wieczoru i zwycięstwo z byłym rywalem Tomasza Adamka - Nagym Aguilerą.

Przed tą walką poważnie zastanawiałem się, czy jest sens dalej to ciągnąć. Byłem po porażce z Nascimento, przetrenowany. Przegrana z Brazylijczykiem cały czas we mnie siedzi. Ja jestem od niego lepszy.

## **Nascimento to twardy rywal. Skrzyżował rękawice m.in. z Tysonem Furym.**

Byłem przetrenowany. Wyobraź sobie. Praca w dyskotecie piątek-sobota, czasami jak

do mnie zadzwonią, to jeszcze czwartek czy poniedziałek. Tak od dwudziestej do wpół do piątej i codziennie po dwa treningi. Oprócz soboty – w soboty bieganie. Zawsze robiłem górkę na Agrykoli i z powrotem do pracy. Wychodziło mi czasami, że w tygodniu robiłem 13 treningów. Najwięcej latem. Inni mieli wakacje, a ja codziennie bieg, trening, trening, praca. Odpocząłem może 4 dni. Generalnie nie miałem w ogóle wolnego. Nawet w tygodniu walki.

## **Jak wyglądał twój tydzień przed Nascimento?**

Poniedziałek, wtorek po dwa treningi. W środę jeden, a przecież już w piątek boksowałem! Gdzie regeneracja? Mówiłem byłemu trenerowi, że muszę odpocząć, że nie mam siły. A on, że odpuścimy później, po walce odpoczniemy. Wyszedłem do ringu w ogóle bez energii. Zajechany. Nie było zrywu, nie było nic.

## **Po tej porażce internauci miesza- li cię z błotem. Pisali, że to nonsens inwestować „taką kasę” w nie-Po- laka.**

Czytam komentarze przed każdą walką. I tak np. przed Aguilerą wszyscy pisali, że to będzie trwało najwyżej dwie rundy, zaraz padnę. Wygrałem walkę i czytam: „fajnie, dobry chłopak, zbił go, ale tamten był nieprzygotowany”. Wiem, że połowa z tych ludzi to chłopaki co nawet na siłownię nie chodzą, ale czasami odechciewa się wszystkiego. Wtedy sam siebie pytam – co ja mam z tego boks? Plecy bolą, ręce porozbijane. Tylko zdrowie tracę.

### **Jak sobie radzisz?**

Regularną pensję wypłaca mi sponsor, Paweł Zagórski – właściciel firmy remontowo-budowlanej. U niego oficjalnie pracuję, oficjalnie płacę podatki. I to na tej podstawie wyrabiam sobie kartę pobytu. Jak czegoś potrzebuję, dzwonię i pomaga. Wspaniały człowiek. Na Ukrainie także pracowałem dla bogaczy, znajomy zasiadał nawet w Radzie. Lecz tam nikt z góry raczej nie schyla się, żeby pomóc potrzebującemu. Paweł jest inny. Wspólnie z trenerem Drzazgowskim podtrzymują mnie na duchu. Mówią: „wytrzymasz, wytrzymasz, jesteś dobry”. Niestety, sponsor pokłócił się z moim promotorem i nie wiem, w którą to stronę pójdzie.

### **Gdzie aktualnie mieszkasz?**

Od trzech lat na Bielanach, niedaleko Metra Wawrzyszew. Bardzo ładne miejsce. Za domem mam jeziorko, las do biegania...

### **...i gym największej grupy promotorskiej w Polsce.**

Tam nie chodzę, po tamtym wypadku z Wawrzykiem. Chętnie bym z nim zawalczył. Andrzej jest dobry, ma coś w sobie. Chociaż sparowałem też z Adamkiem i Wachem, których oceniam wyżej. Każdy umie coś innego.

### **Póki co wciąż jesteś przy sporcie.**

Tak, choć sam nie wiem, ile to jeszcze potrwa. Rozumiem, że nie będę boksował do czterdziestki. Jeszcze rok, dwa, trzy i to rzucam. Tylko muszę za walki coś zarobić, żeby kupić mieszkanie. Raczej nie w Polsce, tu jest bardzo drogo. Pod Kijowem za kawalerkę płaci się 25 tys., 500–600 dolarów za metr kwadratowy.

### **Jaki masz cel w boksie?**

Zawalczyć o jakiś pas, niekoniecznie wygrać.

### **W Polsce?**

W Polsce to ja już nie wiem, czy chcę boksować. Lepiej gdzieś indziej, za normalne pieniądze. Myślę o trudnych wyjazdowych walkach, trafieniu do notesu zagranicznych promotorów. Trener mówi: „jak w rok stoczysz 4 walki z dobrymi zawodnikami, 2 wygrasz, 2 przegrasz, to i zarobisz, i w rankingu podskoczysz”.

### **Twojego ostatniego rywala w 2017 roku dobrym zawodnikiem nazwać nie można...**

Węgier Laszlo Fekete zaprezentował się beznadziejnie w kopalni soli w Wieliczce. Film z jego „umiejętnościami” bokserскими stał się hitem internetu. Do tej pory obejrzało go około pół miliona osób.

Nie wiem, gdzie oni tego zawodnika znaleźli. To nie moja wina. Początkowo miałem walczyć z pewnym Gruzinem. Fekete? Chłopak miał 4 walki, wszystkie wygrane przez KO. Myślałem, że przyjdzie jakiś zabijaka, od razu wda się w bitkę, że będzie coś się działo. W internecie żadnej jego walki nie było, pozostało czekać na ważenie. Jak go tylko zobaczyłem, spodziewałem się najgorszego. Nie wyglądał na boksera. Schodzę z wagi i pytam trenera, czy gość w ogóle umie boksować, bo tak jakoś dziwnie wygląda. A trener, żebym na to nie patrzył, skupił się na sobie. Wyszło jak wyszło.

### **Fekete dla kibiców boks stał się synonimem żenady. Przez to również ty zostałeś wystawiony na pośmiewisko.**

Ta walka nic mi nie dała. Ja go nawet nie uderzyłem, tylko wyprostowałem rękę i od razu padł. Najlepsze, że on zarobił ponad 3 tys. euro, a ja... No, ja zarabiam w złotych.

Napięte relacje pomiędzy pięściarzem a promotorem poskutkowały zawieszeniem polskiej licencji bokserkiej Werweyki. Niezrażony tym faktem Siergiej wyrobił licencję niemiecką.

W maju wydawało się, że Ukrainiec wróci na ring mierząc się na Stadionie Narodowym z Mariuszem Wachem. Wach nie chciał jednak sprawdzić się z nieprzygotowanym i ściągniętym last minute byłym sparingpartnerem.

Pod koniec września Siergiej stoczył wreszcie walkę poza granicami Polski. Mógł zostać mistrzem Europy WBO, ale przegrał przed czasem z niepokonanym Alim Erenem Demirezenem. W ringu nie był gorszym pięściarzem. Szansę życia przegrał przez zmęczenie.



**Projekt „Konfrontacja powstaje  
przy wsparciu Fundację „Wolne Słowo”**

Rozważ wsparcie projektu „Konfrontacja” oraz dziennikarskich śledztw.  
Nawet niewielkie finansowe wpłaty mają wielkie znaczenie.

Darowizny mogą Państwo dokonywać poprzez Fundację  
„Wolne Słowo” na konto nr:

**38 1090 1694 0000 0001 3065 4695, Bank Santander**

Wpłaty w EURO

**PL 77 1090 1694 0000 0001 3753 4785, Bank Santander**

SWIFT: WBKPPLPPXXX

BIC: WBKPPLPPXXX

Tytułem:

1. „Darowizna na rzecz Fundacji Wolne Słowo, projekt Konfrontacja”.